

Selfors Suzanne

Ocalić Julię



Zanim rozpocznę tę opowieść, spróbuje wam coś wyjaśnić.

Nie zacznę tej historii od słów: „Za górami, za lasami”, choć wielu z was wyda się ona bajką. Ale bajki są dziełem wyobraźni. Są wymyślane. A moja opowieść jest prawdziwa. Nie zmyśliłam ani słowa.

W tej historii rzeczywistość powstaje z marzeń i fantazji. Mogłabym powiedzieć, że w życiu tak bywa. Prawdę mówiąc, z początku wydawało mi się, że śnię. Ale w tych zdarzeniach uczestniczył ktoś jeszcze, a przecież nie sposób śnić we dwójkę.

Nazywam się Mimi. Nie zdziwię się, jeśli po przeczytaniu tego wstępu uznacie mnie za wariatkę. Ale ja się tym nie przejmę. Moja historia jest właśnie taka. I to ona przyniosła mi ratunek.

A teraz możecie już przewrócić stronę.

Świat cały jest scena.

(jak wam się *podoba*, akt II, scena 7)

Moja opowieść zaczęła się o szóstej pięćdziesiąt pięć wieczorem, dokładnie przed rokiem. Tamtej burzliwej nocy zima rzuciła się na Nowy Jork niczym głodna bestia. Temperatura spadała na łeb, na szyję. Przechodnie stawiali kołnierze od płaszczy i kurtek, zasłaniali twarze szalikami i pędzili do domu, tymczasem z ciężkich chmur sypnęły płatki śniegu i grubą warstwą podobną do przybrudzonego cukru pudru przykryły całe miasto.

Dlaczego wybrałam tę właśnie porę, szóstą pięćdziesiąt pięć, a nie na przykład dziesięć po siódmej? Dlatego, że pierwszy śnieg odmienia wszystko, na co spadnie, a skoro tak, mnie również odmienił. Tak, przyda się trochę symboliki, nawet przy ciężkiej. Od czegoś przecież muszę zacząć.

Wysiadłam z ciepłej, przytulnej limuzyny i podziękowałam szoferowi, który otworzył przede mną drzwiczki. Ułożony z migających żarówek żółty napis Teatr Wallingford przeglądał się w oknach przejeżdżających samochodów. Ledwie dotknęłam stopami trotuaru, zrobiło mi się niedobrze. Ale nie dlatego, żebym zjadła na obiad nieświeży kotlet, nie rozbierała mnie też grypa. Dostałam mdłości z powodu tego, co mnie czekało.

Wyobraźcie sobie, że byłam wtedy zawodową aktorką. Lecz wcale nie czułam się z tym szczęśliwa.

Mimo przejmującego chłodu, ludzie tłoczyli się przed teatrem. Oddechy zaaferowanej publiczności tworzyły białą mgiełkę, która unosiła się nad głowami. Nie był to tłum emerytów, zazwyczaj wypełniający salę teatru Wallingford podczas szekspirowskich przedstawień. Raczej nastolatki, a ściślej mówiąc, nastolatki, dziewczyny, ubrane w futerka i kożuszki, przytupujące niecierpliwie, jakby spieszyło im się do ubikacji. Nie zwracały na mnie uwagi. To nie na mnie czekały na mrozie już od paru godzin. Gdybyście byli w tym tłumie, wydawałoby się wam, że sam Zbawiciel ma zstąpić na ziemię w Nowym Jorku -tak wielkie panowało w nim podniecenie.

Minęłam tłum szybkim krokiem. Rozpoznało mnie kilka matek.

- To Mimi Wallingford - powiedziała jedna z nich do zupełnie niezainteresowanej dziewczyny.

- Kto taki?

- Na pewno słyszałaś o niej, jest prawnuczką Adelajdy Wallingford.

Odkąd pamiętam, zawsze ciągnęły się za mną te słowa: prawnuczka Adelajdy Wallingford. Przeważnie ludzie nie robili nawet najmniejszej pauzy między moim imieniem a tym określeniem, które lokowało mnie w odpowiednim miejscu drzewa genealogicznego mojej rodziny. Nigdy nie zdarzało mi się usłyszeć: „To Mimi Wallingford, fajna dziewczyna” ani „To Mimi Wallingford, ciekawa postać”. Nikt nie pomijał wiadomej formułki, kiedy mnie komuś pokazywał.

Widzowie, którzy mieli bilety, zablokowali wejście od strony kulis, więc przyszczytany ochroniarz uchylił dla mnie przeszklone frontowe drzwi. Przystąpiłam próg, a za mną wtargnął do wnętrza lodowaty przeciąg. Plik programów sfrunął ze stolika i płomień świecy na świeczniku zadrżał w przeciągu. Ochroniarz szybko zatrzaskał drzwi przed mroźnym podmuchem. Wciągnął mnie do środka, gdzie od razu chwyciła mnie za gardło trena.

Do przedstawienia pozostała godzina, więc hol świecił pustkami. Odźwierni jeszcze nie przyszli. Nie było też bileterów ani obsługi bufetu. Ale za kontuarem szatni ktoś chichotał. Zobaczyłam ponad nim trzy smużki papierosowego dymu. Odchrząknęłam głośno. Musiałam zaszurać butami i zakaszleć, zanim zniknęły te smużki dymu i wyjrzały twarze szatniarek. W teatrze wszyscy nazywali je Trzema Wiedźmami. Pracowały tam jeszcze przed moim urodzeniem. Były jak wiedźmy z *Makbeta*, miotające się między rzędami wieszaków, obwieszonych paltami.

- Cześć, mała! - zawołała jedna z nich głosem szorstkim jak papier ścierny i przymrużyła przekrwione oczy. - Nie doniesiesz na nas?

Pozostałe dwie, równie stare, jak tamta, oparte o kontuar patrzyły na mnie i czekały na odpowiedź.

-Jasne, że nie - oświadczyłam zdecydowanie. Nie przeszkadzało mi, że paliły, łamiąc teatralny regulamin. Ich bunt budził we mnie sympatię, w głębi serca marzyłam o odważniejszym życiu niż to, które prowadziłam, choć oczywiście nie chciałam, żeby się ono skończyło rakiem płuc.

- Nie doniesie na nas - powtórzyła druga, ukazując w uśmiechu pożółkłe zęby. - Dobra z niej dziewczyna.

- A kto to taki? - spytała trzecia, której pamięć spustoszyła już chyba skleroza.

- Nie wiesz? Przecież to Mimi, prawnuczka Adelajdy Wallingford!

Tak, znowu to samo, zawsze, w kółko i na okrągło. Pochodziłam z rodziny, która była ozdobą amerykańskich scen już w pierwszej połowie dwudziestego wieku. W chwili, gdy piszę te słowa, nadal jestem najmłodszą z rodu.

- Na twoich barkach spoczywa honor naszej rodziny - często przypominała mi matka. Lecz honor wcale nie spoczywał na moich barkach, tylko je przygniatał nieznośnym ciężarem. Matka życzyła sobie, żebym dźwigała go bez ustanku. To cud, że nie wyrósł mi garb jak Ryszardowi III.

Zanim ruszyłam w stronę garderoby, pozbierałam rozrzucone ulotki z programem. To nie był mój obowiązek. Ale ociągałam się, szukałam powodu do zwłoki, jakby to mogło mi pomóc uniknąć nieuniknionego. Stałam pod ogromnym, ponadnaturalnej wielkości portretem Adelajdy Wallingford, wiszącym na ścianie w ozdobnej ramie. Założycielka teatru Wallingford spoglądała z góry, zaciskając usta w grymasie urazy. Być może złościły ją wytarte chodniki i spłowiałe tapety. Złota epoka tego teatru dawno już przeminęła. Moja matka, jego obecna właścicielka i dyrektorka, ledwie radziła sobie z bieżącymi wydatkami. O odnowieniu wnętrza nie było nawet mowy. Wydawało się, że Szekspir nikogo już nie interesuje. Ale wiedziałam, że kiedyś teatr Wallingford był miejscem,

w którym wypadało się pokazywać. Miejscowi dygnitarze i zagraniczni dyplomaci ściągali tłumnie na przedstawienia Adelajdy Wallingford. Podobno panowała nad sceną i widownią w sposób naturalny, przez samą swoją obecność. Wiele osób mówiło mi, że z wyglądu jestem do niej podobna. Oprócz bujnego biustu odziedziczyłam jej kasztanowe falujące włosy i zielone oczy. Matka twierdziła, że mam właśnie to „coś”, co trzeba mieć. Połączenie talentu i urody. Ale ja nie chciałam z tym „czymś” mieć nic wspólnego. To „coś” jak dotąd nieźle namieszało mi w życiu.

Z zewnątrz doleciał dziki wrzask. On, ten, na którego wszystkie czekały, właśnie podjechał przed teatr w długiej limuzynie. Nie mógł się dostać do wejścia, więc przepychał się przez tłum fanek, opromieniony ich uwielbieniem. Każda próbowała skubnąć cokolwiek, co do niego należało, cokolwiek, czego tylko dosięgła, żeby potem nosić jego guzik w staniku albo jego włos w medalionie. Założyłam ramiona i przyglądałam się tej scenie z mieszaniną podziwu i przerażenia. Ja też miałam sławne nazwisko, ale chłopakom w moim wieku nic nie mówiło. Sława tego nazwiska działała tylko na tłum emerytów. A *on* cieszył się prawdziwą sławą wśród moich rówieśniczek.

Nazywał się Troy Summer i grał Romea w przedstawieniu *Romeo i Julia*, wystawianym od paru miesięcy na deskach teatru Wallingford, czemu towarzyszyła nadzieja, że jego sława przyciągnie nową publiczność.

-Spróbujmy uatrakcyjnić Szekspira - zdecydowało dyrektorskie gremium. - Zróbmy coś, żeby wedrzeć się na rynek kultury masowej.

I dlatego sprowadzono z Hollywood to bożyszczcze nastolatki.

- Nie stać nas na niego - protestowała z początku moja matka. Agentowi Troya zależało na tym, żeby jego klient zagrał w teatrze. Wiedział, że taka rola pomoże Troyowi w rozwoju zawodowym, więc przystał na stosunkowo skromną gażę.

Troy, ubrany w narciarski skafander i ciemne okulary, wyglądał zabójczo przystojnie, jak zawsze. Pomachał swoim rozgorączkowanym wielbicielkom i uciekł, korzystając ze szpary w drzwiach, które uchylił pryszczaty ochroniarz. Płomyki świec znowu zadrżały. Nie chciałam dać mu poznać, że byłam świadkiem scen adoracji idola. Jeśli jego ego od tego urośnie jeszcze bardziej - pomyślałam - przyjdzie mu wozic je na specjalnym wózku. Kiedy w pośpiechu wycofywałam się z holu, usłyszałam jeszcze chóralne westchnienie Trzech Wiedźm. Nawet one nie mogły się oprzeć urokowi Troya.

Tamtego wieczoru, przed rokiem, prawie godzinę spędziłam w garderobie, o wiele więcej niż zwykle, a to z powodu coraz silniejszych mdłości. W przeszłości grywałam już trudniejsze role i przez wiele lat nigdy nie poczułam ani cienia tremy. Ale w dniu premiery *Romea i Julii*, trema po prostu mnie zżerała. Byłam oszołomiona gwałtownymi przypiływami niepokoju, kolejne fale paniki sprawiały, że chciałam uciekać. Moje serce biło jak oszalałe, czerwieniłam się raz po raz i z powodu mdłości zginałam się w pół. Miałam zagrać Julię, ale byłam kłębkim nerwów.

Dlaczego? Co się ze mną stało? - raz po raz zadawałam sobie to pytanie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to pewnie przemęczenie albo brak pewności siebie. Nie przyszłoby mi do głowy, że to właśnie Julia jest istotą rzeczy, główną przyczyną mojego żalosego stanu. Teraz, po roku, lepiej

widzę przyczyny. Upływ czasu przynosi dystans, który jest fantastycznym narzędziem zrozumienia. Ale tamtego wieczoru w ogóle nie myślałam o Julii. Moja technika gry była przeciwieństwem tej, którą zaleca się aktorom. Nie przywoływałam własnych przeżyć, aby w ten sposób zidentyfikować się z postacią. Wchodziłam w postać ciałem i duszą, zapominając o własnych przeżyciach. Bill, który grał Tybalta, nosił swój kostium przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, nie kapał się i codziennie jadał zapiekankę z cynaderek, a czytał wyłącznie o włoskim renesansie. Znałam dobrze swoją rolę, ale nie wychodziłam poza nią. Nie próbowałam wyobrazić sobie, jak żyła Julia i kim była poza scenami, które miałam zagrać. Widziałam w niej tylko dziewczynę oszalałą z miłości, która zdecydowała się na bezsensowne samobójstwo. Ale miałam się jeszcze przekonać, że jeśli chodzi o Julię, to nie jest cała prawda.

Kiedy przebrałam się w swój lawendowo-złoty kostium, zaczęły mi drżeć ręce. Po widowni przetoczyła się burza oklasków, potem usłyszałam głos narratora. *Dwa wielkie domy w uroczej Weronie, równie słynące z bogactwa*

*i chwały, co dzień odwieczną zawiść odnawiały**... - mówił z przesadnym brytyjskim akcentem. Tak się zaczyna ta najpopularniejsza ze sztuk Szekspira.

Podeszłam na palcach do skrzydła kulis i usiadłam na krzeselku, które ustawiono specjalnie dla mnie. Stamtąd mogłam zobaczyć, a nawet nie mogłam nie zobaczyć skrawka sceny i widowni. To krzesło było pomysłem mojego terapeuty: miało dać odpór lękom.

* *Romeo i Julia*, tłum. J. Paszkowski

- Zamiast je zwalczać, należy z nimi się zmierzyć - powiedział doktor Harmony w obecności całej obsady. Krzesło stało tam już od kilku wieczorów. Był to prawdziwie otwarty facet. - Zachowajmy się jak wspierająca rodzina i pomóżmy Mimi przezwyciężyć ten lęk przed sceną.

A więc siedziałam na krzeselku, kiwając się w przód i w tył, i walczyłam z mdłościami. Fernando, garderobiany, trzymał w pogotowiu plastikową miskę.

Spokojnie, tylko spokojnie - powtarzałam sobie. I tak nikt nie będzie mi się przyglądał. Przecież będą się gapili wyłącznie na Troya. Westchnęłam, co skłoniło Fernanda, by rzucił się w moją stronę i podstawił mi pod brodę miskę. Fałszywy alarm. Machnęłam ręką, żeby się odsunął. Usiłowałam nie zwracać uwagi na zatroskane spojrzenia aktorów z obsady. O publiczności powinnam raczej myśleć jak o plemieniu, które należy podbić, o scenie - jak o utraconych lennach, które należy odzyskać. Wstydziłam się niczym lwica, która stchórzyła przed inną dziką bestią, i z tego wstydu jeszcze mocniej kołysałam się w przód i w tył. Nie byłam pewna, czy nadal jestem godna nazwiska Wallingford.

Przełknęłam coś gorzkiego, co podchodziło mi do gardła. Aktor, który grał Księcia Werony, przygotowywał się do wejścia na scenę. Rozluźniał nogi, odchrząkiwał, po czym zbliżył się i pogłaskał mnie po głowie.

- Biedna mała - powiedział.

Otóż to. Biedna mała. Siedemnastoletnia Mimi Wallingford, prawnuczka Adelajdy Wallingford, drżąca jak osika, półżywa ze strachu, pragnęła znaleźć się gdziekolwiek, byle jak najdalej stąd. Marzyła tylko o tym, żeby zamienić to życie na jakieś inne.

Czy inni ludzie też o tym marzą? Nie sędzę. Ale nie myślcie, że chcę się uskarżać na swój los. Być może spędzacie dużo czasu przed lustrem, marząc o światłach rampy i oklaskach. To piękne marzenie, póki należy tylko do was. Ale tak się złożyło, że grałam w sztukach Szekspira, odkąd skończyłam trzy latka. Ledwie wyrosłam z pieluszek, matka przypięła mi parę skrzydełek i wyszłam na scenę w *Śnie nocy letniej*. Byłam czymś w rodzaju baśniowej leśnej istotki i matka utrzymuje, że wypadłam uroczo. Od tej roli rozpoczęła się moja kariera - niekończący się ciąg prób i przedstawień, który pozbawił mnie szansy na zwyczajne dzieciństwo. Nie chodziłam do normalnej szkoły, nie miałam koleżanek z sąsiedztwa, nie brałam udziału w zbiórkach skautowskich, w ogóle nic z tych rzeczy. Musiałam tylko uczyć się na pamięć ról i jak najlepiej grać postacie, które nie były do mnie podobne.

Kiedy czekałam na swoje wejście, przypomniało mi się, że jutrzejsze przedstawienie *Romea i Julii* jest już ostatnie w bieżącym programie. Pojutrze mam lecieć do Los Angeles. Spędzę tam dwa miesiące z moją ciotką Mary, która jest chirurgiem. Słońce i plaża uwolnią mnie od tego nieznośnego stanu umysłu i będę miała dość czasu, żeby zastanowić się nad swoją przyszłością.

- Blee - tuż nad moim uchem Troy Summer udał, że wymiotuje. Był pochylony, bo poprawiał sobie rajtuzy. -Nienawidzę takich historii - żalił się dalej, walcząc z obcisłym trykotem. Potem sięgnął pod bluzę i usiłował coś poprawić w tym swoim „opakowaniu”. Pochwyciwszy moje spojrzenie, uśmiechnął się.

- Proszę, postaraj się nie obrzygać mnie w scenie pocałunku.

Po czym wkroczył na scenę z miną aroganckiego głuptasa, bo nim właśnie był. Nie chciał pamiętać, że w pierwszej scenie Romeo jest przygnębiony i zżerany przez tęsknotę. Wyglądał, jakby miał za chwilę podnieść wysoko obie ręce i pozdrowić pierwsze rzędy. Od eksplozji histerycznych okrzyków zadrżały stare mury.

Poczułam kolejną falę mdłości. Fernando znowu podsunął mi miskę pod brodę.

- Wszystko w porządku - skłamałam, odsuwając ją. Spróbowałam zastosować technikę ześrodkowania, której uczył mnie doktor Harmony. Skoncentrowałam się na dźwięku *om*. Fernando musnął pędzelkiem do pudru moją skórę nad górną wargą.

- Świecisz się - szepnął. Wziął szminkę i poprawił linię ust. - Przestań oblizywać wargi. Miej litość nad biednym Fernandem.

- Ta szminka ma smak zjełczalej margaryny - narzekałam. Mówiliśmy ściszym głosem.

-No i co z tego? Uroda wymaga poświęceń. Julia musi być piękna. Piękne kobiety mają urocze, pełne wargi. A ty dziś masz wargi cienkie i zapadnięte, ledwo je widać.

Na scenie Troy mówił swoją kwestię.

*Niestety! Czemuż, z zasłoną na skroni, miłość na oślepe zawsze cel swój goni!**

Na widowni wrzask i ryk.

Przywarłam do oparcia fotela, starając się opanować przerażenie. Po raz stutysięczny usiłowałam zrozumieć, co się ze mną dzieje. Skoro całe życie spędziłam na scenie, skąd nagle ta trema?

* *Romeo i Julia*, tłum. J. Paszkowski

Aktorki grające Piastunkę Martę i Panią Kapuleti szykowały się do wyjścia na scenę. Każda z nich rzuciła niespokojne spojrzenie w moją stronę. Za chwilę czas na mnie. Zaciśnęłam zęby. Światła rampy przygasły, żeby ekipa techniczna mogła zmienić dekoracje. A potem rozjarzyły się na nowo. Piastunka Marta i Pani Kapuleti wkroczyły na scenę.

Gdzie moja córka? Idź ją tu przywołać.

Fernando stanął przy mnie i przeżegnał się. Odetchnęłam głęboko, wstałam z fotela i wygładziłam na sobie długą suknię. Zrobiłam krok, powłócząc nogami obutymi w klapki, w stronę otchłani.

- Gdzie Julia? - zawołała Marta.

Następny krok i jeszcze jeden. Widziałam już publiczność. Ludzie wiercili się, trzeszczały krzesła. W ciszy raz po raz rozlegały się kasznięcia. Czekali na śliczną Julię o pełnych wargach. Tragiczną, chorą z miłości Julię. A szła do nich Julia przerażona, udęczona mdłościami.

- Julia! - powtórzyła Marta. Kolej na mnie.

Przystanąłam w światłach rampy. Marta patrzyła na mnie, unosząc siwe brwi. Teraz moja kwestia.

Otworzyłam umalowane usta, ale właściwa kwestia się na nich nie pojawiła. Zamiast tego nagle zwymiotowałam. Zarzygałam suknię i deski sceny.

Czymże jest nazwa?

(*Romeo i Julia*, akt II, scena 2)

Po każdym przedstawieniu damska garderoba jest pełna hałasu i gorączkowej krzątaniny, tak zatłoczona, że trzeba rozpychać się łokciami, walcząc o skrawek miejsca przy blacie. Ale tego wieczoru usiadłam przed lustrem zupełnie sama, jakby otaczała mnie niewidzialna linia, której nikt nie ośmielił się przekroczyć. Kobiety omijały mnie na paluszkach, jakby się bały, że najmniejszy szmer wywoła nową falę niepowstrzymanych wymiotów. Tylko plecy aż paliły od spojrzeń. Nikt nie powiedział mi złego słowa z powodu tego, co stało się na scenie. Byłam im za to wdzięczna. Starłam się sprawiać wrażenie zupełnie spokojnej, kiedy chusteczką higieniczną ścierałam z twarzy makijaż, dzieło Fernanda. Oczywiście udawałam. W oczach miałam już łzy, które tylko czekały na chwilę samotności, żeby popłynąć rwącym potokiem.

Na drugim końcu holu zastukały wysokie obcasy. W garderobie zapadła nagle cisza, tymczasem obcasy stukały coraz głośniej i szybciej jak mechanizm zegarowy podłączony do bomby. A w każdym stuknięciu obcasa rozbrzmiewał gniew i zawód. Z domieszką wstydu.

-Wyjdźcie - zakomenderowała moja matka, stając w drzwiach garderoby.

Uciekły wszystkie, stare i młode, debiutantki i te, które zjadły zęby na teatralnych występach. Złapały palta i buty i garderoba opustoszała, jakby naprawdę miała w niej wybuchnąć bomba.

- Przepraszam, mamó - wymamrotałam.

Naprawdę było mi przykro. Nie tylko dlatego, że wystawiłam na szwank reputację Wallingfordów. Publiczne upokorzenie było jedną z rzeczy, których zawsze starałam się unikać ze wszystkich sił. Zwłaszcza jeśli miało związek z fizjologią.

Matka poklepała mnie po ramieniu.

- Na szczęście mamy Doris. Co byśmy bez niej zrobili?

Doris, aktorka grająca Piastunkę Martę, doskonale potrafiła improwizować. I to właśnie zaczęła robić. Rozpoczęła kwestię, której nie znajdziecie w tekście sztuki Szekspira.

- Cóż ci się stało, moje jagniątko? - odezwała się, zdejmując fartuch, żeby wytrzeć mi twarz. - Co z tobą, biedna gołąbeczko? - ciągnęła dalej, biorąc mnie pod rękę, żebym nie spadła ze sceny. - Czy to wzburzenie i rozpacz?

Rzuciła fartuch na deski, tak żeby zasłonił paskudną kałużę. Ta część publiczności, która przyszła tylko po to, żeby zobaczyć Troya Summery na żywo i z bliska, nie zorientowała się nawet, że Szekspir nie napisał takiej sceny.

Fernando dał mi płyn do płukania ust, a inspicjent zabrał mój kostium do oczyszczenia i przyniósł mi zastępczy egzemplarz. Graliśmy dalej. Jakoś udało mi się wziąć w garść i trzymałam się nawet wtedy, kiedy Troy prze-

wlekał bez końca scenę śmierci. Na co czekasz? - myślałam. - Wypijże wreszcie tę truciznę!

I wreszcie stanęłam przed lustrem, otoczona niewidoczną linią, której nikt nie śmiał przekroczyć. Chciałam czym prędzej znaleźć się w domu i wleźć pod kołdrę. Albo wypić truciznę Julii i zasnąć na wieki.

Moja matka wzięła leżący na blacie ręcznik i wytarła stołek, zanim usiadła, obciągając na długich udach turkusową spódnicę.

- Powiemy im wszystkim, że to było zatrucie pokarmowe - zdecydowała. - O tej porze roku mule często są niezbyt świeże. Ogłosimy, że zjadłaś nieświeże mule.

Starłam z powiek tusz do rzęs. Dobrze, niech będą mule. Nie miałam ochoty opowiadać publicznie o swoich problemach. Jutro wieczorem spadnie kurtyna i to będzie koniec mojej męki. Czekają mnie przyjemne wakacje w Los Angeles. Będę piła sok ze świeżych pomarańczy i wygrzewała się w słońcu, z daleka od Nowego Jorku, gdzie służby miejskie muszą odśnieżać ulice.

- Po południu dzwonił Reginald Dwill - powiedziała matka. Odłożyłam chusteczkę do usuwania makijażu i oparłam się o blat, przygotowując się na coś, co na pewno nie będzie dobrą wiadomością. - Jest zaintrygowany sukcesem naszego przedstawienia. Chciałby je sfilmować i wydać na DVD. Czy to nie cudowne? Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jaki to zaszczyt wystąpić w jego przedsięwzięciu. Dziś wieczorem mamy się spotkać z agentem Troya, ale będziesz musiała przekonać Reginalda, że jesteś w stanie nad sobą zapanować.

Uśmiech zastygł na ustach matki, kiedy czekała na mój wybuch entuzjazmu.

-Ale przecież miałam lecieć do Los Angeles. Zapomniałaś? Zgodziłaś się, żebym spędziła dwa miesiące u ciotki Mary. Jestem już spakowana!

- To prawda, ale tak było przed telefonem Reginalda. Przyszłość naszego teatru jest ważniejsza. I twoja kariera.

Moja kariera.

Jak sądzicie, ile taka kariera może trwać? Moja prababka zmarła w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, chwilę po zejściu ze sceny. Pochowano ją w jej ulubionym kostiumie Lady Makbet, żeby mogła kontynuować swoją karierę na tamtym świecie. Ale to chyba nie jest całkiem normalne, prawda? Miło, że moja prababka do tego stopnia kochała swoją pracę, ale czy nie jest tak, że większość ludzi przynajmniej raz w ciągu życia zmienia zajęcie? Musiałam jakoś przekonać matkę, że czternaście lat spędzonych na scenie to kawał czasu i wystarczy. I że to nie będzie nic złego, jeśli teraz zechcę zająć się czymś innym.

Przez większą część swojego życia czułam się aktorką, kontynuowałam drogę, którą wyznaczyła dla mnie rodzina, wypowiadałam gładko swoje kwestie, słuchałam poleceń. Droga, którą miałabym wybrać sama dla siebie, jeszcze nie była nawet wytyczona. Na razie czekałam dopiero na pozwolenie rozpoczęcia budowy.

Odwróciłam się od lustra.

- Jak sobie to wyobrażasz? Mam pozwolić się sfilmować w takim stanie? To mbże tylko zaszkodzić.

- Będiesz musiała zapanować nad sobą.

- Ale ja nie potrafię.

-Potrafisz! - powiedziała, strzepując jakiś pyłek ze spódnicy. - Lepiej dla ciebie, żebyś sobie z tym poradziła. Wkrótce będę w stanie spłacić największe długi, a dzięki

nagraniu Reginalda możemy liczyć na nowych inwestorów. Ale nie jestem w stanie wszystkiego zrobić sama.

Otóż to. Jeśli jeszcze się nie zorientowaliście - chciała wpędzić mnie w poczucie winy.

Prawdę mówiąc, litowałam się nad moją matką nie mniej niż nad sobą samą. Kiedyś była aktorką i wszyscy sądzili, że za mojego ojca wyszła dla kariery. Że przez małżeństwo chciała się wkłęcić do klanu Wallingfordów. Ale sławne nazwisko nie wystarcza, by stać się bogatym. A my nie mogliśmy liczyć na żadne inne dochody poza tymi, które przynosił teatr. Po śmierci mojego ojca obowiązki związane z prowadzeniem teatru spadły na matkę. Była to praca ponad jej siły. Matka musiała zrezygnować z tego, co lubiła robić najbardziej. Przemiana z gwiazdki w kobietę interesu była dla niej bolesna. Jeśli chodzi o poziom napięcia, z pewnością mój nie mógł się z tym równać. A kiedy martwiła się o przyszłość teatru, to martwiła się także o moją przyszłość. Jej niespełnione marzenia i ambicje ogniskowały się w tym, co nazywała „moją karierą”.

-Potrzebujesz szerokiej reklamy. Potrzebujesz publiczności nie tylko z Nowego Jorku. Nagranie DVD otworzy przed nami wiele drzwi - złożyła na kolanach wypiełgnowane dłonie i kiedy ścierałam szminkę z ust, dorzuciła: - Mimi, kochanie, wychodzę dziś wieczorem, żeby spotkać się z Reginaldem, ale proszę cię, żebyś pojechała prosto do domu i dobrze się wyspała. Na jutrzejszym przedstawieniu będą wyjątkowi goście i chciałabym, żebyś wypadła jak najlepiej.

- Wyjątkowi goście?

- Tak. Zaprosiłam ludzi z komisji rekrutacyjnej Instytutu Teatralnego. - Instytut Teatralny był uczelnią, na któ-

rej studiowali matka i ojciec. Najbardziej elitarną ze szkół aktorskich Nowego Jorku. - To już ostatni etap w rozpatrywaniu podania o przyjęcie na studia.

- Podania? Ja żadnego podania nie składałam.

- Złożyłam je za ciebie. Na jutro umówiłam się z doktorem Harmony. Przyjdzie zaraz po śniadaniu i będzie z tobą pracował. Chcemy, żebyś na jutrzejszym przedstawieniu była rozluźniona, lecz jednocześnie skoncentrowana.

Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

- Jutro musisz dać z siebie wszystko, Mimi. To będzie najważniejszy wieczór w całym twoim życiu. Studia w Instytucie Teatralnym są właśnie tym, czego potrzebujesz, żeby rozwinąć skrzydła. I jestem przekonana, że intensywny trening pomoże ci wyleczyć się z tej...

Urwała. Chciała powiedzieć „tremy”, ale to by zabrzmiało okropnie, jakbym cierpiała na jakąś chorobę przenoszoną drogą płciową albo coś w tym rodzaju. Wolne żarty. Miałam siedemnaście lat i jeszcze nigdy w życiu nie byłam na prawdziwej randce. Byłam bezterminowo skazana na dziewictwo.

Podjęłam już starania, żeby zapisać się do college'u. To był jeden z powodów mojego wyjazdu do Los Angeles. Dostałam pozytywną odpowiedź z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Ciotka Mary obiecała, że pokaże mi uczelnię. Oczywiście musiałam ten plan ukrywać przed matką, ale naprawdę nie zostawiła mi innego wyjścia. Ostatniej jesieni, kiedy poczta przyniosła katalogi uczelniane, od razu wyrzuciła je do pojemnika na makulaturę. Wyciągnęłam je stamtąd i po kryjomu oglądałam zdjęcia moich szczęśliwych rówieśników z koedukacyjnych szkół. Przez

całe moje życie uczono mnie w domu, lekcje odbywały się w wolnych chwilach między próbami. Marzyłam o tym, żeby nosić plecak, jadać w kafejkach i spać w internacie, gdzie nie ma ani okruszka prasowanego pudru i żadne reflektory nie świecą w oczy. College to moja szansa, żeby wyrwać się z tego życia. Żeby nauczyć się prowadzić samochód. Żeby znaleźć sobie kilka przyjaciółek. I poznać jakichś facetów.

- Twój ojciec i ja kochaliśmy studia w Instytucie Teatralnym - powiedziała matka. - To był najwspanialszy okres w naszym życiu. A teraz będę mogła nawet użyć swoich wpływów, żebyś dostawała dobre role w szkolnych przedstawieniach. I nie będziesz musiała mieszkać w akademiku, jak ja.

Ładny pasztet! Pod moimi stopami otwierała się bezdenna przepaść.

-Mamo, o czym my w ogóle mówimy! - zaczęłam, wzięwszy głęboki oddech. - Kiedy myślałam o studiach, brałam pod uwagę zupełnie inne możliwości...

Zauważyłam, że jej oczy napełniły się łzami. Ale czy to prawdziwe łzy? Przecież kiedyś była aktorką.

- Chcę tylko twojego dobra, kochanie. Kiedy odejdziesz, będziesz musiała radzić sobie sama. Tak jak ja po śmierci twojego ojca.

-Mamo, myślałam o kursie przygotowawczym na studia medyczne.

- Znowu? - podniosła brwi. - Przecież nie możesz nawet patrzeć na krew. Jesteś na to zbyt wrażliwa. Powinnaś czym prędzej zapomnieć o tych mrzonkach i rozwijać talent dany ci od Boga. Jesteś artystką. Nie możesz porzucić teatru, tak jak Szekspir nie mógł porzucić pióra.

Wstała i musnęła ustami mój policzek.

- Szofer już czeka. Jedź do domu.

- A co z moim lotem do Los Angeles?

- Już anulowałam twój bilet.

Ruszyła w stronę wyjścia i omal nie wpadła na jedną ze sprzątaczek, które podsłuchiwały pod drzwiami.

- Do widzenia, moje panie - powiedziała do nich z wymuszonym uśmiechem.

Rozstąpiły się przed nią jak włosy pod grzebieniem Fernanda, kiedy robi przedziałek. Powstrzymując łzy, usuwałam z twarzy resztki makijażu, a stukot wysokich obcasów Veroniki Wallingford oddalał się coraz bardziej.

Tego wieczoru spadły na mnie aż trzy bomby. Nagranie DVD, szkoła teatralna i odwołanie wyjazdu do Los Angeles. Przykro to powiedzieć, ale w tamtej chwili znajdowałam się w stanie przypominającym wstrząs pourazowy.

Przechodzący obok garderoby pracownicy techniczni umawiali się na spotkanie w pubie. Właśnie wiązałam sznurowadła, kiedy wpadł Troy.

- Widziałaś Clarissę?

Potrząsnęłam głową. Clarissa była moją dublerką i aktualną sympatią Troya, który obstawiał co tydzień inną dziewczynę.

- Kazałem jej czekać tu na mnie - powiedział i usiadł na jednym z krzeseł. - Całe szczęście, że to już koniec. Rzygam Szekspirem. Nic z niego nie rozumiem.

Rzygał Szekspirem? Szekspir był całym moim życiem. Był tym, co jadłam, co piłam i co wydalalam. To prawda, Szekspir był genialny, ale pewnie słyszeliście o czymś, co nazywa się przesytem? Gdybym musiała zamieszkać

na bezludnej wyspie i już nigdy w życiu nie zetknąć się z ani jednym szekspirowskim wersem, nie poczułabym, że czegoś mi brakuje.

- Zgodziłem się na to tylko dlatego, że zdaniem mojego agenta Romeo to najlepsza rola dla aktora, który jest symbolem seksu - powiedział Troy.

Co za pycha! Ale po co on mi to w ogóle mówi? Zająłabym się sznurowadłami z taką uwagą, jakby były najważniejszą rzeczą na świecie. Unikałam Troya od chwili naszego pierwszego scenicznego pocałunku - pocałunku, który utknał mi w pamięci, jakbym się nim udławiła i nie mogła wypluć.

A oto co się wydarzyło: pewnego dnia Troy przyszedł do sali prób w swoich ciemnych okularach, opalony na brąz. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Cała żeńska część obsady wpatrywała się w niego jak urzeczona. Dobrze wiedział, jakie zrobił wrażenie, i wyglądało na to, że syci się naszym zachwytem, że uwodzi każdą z nas swoimi miękkimi ruchami z wideoklipu. Ale to na mnie zwracał uwagę, bardziej niż na inne dziewczyny. Częstoował mnie swoją wodą mineralną i kawałkami batonów. Zapytał nawet reżysera, czy moglibyśmy mieć dodatkową próbę we dwoje, żeby lepiej dopracować wspólne sceny. Nie miałam nic przeciwko temu. Wprost przeciwnie.

Tak, wzięło mnie na całego. Przyznaję. Gapiłam się na jego wytarte dzinsy, miękkie jak aksamit, opięte na udach. Nawet w największe mrozy przychodził w podkoszulkach z logo sprzętu do surfingu na szerokiej piersi. Podobały mi się małe włoski rudawoblond, porastające jego ramiona, i długie jasne rzęsy, które mogłam zobaczyć tylko z bliska. Kupiłam trzy jego płyty z piosenkami i *Troya*

w *opalach* na DVD, serial komediowy z kablówki, od którego zaczęła się jego szalona kariera.

Przed próbą do sceny z pocałunkiem nie mogłam spać przez całą noc. Ćwiczyłam z lustrem w łazience. Zdecydowałam, że zamknę oczy, bo inaczej na pewno zrobiłabym zeza. A potem na oczach całej obsady Troy Summer przechylił się nad balustradą balkonu i jego wargi przyłgnęły do moich. Wcale nie były tak chłodne jak moje lustro. Zamarłam. Nie miałam pojęcia, co zrobić. Otworzyć usta? A może wyprężyć szyję jak aktorki w niemych filmach? Troy oderwał usta od moich. Otworzyłam oczy i zobaczyłam uśmiech na jego twarzy. Nie, raczej uśmieszek.

Zgadł. Zgadł, że to był pierwszy pocałunek w moim życiu.

- Powinnaś nad tym jeszcze popracować - szepnął mi do ucha.
- Z przyjemnością udzielię ci korepetycji.
- To było doskonale - powiedział reżyser. - Tak właśnie powinien wyglądać dziewiczy pocałunek.

Chciałam umrzeć, ale śmierć nigdy nie zjawia się na zawołanie. Zaczerwieniłam się i poprosiłam o przerwę na pójście do łazienki. Potem Troy zaczepił mnie, pytając, czy wybrałabym się z nim na kolację... i może nie tylko.

Kiedy bożyszczce nastolatek, obiekt westchnień wszystkich twoich rówieśniczek, chce ci dawać korepetycje z pocałunku, są dwie możliwości. Albo zgadzasz się z zachwytem, albo czujesz się okropnie upokorzona.

- Dziękuję, ale... nie - powiedziałam, mobilizując całą swoją dumę, i szybko odeszłam. Tego wieczoru zaprosił na kolację Dominique, asystentkę reżysera. W następnym tygodniu Lauren, inspicjentka, wisała u jego ramienia podczas każdej przerwy. Okazało się, że odrzucenie

jego oferty było słuszną decyzją. Byłabym dla niego tylko kolejną zdobyczą. Zaczęłam więc ignorować go konsekwentnie, z wyjątkiem tych chwil, kiedy akurat byliśmy na scenie. Nadal wyznawaliśmy sobie miłość, ale moje pocałunki nie trwały dłużej niż to konieczne, a usta miałam przy tym zasznurowane.

Ale właśnie tamtego wieczoru, przed rokiem, siedziałam z Troyem w garderobie sam na sam. Wiele dziewczyn dałoby się pokrajać za to, żeby znaleźć się na moim miejscu, a ja myślałam tylko o jednym - jak uciec. Czyżbym nie dała mu jeszcze wystarczająco jasno do zrozumienia, że nie interesuje mnie rola jednej z jego rozlicznych fanek? Nie potrzebowałam brać korepetycji z pocałunków od najgorszego kretyna na tym świecie. Niech sobie nie wyobraża, że robi mi łaskę. A właściwie na jakiej podstawie uważał się za specjalistę w tej dziedzinie? Ćwiczenie nie zawsze czyni mistrza. Równie dobrze - pomyślałam - mógł być skończonym partaczem.

- Jeśli się nad tym zastanowić, *Romeo i Julia* to strasznie głupia historia - powiedział. - Który facet otrulby się z powodu dziewczyny, której prawie nie zna? Romeo musiał mieć nierówno pod sufitem.

I właśnie dlatego świetnie nadajesz się do tej roli - pomyślałam.

Zaczął się bawić oprawką od szminki.

- Teraz rozmawiają o tym nagraniu na DVD.

- Wiem. - Mój głos zabrzmiał szorstko i nieprzyjaźnie.

- A jak tam trema? Dzisiaj się zarzygałaś od góry do dołu.

Dziękuję ci pięknie, że zechciałeś mi o tym przypomnieć - pomyślałam. Moja duma uschła prawie całkiem

i rozsypała się w pył, zostały z niej marne resztki. - Rzygałam, bo zjadłam nieświeże mule.

- Dobra, dobra - powiedział, odrzucając z czoła złocisty pukiel. - Nikt ci nie uwierzy w tę bajeczkę.

Zdjęłam kurtkę z wieszaka.

- Mam to gdzieś - oświadczyłam.

- Jutro znikam, kiedy tylko spadnie kurtyna. Lecę na Wyspy Dziewicze. Nagrywam tam klipa. - Może jestem przewrażliwiona, ale miałam wrażenie, że zawahał się, zanim wymówił słowo „dziewicze”. - Chcesz posłuchać mojej nowej piosenki?

- Nie bardzo - odpowiedziałam, zapinając guziki.

- Ale powiedz mi, czy ci się podoba.

Zachowywał się, jakby nauki słuchania rozmówcy pobierał u samej Veroniki Wallingford. Odchrząknął i zaczął śpiewać, wystukując rytm palcami na blacie.

Dziewczyno, dla ciebie się błąkałem...

Dziewczyno, dla ciebie żeglowałem...

Po oceanach miłości... Po oceanach miłości...

Dziewczyno, dla ciebie powróciłem...

Dziewczyno, i dla ciebie rzuciłem...

Wgłębię ziarno miłości... W głębię ziarno miłości...

Otworzyłam szeroko usta ze zdumienia, kiedy Troy zaczął poruszać do taktu ramionami i wyrzucać palec wskazujący w moją stronę za każdym razem, kiedy śpiewał „Dziewczyno”. Co za osioł! I-o zgrozo! - był jeszcze dalszy ciąg.

Dziewczyno, oooo, oooo, oooo, oooo, dziewczyno! O tobie śpiewam, dziewczyno!

Nagle urwał, przestał stukać i spojrzał na mnie.

- No i jak? Tylko powiedz mi szczerze, co myślisz.

- Głupawe - powiedziałam.

-Głupie jak nie wiem co - zgodził się. Przygładził dłonią gęste włosy. - Jakiś baran to napisał. Próbowałem namówić producenta, żeby zamiast tego nagrał którąś z moich własnych piosenek, ale on mówi, że są „zbyt alternatywne”. On nie docenia inteligencji dziewczyn, które kupują moje płyty. Muzyka nie musi zawsze być grzeczna. Zgadzasz się?

Do garderoby weszła Clarissa, moja dublerka.

- Jestem, kochanie - powiedziała i objęła Troya w pasie. Po czym rzuciła mi złośliwy uśmiešek. - Słyszałam, że idziesz na studia do Instytutu Teatralnego.

Plotki rozchodziły się bardzo szybko.

- To nic pewnego - bawiłam się rękawiczkami i upuściłam je.

- Oczywiście, że to coś pewnego - odparła. - W końcu należysz do rodziny Wallingfordów.

Moje nazwisko wypowiedziała takim tonem, jakby musiała pozbyć się czegoś, co zalegało jej w gardle.

- Nic pewnego, naprawdę. Nie wiem, czy tego chcę -powiedziałam i włożyłam rękawiczki.

- Nie wiesz, czy chcesz? Z byka spadłaś? Ja bym mogła zabić, żeby się tam dostać! - Stała przede mną, w jej oczach zalśniła zawiść. - Ale nie mam znajomości. Mam tylko talent! Więc chyba jestem bez szans.

Łzy, które tylko czekały na sposobność, teraz popłynęły mi z oczu. Clarissa powiedziała prawdę i ta prawda mnie zabolęła.

-Wiesz co? Naprawdę chyba jesteś zestresowana -powiedział do mnie Troy, gdy usiłowałam stłumić łkanie. - Powinnaś urwać się z Nowego Jorku chociaż na chwilę. Parę osób z obsady jedzie ze mną na Wyspy Dziewicze. Będzie wypas!

Po co mi o tym mówił? Włożyłam czapkę.

- Jedź z nami - dorzucił. - Możesz nawet wystąpić ze mną jako Czwarta Dziewczyna w Bikini.

Popatrzyłam na Troya, pięknego, złotowłosego, uwielbianego przez tłumy, i nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Troy litował się nade mną. Znałam to spojrzenie. Podobne miałam dla kota sąsiadów, kiedy gówienko przy-kleіło mu się do tyłka.

- Dziękuję ci... Nie, wcale ci nie dziękuję.

Chwyciłam plecak i wyszłam z garderoby. Tłum nadal tkwił pod wejściem dla aktorów, więc zeszałam szybko do głównego holu, gdzie nie było już ani publiczności, ani pracowników. Szofer czekał na mnie przed szklanymi drzwiami.

Miałabym być Czwartą Dziewczyną w Bikini w wideo-klipie Troya Summery?! Moja matka dostałaby apopleksji. Trochę reklamy, owszem, sama uważała, że to mi się przyda, ale nie o taką reklamę jej chodziło. Przez bardzo krótką chwilę rozważałam myśl, że mogłabym to zrobić. Zbuntować się. Miałabym piasek pod stopami i gorące słońce na policzkach. I popijałabym mleczko kokosowe, w moich uszach dźwięczałby ten refren: „Dziewczyno, oooo, oooo, oooo, dziewczyno!”. Ale wtedy zrobiłam to, co zwykle robię, kiedy wychodzę z Teatru Wallingford. Odwróciłam się i popatrzyłam na portret mojej prababki.

Adelajda odwzajemniła spojrzenie, a jej zielone oczy i lekko urażona mina przywróciły mi kontakt z rzeczywistością.

- Chcesz się zbuntować? - wyobraziłam sobie jej głos. - Zastanów się, Mimi, co się z tobą stanie, kiedy porzucisz teatr. Co ty w ogóle potrafisz robić? Masz jeszcze jakieś inne talenty?

Nie umiałabym na to odpowiedzieć.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo świat jest bezwzględny. Wiem coś o tym, bo przybyłam do tego kraju bez jednego pensa w kieszeni. Przybrałam nazwisko Wallingford, od fabryki, w której pracowałam, w biednej robotniczej dzielnicy, i nadałam mu prawdziwy blask.

- Tak, wiem - mruczałam.

-Dokonałam tego i nie życzę sobie, żeby moja prawnuczka, która nosi nazwisko Wallingford, spostonowała je, kręcąc gołym tyłkiem w jakimś wideoklipie.

Mogłaby tak nadawać do rana, gdybym tylko jej na to pozwoliła. Ale opuściłam hol, a ciężar rodzinnego dziedzictwa znowu przygniatał mi barki.

I mój bunt rozszedł się po kościach.

Co mi w ogóle strzeliło do głowy? Przecież nawet nie miałam bikini.

Zima goryczy naczaj
(*Ryszard III, akt I, scena 1*)

Śnieg padał i padał. Wycieraczki pracowały miarowo, a ich rytm przypominał mi okropną piosenkę Troya. Byłam wściekła na siebie za to, że rozplakałam się w obecności Clarissy. Nic tym dwojgu do mojego nieszczęścia. Potem pewnie natrząsali się ze mnie, idąc razem na jakąś imprezkę. Śmiali się z dziewczyny, która ma wszystko, ale nie umie się tym cieszyć.

Opady śniegu zamieniły nasz dom z czerwono-brunatnego piaskowca w coś, co z daleka przypominało zamrożony piernik. Podziękowałam szoferowi i ostrożnie stanęłam na śliskim chodniku. Właśnie wracał do domu Larry, nasz sąsiad. Gdy ślizgał się, z trudem utrzymywał równowagę, a na jego szyi kołysał się masywny srebrny krzyż.

-Cześć, Mimi - powiedział i przeniósł parasol nad moją głowę. Zaoferował mi też swoje grube ramię. - Jak się udało przedstawienie?

- Narzygałam na scenę. Roześmiał się. Był pewny, że żartuję.

- Nie, mówię serio. Wywaliłam obiad na deski, przy pełnej sali.

- Święty Franciszku! - zawołał, kręcąc głową. Po czym poklepał mnie po ramieniu. - Spójrz na to z jaśniejszej strony. Takiego przedstawienia nikt prędko nie zapomni.

Wyjęłam pocztę ze skrzynki i ruszyłam po schodach na drugie piętro. W mieszkaniu powitał mnie chłód i cisza. Snująca się wszędzie woń cytryn świadczyła o tym, że była dziś u nas sprzątaczką. Obie z matką spędzałyśmy w domu tak niewiele czasu, że nie miał kiedy nasiąknąć zapachami naszego życia. Nie gotowałyśmy i nie hodowałyśmy żadnych roślin ani zwierząt - jeśli pominąć rachitycznego kaktusa, który jakoś jeszcze nie zdecydował się uschnąć. Miejsce to było tak pozbawione życia, że przypominało rodzinny grobowiec.

Zamknęłam za sobą drzwi, włączyłam ogrzewanie, a pocztę, rękawiczki i plecak rzuciłam na kuchenny stół. Kiedy otwierałam lodówkę, z głodu burczało mi w brzuchu. Matka zamawiała gotowe jedzenie. Ktoś dostarczał je nam raz w tygodniu w schludnych opakowaniach ze specjalnego woskowanego papieru. Matka dbała o to, żeby potrawy były niskokaloryczne i prawie beztłuszczowe. Dlatego ojciec wołał jadać w restauracji na rogu, gdzie mógł się delektować kiełbaskami i tłuczonymi kartoflami w zawiesistym sosie - i to bez wątplenia przyczyniło się do choroby serca, która go w końcu zabiła. Wyciągnęłam pudełko z napisem „Pilaw z suszonymi pomidorami” i wsunęłam je do mikrofalówki.

Tego wieczoru wypadłam beznadziejnie. A przecież podczas poprzednich przedstawień jakoś udawało mi się utrzymać treść w ryzach. Owszem, moja Julia mogła wydawać się nieco bardziej nerwowa niż w innych interpretacjach, może trochę dzika, ale nic ponadto. A tego

wieczoru wydarzyła się właśnie rzecz, której najbardziej się obawiałam. Co będzie jutro, jeśli tak dalej pójdzie? Czy dostanę na scenie rozwolnienia?

Podczas gdy mikrofalówka mruczała cicho, zdjęłam czapkę i zaczęłam mówić do siebie, rzecz zupełnie normalna, kiedy nie mamy z kim pogadać. Przemowy w samotności pozwalają nam wywalić prosto z mostu wszystko to, czego nie odważamy się powiedzieć osobom, które doprowadzają nas do szału. Powiedziałam więc Clarissie, że nie ma prawa mnie osądzać. Powiedziałam Troyowi, że jest dupkiem i żeby sobie nie wyobrażał, że choć trochę mi się podoba. Mojej matce powiedziałam, że ma przestać dyrygować moim życiem. Powiedziałam ojcu, że nigdy mu nie wybaczę tego, co mi zrobił: umarł młodo i zostałyśmy same z tym zatechłym ze starości teatrem. A Szekspirowi powiedziałam, że jego sztuka pod tytułem *Romeo i Julia* jest do niczego, bo wszyscy zginą i nikt nie dostanie tego, czego pragnął. Co to w ogóle za zakończenie? Ja napisałabym inne.

Usiadłam przy kuchennym stole i zaczęłam jeść pilaw. W środku był jeszcze całkiem zimny, ale tym się nie przejmowałam. Kiedy jestem podminowana i niespokojna, jedzenie i tak nie sprawia mi żadnej przyjemności. Poczta leżała nadal na stole, na wierzchu widziałam brązową, miękką kopertę. Adresowaną do mnie. Z firmowym nadrukiem Kliniki Rodzinnej w Los Angeles. W tym szpitalu pracowała moja ciotka.

W tamtym czasie moja matka chyba trochę pogardzała ciotką Mary. Zerwały ze sobą po śmierci mojego ojca. Matka przetrząsnęła całe mieszkanie i wyrzuciła wszystkie zdjęcia ciotki, jakie wpadły jej w ręce. Ale schowałam

jedną zapomnianą fotografię, która zaplątała się do pudełka z pojedynczymi spinkami od mankietów. Została zrobiona mniej więcej wtedy, kiedy Mary ukończyła uczelnię medyczną i wyjechała do Afryki. Nosi na nim biały fartuch, u jej szyi wisi stetoskop i otaczają ją dzieci o skórze tak czarnej, że wpadającej w fiolet.

Pewnego dnia matka zobaczyła to zdjęcie w moim pokoju.

- Na miłość boską, po co je tu trzymasz?

Często wpatrywałam się w to zdjęcie. Zastanawiałam się, jak to jest mieszkać tam, gdzie ludzie są tacy biedni.

- Dlaczego już nie spotykamy się z ciocią Mary?

- Dlatego że jest samolubna. Opuściła nas, kiedy twój ojciec był chory.

- Ale leczy biednych Murzynów.

- W Nowym Jorku też nie brakuje biednych. Dlaczego nie chciała zostać tutaj i ich leczyć? Kiedy twój ojciec zachorował, teatr był zagrożony i potrzebowaliśmy od niej pomocy. W końcu przecież i ona nazywa się Wallingford.

Mimo kolejnych ataków serca ojciec nadal pracował jako dyrektor teatru. Matka była przekonana, że zabił go stres związany z tym zajęciem. Wszystkim wokół mówiła, że gdyby Mary pomogła, ojciec żyłby nadal. Ojca zabił zakrzep, na który złożyły się smażony sum, kiełbaski w tłustym sosie i pączki.

Uzależnienie od tłustych potraw nie było jedyną sprawką, jaką ukrywał mój poczciwy tato. Po jego śmierci okazało się, że tkwimy po uszy w długach. Brał pożyczki na prawo i lewo, żeby teatr mógł się utrzymać na powierzchni. Do samego końca nosił wspaniałe garnitury i urządzał bajeczne przyjęcia. Nikomu nie przyszłoby do

głowy, że możemy się znaleźć na krawędzi nędzy. Nawet matce.

Po pogrzebie ojca Mary zniknęła na dwa lata w Nowej Zelandii. Potem wyjechała na Kostarykę. Ale starała się nigdy nie tracić mnie z oczu. Wypytywała mnie o sztuki, które gramy, o teatr i nawet o mamę. Powiedziała mi, że amerykańscy lekarze mogą pracować na całym świecie. Wszędzie. To brzmiało emocjonująco. Zaczęłam wyobrażać sobie siebie samą w białym fartuchu, ze stetoskopem na szyi. Parę lat temu, kiedy wyjechała do Los Angeles, żeby tam otworzyć własną klinikę, zrozumiałam, że lekarze mają przed sobą nieograniczone możliwości.

Odsunęłam pilaw i sięgnęłam po tę brązową kopertę. Wyjęłam z niej list i coś małego, zawiniętego w bibułkę. Był to srebrny łańcuszek. Wisiała na nim maleńka szklana fiolka wypełniona srebrzystym proszkiem.

Zaczęłam czytać.

Droga Mimi,

twój ostatni list zaniepokoił mnie tak bardzo, że przez cały wieczór przeglądałam moje stare podręczniki psychologii, żeby znaleźć jakiś sposób na twoją treść. Zgadza się z doktorem Harmony, że techniki ześrodkowania mogą tu pomóc. Ale wygląda na to, że jednak nie pomogły. Twój stan się pogorszył. Myślę, że zmiana otoczenia jest w tej sytuacji bardzo wskazana. Nie mogę się już doczekać twojego przyjazdu. Nie zapomnij zabrać kostiumu kąpielowego!

Całuję cię

Ciotka Mary

PS Porządkując stare szuflady, znalazłam ten naszyjnik. Kupiłam go kiedyś w antykwariacie, w Stradfordzie nad Avo-

nem, zanim rozpoczęłam studia. Właściciel zapewniał mnie, że to rzadka rzecz, ale sądzę raczej, że tylko błyskotka dla turystów. W każdym razie zabawna. Może przyniesie ci szczęście podczas twoich ostatnich przedstawień. Spróbuj. Na pewno nie zaszkodzi.

Ciotka przypięła do listu karteczkę. Było na niej napisane:

Amulet Szekspira

W roku 1890 pan Burtrand, marszand sztuki i kolekcjoner przyborów do pisania, które należały do Szekspira, wystawił na aukcję swoją kolekcję. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w przeddzień tej aukcji pożar strawił jego dom i kolekcja uległa zniszczeniu.

Będąc jednak zdolnym handlowcem, pan Burtrand zebrał popiół, pozostały po spalonej kolekcji, i nappełnił nim miniaturowe flaszki. Ogłosił, że zamknął w nich geniusz Szekspira, przepływający z dłoni na papier przez jego ulubione gęsie pióra.

To jedna z tych właśnie flaszeczek. A jeśli te popioły pochodzą z pióra, którym Szekspir napisał Hamleta, Wieczór Trzech Króli albo Romea i Julię, bądź pewien, że odmienią one twój los.

Obejrzałam maleńką fiolkę. Zawierała być może popiół z czyjegoś kominka. Ale dostałam ją od ciotki Mary i dlatego sprawiła mi trochę radości.

Radość nie trwała jednak długo. Kiedy przeglądałam pozostałą pocztę, moje myśli znowu krążyły wokół matki. „Musisz podbić publiczność spoza Nowego Jorku” - powiedziała mi. Przekładałam koperty coraz szybciej. „In-

stytut Teatralny jest właśnie tym, czego potrzebujesz, żeby rozwinąć potencjał". Cisnęłam koperty na podłogę i uderzyłam pięścią w stół. Cholera!

Wyrzuciłam do śmieci resztę pilawu. Chciałam już tylko położyć się do łóżka i zniknąć w świecie snów, w którym byłam sierotą. Sieroty zawsze skarżą się na swój los, lecz mnie wydawał się on nie najgorszy. Kiedy zbierałam z podłogi porozrzucaną pocztę, jedna z kopert przykleiła się do mojej podeszwy. Próbowałam ją strząsnąć, ale nie chciała się odkleić. Z wściekłością wdeptywałam ją w podłogę tak mocno, że się w końcu rozdarła. Wtedy pochyliłam się i odkleiłam ją od obcasa. Podobne koperty widziałam wiele razy. Przysyłała je dość często spółka Stronghead, Usługi Finansowe. Były adresowane do Veroniki Wallingford. Spod rozerwanego papieru wyjrzały słowa „Fundusz powierniczy”. Wyjęłam z koperty rozliczenie.

Kiedy wspominam tamtą chwilę, mam wrażenie, że o pieniądzech nie miałam wtedy zielonego pojęcia. Wiedziałam tylko, że jako aktorka dostaję wypłatę czekiem i ten czek jest od razu wysyłany do funduszu powierniczego. Wiedziałam, że pieniądze odkładane w tym funduszu będę mogła wypłacić, kiedy skończę osiemnaście lat. Tego rozwiązania nigdy nie podawałam w wątpliwość. Potem mój wzrok padł na słowa: Beneficjent - Michelle Adelaide Wallingford. To mój fundusz powierniczy. To tam trafiają wszystkie moje pieniądze. Ale cóż za odkrycie! W rubryce „saldo” przeczytałam: 532\$. Czyżbym czegoś nie zrozumiała? Z moich obliczeń wynikało, że brakuje ładnych paru zer. Przesunęłam palec do rubryki „wypłaty” i zatkało mnie. Suma wypłacona z funduszu miała wszystkie brakujące zera.

Jak to: wypłacona? Przecież nie wypłacałam pieniędzy z funduszu powierniczego!

Zabrałam rozliczenie do swojego pokoju i zamknęłam drzwi na klucz. Sprzątaczką odkurzyła moje półki na książki i ładnie ułożyła poduszki. Rzuciłam na łóżko szokujący dowód rzeczowy. Zdziwiłam się nawet, że nie wypalił dziury w pledzie. Matka wypłaciła moje pieniądze. Czy to zgodne z prawem? Pomyślałam, że sierota nie ma matki, która mogłaby ją okraść.

Przebrałam się w nocną koszulę, umyłam zęby, zgasłam lampkę, a potem usiadłam na parapecie, przyciskając nos do szyby oblepionej płatkami śniegu. Jej chłód dziwnie mnie uspokajał. Starsza pani w swoim mieszkaniu po drugiej stronie ulicy oglądała telewizję. Kolana miała przykryte kraciatym kocem, spod którego wystawały stopy. Jej czarno-biały kot siedział sobie na parapecie, jak zwykle. Rankiem zawsze przyglądał się ptakom i wiewiórkom, które biegały po gałęziach klonu. A wieczorem tylko przyciskał nos do szyby, tak jak ja.

Czy on też czuje się, jakby tkwił w pułapce? Uwięziony w życiu, którego by nie wybrał? Czy gdyby mógł, uciekłby przez to okno? Zaryzykowałby skok przez całą szerokość ulicy, na zbawczą gałąź klonu?

Wzięłam w dłonie szekspirowski amulet, a czarno-biały kot poruszył pyszczkiem, jakby miauknął. I zwinął się w kłębek, pogodzony ze swoją niewolą.

To, co robimy, i to, co chcielibyśmy robić, wydało mi się tak różne jak piosenka Troya Summerra i sonet Szekspira.

Strach z wszystkich ludzkich uczuć najpodlejszy
(*Ryszard VI, część I, akt 1, scena 5*)

Nazajutrz wsiadłam do limuzyny, żeby udać się do teatru na ostatnie przedstawienie najpopularniejszej tragedii Szekspira. Zazwyczaj uczucie paniki nie pojawiało się, póki nie dotknęłam stopą trotuaru przed teatrem. Ale tego wieczoru, ledwie odjechaliśmy sprzed domu, zaczęłam się pocić jak mysz. Moje serce biło ze dwa razy szybciej niż zwykle, a lęk sparaliżował mi kończyny.

Przeżyliście kiedyś atak paniki? Słyszeliście o tym, że należy patrzeć na świat z lepszej strony, widzieć szklanekę do połowy pełną zamiast pustej do połowy? Otóż podczas ataków paniki świat nie ma tej lepszej strony. A mnie właśnie dosięgną! atak paniki.

To, że nie spałam przez całą noc, nie poprawiło mojej sytuacji. Ani na chwilę nie mogłam zapomnieć o rozliczeniu z funduszu powierniczego. Próbowałam zadzwonić do Stronghead, Usługi Finansowe, ale była niedziela, więc mogłam tylko nagrać się na automat. Gdybym naprawdę chciała usłyszeć, co się stało z tymi pieniędzmi, musiałabym zadać to pytanie osobie, która siedziała w tej samej limuzynie, tuż obok mnie.

- Być może cała twoja przyszłość zależy od dzisiejszego przedstawienia - powiedziała matka.

Co takiego? Jestem dziś wrakiem człowieka. Czemu nie mogę liczyć na odrobinę współczucia?

Zacisnęłam zęby i starałam się odsunąć jej głos przez powtarzanie mojej mantry. Ommm yaaa... ommm yaaa...

- Nie ma lepszej szkoły niż Instytut Teatralny - strzepnęła jakiś pyłek z mojego rękawa. - Jeśli chcesz się rozwijać jako aktorka, musisz przejść przez ten trening. Bez niego można skończyć w którejś z tych oper mydlanych, jak twój kuzyn Greg.

Przymrużyłam oczy i obraz jej twarzy rozmył mi się w oczach, zlewając w jedno z futrzanym kołnierzem.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytała. - Jak?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Chodzi mi o tę minę, którą właśnie zrobiłaś. O tę minę.

Daj spokój - pomyślałam. - Zostaw mnie. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

- Mimi, odpowiadaj, kiedy cię o coś pytam.

No i masz to, czego chciałaś. Nie mogłam już dłużej się powstrzymać. Przestało mnie to obchodzić, że jest zestresowana i niespełniona. Nie dam się wpędzać w poczucie winy, raczej sama zaatakuję.

-Dlaczego wypłaciłaś pieniądze z mojego funduszu powierniczego?

Zagrała tę scenę na zimno. Wytarła nadmiar szminki z kącika ust, potem otworzyła torebkę i zaczęła w niej czegoś szukać.

-Dlaczego wypłaciłaś pieniądze z mojego funduszu powierniczego? - powtórzyłam o ton wyżej.

- Nie podnoś na mnie głosu - powiedziała, otwierając puderniczkę. - Nie zabrałam ci tych pieniędzy, tylko je pożyczyłam.

- Ale to moje pieniądze.

-Jestem twoją matką. I prawną dysponentką twoich pieniędzy, póki nie skończysz osiemnastu lat. To całkowicie legalne, a ty nie powinnaś sobie tym zawracać głowy.

- Co z nimi zrobiłaś?

- W ostatnim kwartale teatr utracił płynność finansową. Ale dzięki Troyowi i jego fankom zaczynamy powoli wychodzić z kryzysu.

A więc we dwoje finansowaliśmy teatr, Troy i ja.

- W swoim czasie cała suma wróci na twoje konto -dorzuciła.

-W swoim czasie? - to nie zabrzmiało dobrze. Ale matka już przeszła do ataku.

- Jak się o tym dowiedziałaś? Otwierasz moje listy? To nie jest w porządku, Mimi.

Podobnie jak sięganie po czyjeś pieniądze bez pytania - pomyślałam.

Poczułam, że pocę się cała, nawet na udach i łydkach.

-Nic mi o tym nie powiedziałaś. A ja zarobiłam te pieniądze ciężką pracą.

- Ciężką pracą? Ty? - matka spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym ją spoliczkowała. - Nie zapominaj, moja panno, że nie ma na tym świecie większego ciężaru niż samotne rodzicielstwo. Ale nie spodziewałam się, że docenisz moje poświęcenie. Jesteś na to jeszcze za młoda.

Sięgnęła do torebki i wyjęła chusteczkę higieniczną, którą otarła kącik oka.

-Nie powinniśmy się kłócić. Musisz się teraz skoncentrować na dzisiejszym przedstawieniu, na przyszłości, na swoich marzeniach.

- To nie są moje marzenia - wymamrotałam - tylko twoje. Ogromna różnica.

- Nie bądź śmieszna, Mimi. I myśl o swoim występie. Dziś jest ostatnie przedstawienie.

Ale nie było wcale ostatnie. Nie dla mnie. Bez pieniędzy, które leżały w funduszu powierniczym, nie będę mogła zapłacić za studia medyczne w Los Angeles ani nawet w Backwood. Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Będę musiała występować w teatrze Wallingford, póki nie wypadną mi zęby, a kości nie zje osteoporoza. Póki skóra mi się nie pomarszczy. Wtedy dopiero jakiś następca Fernanda będzie miał na co narzekać. Scena po scenie, przedstawienie po przedstawieniu, sezon po sezonie. I pochowają mnie w kostiumie Królowej Gertrudy, na wypadek gdyby Bóg okazał się wielbicielem *Hamleta*.

Za zakrętem, kiedy przed nami ukazał się teatr, strach chwycił mnie za gardło. Fanki Troya trwały już na posterunku. Zbiły się w grupki. Niektóre się przytulały, bo marzły. Matka zaczęła znowu swoje.

-Komisja z Instytutu Teatralnego pod przewodnictwem Reginalda Dwilla zasiądzie ze mną pośrodku szóstego rzędu. Nie spraw nam zawodu.

Nagle okazało się, że nie mogę zaczerpnąć powietrza. Zacisnęłam ręce na kolanach, przymknęłam oczy, a moje serce waliło jak oszalałe i nie mogło się uspokoić. Głos matki wydał mi się daleki, jej słowa brzmiały jak jednostajny szum. Limuzyna ze skórzaną kanapą wydała mi się klatką, więzieniem. Powietrze w niej było gęste i dławiące

jak smog. Dusiałam się. Tonęłam. Jak uciec od tego okropnego uczucia? Gdzie się podział tlen?

- Mimi! - matka stała już na chodniku i patrzyła na mnie przez otwarte drzwi samochodu. - Mimi, na co czekasz?

Nie mogłam się ruszyć. Próbowałam, ale nie mogłam. Chciałam wyskoczyć na ulicę i uciekać, byle dalej od teatru. Ale tkwiłam w miejscu, a pot spływał po moim kręgosłupie. Gdyby serce biło choćby odrobinę szybciej, chyba wyrwałoby się na zewnątrz, wydzierając dziurę w ubraniu.

Matka zajrzała do samochodu.

- Mimi, czemu tak ciężko oddychasz? O Boże! Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że znowu cię mdli?

Nie sposób prowadzić normalnej rozmowy podczas ataku paniki. Kiedy czujemy nóż na gardle, słowa na nic się nie zdadzą, a wszystkie myśli pędzą w jedną tylko stronę. Wiedziałam swoje: za nic nie wejdę do tego budynku. Tam oszalałabym do reszty. Zarzygałabym całą scenę, zapomniałabym tekstu, narobiłabym sobie wstydu na całe życie. I wylądowałabym w jakiejś operze mydlanej razem z moim kuzynem Gregiem, i być może tam mogłabym przynajmniej zagrać lekarkę w białym fartuchu, ze stetoskopem.

Obok przeszła Clarissa w towarzystwie kilku innych dziewczyn z obsady.

- Co jej się stało? - spytała Clarissa, patrząc na mnie ponad ramieniem mojej matki. - Co, znowu ma pietra? Czy to znaczy, że będę mogła wystąpić?

- Ona nie ma pietra - powiedziała moja matka, odpychając je, po czym znów pochyliła się nade mną. - Nie możesz mi tego zrobić - powiedziała. - Nie dziś wieczorem.

Wyobraziłam sobie, jak pędzę przed siebie bezkresną ulicą i oddalam się od Teatru Wallingford. Wszystko jedno dokąd. Dokądkolwiek. Zakręciło mi się w głowie i zgięłam się wpół, dławiąc się głośno.

-Udajesz! - powiedziała matka oskarżycielskim tonem. - Tylko po to, żeby mnie zranić. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! Po tym, jak zaprosiłam komisję z Instytutu Teatralnego! To tylko wygłupy, prawda, Mimi? Tak naprawdę wcale nie masz tremy. Muszę przyznać, że to było świetnie zagrane. Aktorką jesteś pierwszorzędną.

Potrząsnęłam głową.

- Nie kłam. Przecież widzę. Sama jestem artystką i też potrafiłabym to zagrać!

Wsiadła do limuzyny i zamknęła drzwi, podczas gdy szofer taktownie czekał na chodniku. Dotknęła mojego ramienia.

- Większość ludzi na tym świecie musi przejść przez życie, nie mając nawet ułamka tych możliwości, które otwierają się przed tobą. A życie ucieka szybko, możesz mi wierzyć, Mimi.

Jej głos wciąż brzmiał surowo, jednak nieco łagodniej. Ale palce mocno się zacisnęły na moim ramieniu.

- Myślisz, że nie pamiętam, jak to jest, kiedy się ma siedemnaście lat? Myślisz, że nie pamiętam tej burzy uczuć i pragnień? I tej niepewności, co przyniesie los? Chciałabym oszczędzić ci przynajmniej tej niepewności. Spójrz prawdzie w oczy, Mimi. Przecież nie potrafisz robić nic innego. Twoja przyszłość zdecyduje się tutaj, teraz. I może być wspaniała. Musisz tylko wziąć się w garść. Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie ani dla mnie, zrób to dla ojca, który cię kochał.

Rozpaczliwie szukając ulgi, byłam gotowa chwycić się czegokolwiek, co brzmiało mniej więcej rozsądnie. Jej głos był pewny i spokojny. Otoczyła mnie ramieniem, które w tamtej chwili wydawało mi się zbawcze jak koło ratunkowe. Miała słuszość. Nie umiałam robić nic innego. Tylko grać na scenie. Na pewno zemdleję, jeśli na studiach każą mi zrobić sekcję żaby. Przecież musiałam odwracać wzrok, kiedy mi pobierali krew. Nie potrafiłam nawet odciąć skóry z piersi pieczonego kurczęcia. I chciałam na serio iść na takie studia? Na medycynę?

Zdołałam jakoś wygramolić się z samochodu. Nogi zaniósły mnie do garderoby, gdzie czekała już moja złocisto-lawendowa suknia, świeżo przyniesiona z pralni chemicznej. Jakoś zdołałam usiedzieć na stołku, kiedy Fernando upinał mi włosy i maskował podkładem kryjącym sińce pod oczami. Uścisnął moje drżące dłonie, ale nic nie powiedział. Clarissa krążyła wokół mnie jak hiena.

- Zle wyglądasz - szeptała. - Nie sędzę, żebyś dała sobie dziś radę. Mogłabym cię zastąpić, jeśli mi pozwolisz.

- Zostaw mnie w spokoju - syknęłam. Fernando podniósł brwi. Clarissa nachyliła się do mojego ucha.

- Życzę ci, żebyś się ośmieszyła, panno Wallingford. I odpłynęła.

Fernando upudrował mi twarz.

- Jesteś cała mokra - zauważył. - Nie poć się tak. Julia ma roztaczać blask, ale nic nie powinno z niej kapać.

Kurtyna właśnie szła w górę, kiedy dotarłam do krzeselka, które czekało na mnie w skrzydle kulis. Ale byłam zbyt zdenerwowana, żeby usiedzieć w miejscu. Spacerowałam w tę i z powrotem, słuchając Prologu. *Dwa wielkie*

*domy w uroczej Weronie, równie słynące z bogactwa i chwały,
co dzień odwieczną zawiść odnawiały...*

Podszedł Troy i stanął obok, masując sobie skronie.

- Całą noc imprezowałem z moją paczką - mruknął. - Czuję się jak wrak. Dziś wieczorem ja też się chyba porzygam.

Obok stanęła Pani Kapuleti z Piastunką Martą. Książę Werony skłonił się dwornie.

Moja matka przybiegła, żeby sprawdzić, w jakim jestem stanie.

- A to co? - spytała, wskazując naszyjnik.

- Dostałam go od ciotki Mary - powiedziałam. Chyba nie mogłabym wymyślić nic gorszego.

Wydeła wargi.

- Nie pasuje. Nie możesz go nosić. To nie jest część twojego kostiumu.

Spróbowałam ukryć go w staniku, ale łańcuszek był za krótki.

- Chcę go mieć na sobie.

- Inspicjentka każe ci go zdjąć.

- Nie zdejmę.

-Bądźcie przez chwilę cicho - powiedział żałośnie Troy, trzymając się za głowę. - Właśnie usiłuję się skoncentrować. Boże, nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie skończę z tym całym Szekspirem!

Matka oparła dłonie na szczupłych biodrach.

-Oddaj mi go! - powiedziała. - Dziś wieczorem wszystko w tobie musi być bez zarzutu.

-Nie.

Westchnęła ciężko i wybiegła, by po chwili powrócić z Garthem, człowiekiem od kostiumów.

- Nie możesz tego nosić - poinformował mnie Garth. Szkoda, że nie mogłam odpędzić go jak muchy. Zostawcie mnie w spokoju! - myślałam. - Odczepcie

się ode mnie wszyscy!

-To jest niezgodne z duchem epoki - powiedział Garth.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Zamknijcie się! - jęczał Troy.

- Jeśli nie zdejmiesz dobrowolnie, zerwę ci go - ostrzegła matka.

Ta sytuacja wydała mi się nagle symboliczna. Naszyjnik należał do mnie, do nikogo innego. Nie było mi wolno jeść tego, co chciałam, nie mogłam sama wybrać sobie uczelni, nie miałam wpływu nawet na to, co będę robić w życiu, ale do jasnej cholery, miałam chyba prawo decydować o swojej biżuterii!

- No to mi go zerwij.

Pani Kapuleti i Piastunka zaczęły mnie uspokajać.

Matka sięgnęła po mój amulet, ale odepchnęłam jej dłoń. Nie poddała się, sięgnęła znowu. Odsunęłam się i wpadłam na Troya.

- Co się z tobą dzieje? - spytał. - Po prostu zdejmij ten głupi naszyjnik, w czym problem?

- Nie zdejmę.

-Zachowujesz się jak małe dziecko - powiedziała matka. Zaszła mnie od tyłu i chwyciła łańcuszek na moim karku. Szarpnęła. Łańcuszek wbił mi się w krtań.

- Dusisz mnie! - wycharczałam, wyrrywając się. Była gotowa mnie zabić! Zupełnie jak w sztuce Szekspira.

- Uduście ją! - powiedział Troy i odsunął moją matkę. Kiedy gwałtownie wciągałam powietrze, spróbował

go rozpiąć. Pociągnął tak mocno, że zaboląła mnie skóra.

- O kurczę, nie umiem!

Złapał za fiolkę i pociągnął. Łańcuszek się rozerwał. Wtedy wybuchłam.

- Nienawidzę cię! - wykrzyczałam matce w twarz. -Nie miałaś prawa odebrać mi pieniędzy!

- Mam wszelkie prawa, jeśli o to chodzi.

- Nie, nie masz wszelkich praw! Pozwę cię do sądu! -sama byłam zaskoczona słowami, które wyrwały się z moich ust. - Te pieniądze były mi potrzebne na studia! Miałam własne plany i ciocia Mary obiecała mi pomóc!

- Znowu ta cholerna ciocia Mary! Przybiegł reżyser.

- Co wy wyprawiacie! Słyszać was na widowni! Bądźcie cicho!

- Nie będę cicho! Wszyscy bez przerwy mówią mi, co mam robić. To mi już wychodzi uszami!

Wszyscy aktorzy się odsunęli, oprócz Troya, który dalej trzymał łańcuszek.

-Wyjeżdżam do Los Angeles, tak jak zamierzałam. I nie wracam.

- Nie odważysz się wyjechać. Zginęłabyś beze mnie -powiedziała matka dziwnie cienkim głosem.

- Naprawdę? A ja myślę, że to ty byś beze mnie zginęła! - odpowiedziałam tak samo piskliwie. - A w każdym razie bez moich pieniędzy.

- Ona straciła kontrolę nad sobą - powiedział reżyser.

- Niech ktoś pójdzie po Clarissę. Musi ją dziś zastąpić.

- Nie, nie zastąpi jej - oświadczyła matka. - Dziś wieczorem nikt nie może zająć miejsca Mimi. To przedstawienie jest dla niej bardzo ważne.

I wtedy atak paniki powrócił z nową siłą. Zakreśliło mi się w głowie i ugięła się pode mną podłoga. Zbyt wiele oczu było we mnie wpatrzonych. Musiałam się stąd wydostać, czym prędzej. Na świeże powietrze. Odwróciłam się i wybiegłam do holu, podczas gdy matka dalej dyskutowała z reżyserem.

Lęk sparaliżował mi ręce i nogi.

Nie wyjdę na scenę - powtarzałam sobie. - Nie wyjdę na scenę. Nikt mnie nie zmusi, żebym wróciła.

Ale dokąd właściwie chciałam iść? Nie miałam już nawet biletu do Los Angeles. Na powietrze! Na powietrze! Uczepiłam się jakiegoś kabla. Troy chwycił mnie pod łokieć.

- Mimi!

- Zostaw mnie!

- Chciałem tylko oddać ci to i przeprosić, że zniszczyłem ci łańcuszek!

Trzymał amulet w wyciągniętej dłoni. Nie mogłam złapać oddechu. Wyrwałam mu naszyjnik tak gwałtownie, że zgmiotłam w dłoni kruche szkło.

-Mimi! - zawołała moja matka z drugiego końca holu. - Wracaj natychmiast!

- Nie chcę! - wrzeszczałam. - Mam tego dość!

I ruszyłam w stronę wyjścia, a moje serce waliło jak młot.

- Naprawdę lecisz do Los Angeles? - spytał Troy, gdy położyłam rękę na klamce.

- Być może. Jeszcze nie wiem - usiłowałam wziąć się w garść, ale czułam, że kiedy tylko przekroczę próg, zaraz się pogubię. Wybuchnę płaczem i będę płakała do końca świata. - Ja po prostu nie chcę tu dłużej być.

-Jesteś ubrana jak do Werony - powiedział. - Więc może powinnaś być właśnie tam. Słyszałem, że to fajne miejsce.

Próbował żarcikami rozładować napięcie. Ale nie byłam w stanie się roześmiać. Śmiech i łzy mają ze sobą coś wspólnego. Kiedy tłumimy to pierwsze, tłumimy i to drugie.

-Werona jest równie dobrym miejscem, jak każde inne - powiedziałam.

Otworzyłam boczne drzwi dla aktorów i lodowaty powiew uderzył mnie w twarz. Zaskoczona, osłoniłam twarz dłońmi. Wiatr zdmuchnął z moich dłoni popiół, który zawirował przede mną jak płatki śniegu w szklanej kuli. I z tego, co było zaledwie małą szczyptą popiołu, powstał naraz wielki srebrzysty obłok. Popiół wciskał mi się do nosa i do ust, i chyba także do ust Troya, bo oboje zaczęliśmy kaszleć. Paliło mnie gardło i oczy. Potrzebowałam powietrza. Więc wyszłam na ulicę.

Obok ktoś przebiegł i potrącił mnie. Straciłam równowagę. Upadłam na chodnik, na coś mokrego i paskudnego.

Dwa wielkie domy w uroczej Weronie,
Czyli tam, gdzie przenosi się akcja

Obłok popiołu rozwiął się już, a ja patrzyłam z przerażeniem na kupę śmieci, w której wylądowałam. Śmierdziała jak krowi nawóz na farmach, które mijaliśmy kiedyś, jadąc przez stan Vermont. Na dłoniach miałam jakąś paskudną maź, brązową, śliską. Widziałam w niej skorupki od jajek i obierki od kartofli. Zerwałam się na równe nogi, bojąc się nawet zgadywać, co jest pod spodem. Mój lawendowo-złoty kostium też był poplamiony tą cuchnącą mazią. Dół sukni całkiem przemókł, nasiąknięty jak gąbka. Mówi się, że jest coś takiego jak pech - ale dla mnie była to po prostu kara, która widocznie spada na każdego, kto powie swojej matce, że jej nienawidzi. Wzięłam długi, głęboki oddech, podniesiona na duchu tym, że nikt za mną nie wybiegł - ani Troy, ani matka. Nie, nie zamierzałam wracać do środka. Postanowiłam, że raczej wejdę do najbliższej kafejki Starbucks, na rogu następnej przecznicy, i skorzystam z tamtejszej łazienki, żeby się doczyścić. Jedną z lepszych stron Nowego Jorku jest to, że tutaj wszyscy już wszystko widzieli. Więc nikt nie będzie zwracał na mnie uwagi ani wytykał mnie palcami. Zabłocona renesansowa suknia to drobiazg w porównaniu ze strojami,

które można zobaczyć na ulicach. Kiedy dotrę do domu, przebiorę się, spakuję torbę, zadzwonię do cioci Mary i poproszę, żeby opłaciła mi nowy bilet.

Strzepując z sukni resztki błota, ruszyłam przed siebie, ale po kilku zaledwie krokach trafiłam na wystający brukowiec i skręciłam sobie nogę w kostce. Przez ostatnie czternaście lat, gdy wchodziłam i wychodziłam z Teatru Wallingford, nie widziałam na tej ulicy ani jednego wystającego brukowca. A co to za światło tam na wprost? Wyglądało jak reflektor, który wystawia się przed teatrem w dniu premiery.

-Kapuleci, psiakrew! - zawołał jakiś głos. Kobieta wychyliła się z okna na piętrze budynku po drugiej stronie ulicy. Słyszałam, że gdzieś w tamtej okolicy trupa baletowa wynajmowała salę prób.

-Do diabła z nimi! - krzyczała kobieta. - Pieprzeni Kapuleci!

Pogroziła mi pięścią i chlusnęła na mnie jakimiś zlewkami z wiadra, chybiając zaledwie o parę cali.

Miałam już dość tego wszystkiego. Chciałam tylko dostać się do domu.

- Jak pani nie wstyd? - odezwałam się. - Co pani wyprawia?

Znowu podniosła pięść, ale zamiast nią potrząsnąć, wycofała się do wnętrza.

Słyszałam, że tancerze bywają gwałtowni i nieprzewidywalni, szczególnie ci z baletu klasycznego. Ta kobieta być może kiedyś starała się o rolę Julii i dlatego poczuła do mnie urazę. Może rola Julii była jej największym marzeniem, tak jak moim największym marzeniem był biały fartuch lekarki? Przeskoczyłam kałużę rozlaną u moich

stóp. Wiedziałam, że tancerze lubią popijać i bawić się. Więc może te zlewki... Ale nie, nie będę zastanawiać się nad zlewkami.

Idąc w stronę oślepiającego światła, czułam jeszcze lekki ból w kostce. Oczywiście byłam świadoma symboliki zawartej w tej scenie. Oto coś zmartwiałego do imentu zmierzało ku światłu, szukając w nim wybawienia i ukojenia. Ludzie, którzy przeszli przez atak paniki, czują się jak żywe trupy. Ale ćmy także lecą ku światłu tylko po to, by w nim zginąć. Jaki los mnie czeka?

U wylotu ulicy przymrużyłam oczy, osłaniając je dłonią, póki nie przywykły do blasku. Reflektor świecił z wysoka, czułam na ciele jego ciepło. Kiedy moje źrenice się do niego przyzwyczyły, zauważyłam, że to wcale nie jest reflektor. To było słońce.

Nigdy nie zapomnę tej chwili.

Uprzedzałam was już na samym początku, że pewnie nie uwierzycie w moją historię. Więc ta scena nie powinna was zdziwić. Może zresztą wiecie już z notki na okładce, że ta historia w pewnym momencie przybierze nieoczekiwany obrót. Ale ja nie miałam takiego luksusu jak dostęp do notki na okładce, więc nie mogłam się przygotować na to, co mnie czekało, i byłam kompletnie zaskoczona. Nade mną wisiało niebo bez śladu fioletowego odbłasku miejskich świateł, bez ciężkich zimowych chmur, niewinnie jasnoniebieskie jak dno basenu. Tu i ówdzie lekki wiatr ciągnął po nim białe pierzaste obłoki. Powietrze było ciepłe i wilgotne.

To, co jeszcze chwilę wcześniej brałam za znajomą nowojorską aleję, wyglądało zupełnie inaczej. Przedemną rozpościerał się rynek. Nad nim górowała kamienna wieża, a na straganach sprzedawano kwiaty, owoce i wa-

rzywa. Kamienna fontanna miała kształt piętrowej patery do ciastek i była zwieńczona postacią kobiety, wylewającej wodę z wiadra. Wokół biegały kury, fruwały gołębie, a w jakimś koszyku spała dwójka prosiąt. Na końcu placu zbierał się tłum. Stroje przypominały te z czasów renesansu. Przez moment myślałam, że znalazłam się na planie filmu. Tylko że nawet Steve Spielberg nie zdołałby usunąć tylu wysokich budynków, ile ich stało przy nowojorskiej ulicy, a tu najwyraźniej po prostu zniknęły wszystkie, i to przynajmniej na odcinku dwóch przecznic.

Instykt mówił mi, że lepiej wycofać się w jakieś mniej niedorzeczne miejsce, więc zaczęłam wracać. Powiecie może, że sama nie wiedziałam, czego chcę, ale w tamtej chwili byłam gotowa ucieszyć się na widok Teatru Wallingford. Ucałowałabym wytarty chodnik z holu, bo jego widok uspokoiłby mnie, że nie oszalałam do reszty. Tancerka znowu stała w oknie i patrzyła na ulicę, więc zdecydowałam, że wejść do teatru głównym wejściem. Ale nie mogłam odnaleźć budynku, który tak dobrze znałam. Ani śladu markizy i napisu z żółtych żarówek, ani śladu oszklonych drzwi, nie było też kasy z biletami i przyszczatego ochroniarza.

Szyld z wymalowanym farbami wizerunkiem męskiego buta z cholewą wisiał nad prostymi drewnianymi drzwiami. Pchnęłam te drzwi, wbrew oczywistości mając jeszcze nadzieję, że za nimi zobaczę Trzy Wiedźmy, plotkujące i po kryjomu palące papierosy. Ale zamiast tego znalazłam się w warsztacie szewca, skąpo oświetlonym kilkoma świeczkami.

- Jeszcze zamknięte - odezwał się gderliwie mężczyzna, stukający młotkiem w kawałek skóry.

- Poczekaj, Rodney - powiedział inny i zatarł ręce. - Możemy otworzyć przed czasem dla tej pani, jeśli chce złożyć zamówienie i płaci gotówką. - Spojrzał na moją wymiętą, poplamioną suknię i skrzywił się. - Ale panna pewnie szukasz krawca. To dwa domy dalej.

Wyszłam i znowu stałam na ulicy. Obok przebiegła grupka dzieci. Coraz więcej ludzi przyłączało się do tłumu, widocznego na drugim końcu placu. Nagle zrobiło mi się słabo. To był szok. Szok działa w ten sposób, że na chwilę wyłącza umysł, żeby nie mógł sam się wykończyć. Szok stwarza ochronną barierę między nami i rzeczywistością. Daje nam czas, żeby stopniowo wejść w nową sytuację, tak jak się wchodzi do lodowatej wody.

- Mimi! - zawołał jakiś męski głos. Rozejrzałam się, ale nie zobaczyłam żadnej znajomej twarzy. Czyżbym miała omamy? Chyba nie, bo ten sam głos zawołał znowu:

- Mimi!

- Tu jestem! - odpowiedziałam, podnosząc rękę. Nie wiedziałam nawet, z której strony ten głos dobiega.

- Książę! - szeptało wokół. - Książę przemówi!

Mężczyźni ubrani w rajtuzy i pludry wskakiwali na obramowanie fontanny i wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć. Plac był pełen kobiet w długich sukniach. Wierciłam się, wypatrując tego, kto mnie zawołał. Tymczasem tłum wciągał mnie coraz głębiej i popychał ku centralnej części placu.

- Jestem tutaj! - zawołałam jeszcze raz.

- Cisza! Słuchajcie słów Księcia Werony! - zgromił mnie ktoś surowo.

Tłum ucichł i gdzieś przed nami rozległ się pojedynczy głos. Nie widziałam mówcy, ale treść wydała mi się dziwnie znajoma.

-Buntownicy, nieprzyjaciele porządku publicznego, słuchajcie słów Księcia!

Utknęłam, ściśnięta między nieprawdopodobnie otyłą kobietą a mężczyzną zalatującym cebulą. Ponad głowami tłumu widziałam tylko kapelusz z czerwonym piórkiem, które podrygiwało w takt przemowy księcia.

-Ostatnio rody Kapuletich i Montekich trzykrotnie wszczynały walki na ulicach, przelewając krew zarówno własną, jak niewinnych przechodniów. Nie będę tego dłużej tolerował. Jeśli którykolwiek z dwóch rodów jeszcze raz zakłóci spokój tego miasta, winowajca zostanie skazany na śmierć! Oto moja wola.

Rody Kapuletich i Montekich? Wszystko to wyglądało coraz dziwniej.

W tłumie podniósł się szmer głosów i wielu kiwało głowami na znak, że pochwalają tę decyzję. Gruba kobieta zmierzyła mnie gniewnym spojrzeniem.

- Słyszałaś, mała? - zauważyłam, że brak jej kilku przednich zębów. - Powiedz swoim, że jeśli się nie opamiętają, zawisną na szubienicy.

Inna umyślnie wpadła na mnie i nadepnęła mi na nogę.

- Kapuleckie ścierwo - syknęła pod nosem.

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać, więc zrobiłam obie rzeczy jednocześnie - zalałam się łzami i zaniósłam się histerycznym śmiechem. Stałam wśród nich jak wariatka w zabłoconej sukience. Wyglądało to zupełnie jak początek naszej sztuki, kiedy przemawia Książę Werony. Otóż to. Było jak na przedstawieniu, z którego właśnie uciekłam. Czy to możliwe?

- Ruszajcie się, zwawo! - grupa mężczyzn komenderowała tłumem. Wszyscy nosili czerwone peleryny i czerwone kapelusze z piórkiem. - Książę nakazał wam rozejść się do domów.

Tłum poruszył się posłusznie i kobieta, która przedtem obrzuciła mnie przekleństwem, także zaczęła iść.

- Wracajcie do pracy. Hej, ty! Wyglądało na to, że „ty” to właśnie ja.

Jeden z tych ludzi w czerwonych kapeluszach szedł szybkim krokiem w moją stronę. Zrosnięte brwi osłaniały ciemne oczy.

- Ciebie nie znam.

Co powinnam na to odpowiedzieć? Nic mi nie przychodziło do głowy. Gdybym wylądowała na Marsie, nie byłabym bardziej zbита z tropu. I naraz przypomniał mi się popiół z rozbitej flaszeczki. Przecież wciągnęłam go do płuc. A jeśli to nie był zwyczajny popiół z kominka, tylko z jakichś magicznych grzybków albo z innych halucynogennych świństw? Cóż, nie mogłam tego wykluczyć. Było to nawet dość prawdopodobne. Nie miałam żadnych doświadczeń z prochami. Ale liczyłam się z tym, że jestem w samym środku jakiegoś narkotycznego odjazdu.

Mężczyzna złapał mnie mocno za ramię. Zabolało.

- Nosisz barwy Kapuletich. To barwy szlacheckie, prawo zabrania wdziwania ich byle komu. Chcesz, żeby stryczek zacisnął się na twojej ślicznej szyi?

Mój nieszczęsny umysł kręcił się w miejscu. Patrzyłam w jego rozniewane oczy. Jak mogłam czuć prawdziwy ból, jeśli to były tylko zwidy? I dlaczego ten człowiek wrzeszczał na mnie, opryskując śliną? Nowy atak paniki

już czaił się gdzieś w moich piętach, gotów wybuchnąć i ogarnąć całe ciało. Nie, nie stracę kontroli nad sobą, powtarzałam w duchu. Jestem w stanie opanować sytuację. Potrafię poradzić sobie z tym, że nie wiem, co się dzieje. On tymczasem coraz mocniej zaciskał palce na moim ramieniu. To było takie uczucie, jakbym miała na nim rękaw do pomiaru ciśnienia, napompowany najmocniej jak się tylko da.

- Mogę cię wtrącić do więzienia i zrobię to, chyba że będziesz dla mnie miła.

Złapał mnie za przegub dłoni i szarpnął w swoją stronę. Rękojeść jego szpady wbiła mi się w zębra.

- Proszę, nie! To boli! - jęknęłam.

- Nie trzeba przemocy - usłyszałam łagodny głos. Zbliżył się do nas gruby mężczyzna nie pierwszej młodości, w brązowej opończy. Na jego szyi kołysał się duży srebrny krzyż. - Pozwólcie jej się wytłumaczyć.

Położył płamistą dłoń na ramieniu żołnierza i napięcie zniknęło. Płamista dłoń poklepała mnie po przedramieniu.

- Widzę, że jesteś wystraszona, moje dziecko. Spokojnie, najpierw złap oddech.

Wystraszona? Byłam śmiertelnie przerażona, po prostu odchodziłam od zmysłów! Wokół zebrała się gromadka gapiów.

- Mów! - odezwał się niecierpliwie żołdak. - Kim jesteś?

Przysunął się tak blisko, że zionął mi prosto w nos nieświeżym oddechem.

- Lawenda i złoto to barwy Kapuletich. Mówiłem już, że nie wolno ich nosić. Jeśli nie jesteś z rodu Kapuletich, muszę cię aresztować.

Głos uwiązał mi w gardle.

Starszy mężczyzna w opończy znowu poklepał mnie po przedramieniu.

- Przybyłaś na przyjęcie? - spytał. Na głowie miał wy-strzyżoną tonsurę. - Kuzynowie Kapuletich ściągają już od tygodnia na to przyjęcie, które ma się odbyć dziś wieczorem. Masz zabłoconą suknię. Przyjechałaś z daleka? Pewnie dlatego cię tu nie znamy.

- Tak - zdołałam wykrztusić. Na miłość boską, co ja mówię? Ale po raz pierwszy w życiu znalazłam się w takiej sytuacji, że gdybym się przedstawiła jako Mimi Wallingford, prawnuczka Adelajdy Wallingford, to by mi nic nie pomogło. Chciałam tylko jednego - żeby ten żołdak zostawił mnie w spokoju. - Tak. Jestem kuzynką Kapuletich.

-No i proszę, oto mamy odpowiedź - starszy człowiek klasnął w dłoń.

Żołnierz poprawił kapelusz.

- Jak tak, to idź lepiej od razu do ich pałacu. Wolę nie mówić, co ci się może przytrafić na ulicy.

Była w tym niedwuznaczna pogrożka, a na widok jego złowrogiej miny obleciał mnie dreszcz.

Stary człowiek patrzył w ślad za oddalającym się żołnierzem.

- Święty Franciszku! - mruknął. - Wszyscy oni tacy w gorącej wodzie kapani w dzisiejszych czasach.

Wziął w dłoń rąbek długiej brązowej szaty i uśmiechnął się do mnie.

- Czas na mnie, a i ty musisz ruszać w drogę. Posłuchaj rady tego żołnierza, idź stąd prosto do pałacu Kapuletich. A jeśli będziesz potrzebowała duchowego wspar-

cia, znajdziesz mnie w kościele Świętego Franciszka. To najpiękniejszy kościół w Weronie. W Weronie?

- Pytaj o ojca Laurentego.

Ojciec Laurenty był przecież postacią z *Romea i Julii!*

Gapie nie odrywali ode mnie oczu. Marzyłam tylko o tym, żeby się schować. Zwinąć się w małą kulkę w jakimś ciemnym kącie, w króliczej jamie. Ruszyłam w stronę ulicy, którą tu przyszedłam. Proszę, błagam - powtarzałam. - Chcę wrócić do rzeczywistości!

Ale teatru nie było już nigdzie. Noga za nogą, szłam tą ulicą, to w dół, to w górę. Przeszłam pod podcieniami jakiegoś budynku, za którego narożnikiem kończyła się ślepo. Podniosłam dłoń, żeby odpędzić muchę, która usiadła na moim policzku, i zapatrzyłam się na pejzaż usiany aż po horyzont wysokimi drzewami i łagodnymi pagórkami. Nigdzie ani jednego drapacza chmur, ani jednej żółtej taksówki, nigdzie nawet przechodnia. Tuż przede mną ciągnął się zwietrzały, niski murek, z lewej strony miałam owocowy sad. Z prawej było pole, na którym pasły się kozy. Szok powoli mijał. Byłam już gotowa zanurzyć się w lodowatych wodach rzeczywistości.

Nowy Jork wyparował.

Gdzie cel ucziwy, można mówić prosto
(Ryszard II, akt IV, scena 4)

Mogłam znowu wpaść w panikę. Tak, nie byłoby w tym nic dziwnego. Ale stało się inaczej. I nie miało to nic wspólnego z odwagą. Chyba byłam po prostu zbyt wyczerpana, żeby się przerazić. Usiadłam na murku i zaczęłam oddychać spokojnie, tak jak uczył mnie doktor Harmony. Po chwili przypomniałam sobie, że wdychałam ten popiół, zawartość rozbitej fiołki. Podniosłam dłoń i machnęłam nią kilka razy, spodziewając się, że palce zostawią w powietrzu psychodelicznie kolorowe smugi. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Nie czułam się ani oszołomiona, ani senna. Tylko całkowicie zdezorientowana.

Wyglądało na to, że znalazłam się w prawdziwych kłopotach. Obawiałam się, że to może być choroba psychiczna. Ale z całego serca nie chciałam oszaleć. Niewykluczone, że mózg mi się zagotował od stresu - byłoby to zwyczajne załamanie nerwowe, rzecz, która często przytrafia się aktorom. Być może mój umysł stworzył włoskie miasteczko na zasadzie kompensacji, kiedy doszło do tego, że w moim prawdziwym świecie nie mogłam wytrzymać już ani chwili dłużej. Lecz gdybym naprawdę oszalała, wcale by mnie to nie zaniepokoiło, prawda?

Gdybym naprawdę oszalała, nie miałabym żadnego problemu z tym, że w jednej chwili stałam przed Teatrem Wallingford w Nowym Jorku, a w następnej byłam już na drugim końcu świata, w Weronie, gdzie po ulicach spacerowały postacie z *Romea i Julii* - mówiące na dodatek po angielsku, jakby nigdy nic. Komuś szalonemu wydawałoby się to może całkiem naturalne, ale nie mnie. A więc nie oszalałam.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam na murku. W każdym razie wystarczająco długo, żeby spiec sobie na słońcu ramiona. Byłam pogrążona w myślach, dlatego nie zauważyłam tego chłopczyka, póki nie pociągnął mnie za skraj sukni.

- Panienko... - oczy płonęły mu ciekawością. - Coś się panience stało?

Łatwiej mi było wyznać to dziecku niż komuś dorosłemu. Poczulałam przemożną pokusę pogłaskania go po czuprynce, chciałam poczuć ciepło innej ludzkiej istoty.

- Nie wiem, gdzie jestem.

Kilka kóz ruszyło w moją stronę w ślad za chłopcem. Jedna z nich skubnęła rąbek mojej sukni. Chłopiec zmarszczył brwi.

- To proste, siedzi panienska na ruinie starych murów miejskich - przysunął się bliżej. - A może się panienska uderzyła w głowę? Mnie się to kiedyś przytrafiło i wtedy na chwilę wszystko wyleciało mi z pamięci.

Ale czy uderzyłam się w głowę, kiedy pośliznęłam się na kupie śmieci przed teatrem? W *Czarnoksiężniku z krainy Oz* Dorota uderzyła się w głowę i wylądowała wśród Manczkinów. Byłoby to zupełnie zrozumiałe, gdybym po takim uderzeniu ocknęła się w mieście Romea i Julii, skoro miałam z tą sztuką do czynienia przez ostatnich sześć

miesiący. Obmaciałam głowę, lecz nie wyczułam guza. Więc może uspił mnie ten popiół, który wdychałam? Czy to możliwe, żebym jednocześnie leżała na trotuarze przy teatrze i siedziała przed lustrem w garderobie, gdzie Fernando pochylał się nade mną, załamany, bo znowu rozmazałam sobie tusz do rzęs? Clarissa pewnie też jest w garderobie, szczęśliwa, że w końcu dostała swoją szansę. Mniejsza o to. Niech Clarissa paraduje przed tą całą komisją. Skorzystam z okazji, żeby odpocząć w krainie snu, kiedy ona będzie się popisować na scenie. Moja matka może się na mnie wściekać za napady tremy, ale przecież nie wtedy, kiedy śpię. A więc śnię.

- Tak, mogłam się uderzyć w głowę - odpowiedziałam chłopcu. - Ale tego nie pamiętam. Jestem trochę skołowana.

-Ma panienka zabłoconą suknię - zauważył. Koza znów próbowała chwycić zębami za rąbek. Chłopiec dał jej klapsa w kościsty zad. - Wynocha!

Zwierzę uciekło, unosząc w zębach strzęp tkaniny.

- Szkoda tej pięknej sukni - powiedział chłopiec. - Jak to możliwe, żeby panienka aż tak ją ubrudziła?

Rozprostowałam tkaninę i spojrzałam na siebie.

- Pośliznęłam się i wpadłam w błoto. A wczoraj wieczorem nawet na nią zwymiotowałam - zaśmiałam się pod nosem. - Nienawidzę tej sukni. Nie mam nic przeciwko temu, żeby twoja koza zjadła mi ją w całości.

- Może panienka jest głodna? - spytał chłopiec, wyjmując coś z kieszeni. - Zgniotła mi się. Ale wiem, gdzie jest ich więcej. Chodźmy, ja panienkę zaprowadzę - pociągnął mnie za rękę. - Kiedy uderzyłem się w głowę, mama po-

rzładnie mnie nakarmiła. Powiedziała, że jak się najem, będzie mi lepiej. Chodźmy - i znowu pociągnął mnie za rękę.

Naprawdę miły był ten chłopczyk. Może miał zostać moim przewodnikiem w tym śnie? Jeśli pójdę z nim, pewnie wkrótce dowiem się, o czym to będzie historia. W snach dziewczęta wędrują po cudownych bajkowych miejscach, takich jak Kraina Oz. Pozwoliłam się prowadzić za rękę przez trawiastą łąkę do drzewa, którego gałęzie uginały się od dojrzałych moreli. Włazł na nie, zerwał owoc i ugryzł. Sok pociekł mu po szczupłej szyi.

- Niech się panienka częstuje.

Urwałam morelę i zważyłam ją w dłoniach. Wyglądała zupełnie normalnie.

- Nie mam pojęcia, co ja tu robię - powiedziałam. -Zajada panienka morele, ot co - przełknął resztę

owocu i wypluł pestkę. - Są bardzo smaczne.

Morela była ciepła od słońca. Jej sok wypełnił mi usta. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem głodna, poczułam to dopiero wtedy, kiedy zaczęłam jeść. Chłopiec wdrapał się na najgrubszy konar i zaczął zrzucać owoce swoim kozom. Jedząc morele, odeszłam kawałek. Trawa łaskotała mnie w łydki, a sok ściekał po palcach, kiedy spoglądałam na przedmieście włoskiego miasteczka z mojego snu. Szkoda, że nie możemy sami decydować, co się nam przyśni, bo chyba wolałabym znaleźć się gdzie indziej. Kapuletich i Montekich miałam już po dziurki w nosie. Ale na szczęście moja podświadomość oszczędziła mi włoskiej konwersacji, a nawet szekspirowskiej frazy. A w sztuce *Romeo i Julia* nie było przecież ani kóz, ani morelowego sadu. Praca mojej podświadomości zmieniła jej treść.

Chłopiec wyjął z kieszeni dzwonek i zadzwonił. Podniósłszy łby, kozy zbliżyły się do niego nieśpiesznie.

- Teraz muszę iść. Mam jeszcze co innego do roboty. Odszedł, dzwoniąc na kozy raz po raz. Ale po kilku krokach obrócił się i podbiegł do mnie.

- Nie powinna panienka być sama w tej okolicy. Tu można się natknąć na Montekich.

Wskazał palcem duże drzewo i czmychnął.

Na Montekich? Tam, gdzie to drzewo?

Zaciekawiona, podeszłam do sękatej wierzby rosnącej wśród morelowych drzew. Po jej pniu wspinał się bluszcz. I rzeczywiście. Z drugiej strony, oparty o pień, siedział z głową opartą o zgięte kolana młody mężczyzna i wzdychał.

- Och, Rozalino...

Westchnął znowu, obejmując ramionami nogi w czarnych rajtuzach. Był ubrany w strój Montekich z naszego przedstawienia.

Dreszcz przeleciał mi po karku. Nie musiałam nawet pytać go o imię.

Ból dawny
nowym leczy się cierpieniem
(Romeo i Julia, akt I, scena 2)

Zatopiony w myślach, Romeo Monteki nie zauważył, że stanęłam obok niego. Nie dostrzegł nawet pestki, która upadła w trawę. Mamrotał tylko w kółko:

- Jaka żałość! - albo: - Co za męka!

Tak, to był prawdziwy Romeo ze sztuki Szekspira. Romeo oszalały z rozpacz. Właśnie. Bo trzeba wam wiedzieć, że kiedy Romeo po raz pierwszy pojawia się na scenie, pogrążony jest w głębokim smutku. Mógłby występować w reklamach najmodniejszego leku przeciwko depresji. Ale Troy jakoś nie chciał zrozumieć, że ktoś tak smutny nie wkracza triumfalnie na scenę i nie mruga porozumiewawczo do publiczności. Bo Troy prawdopodobnie ani przez chwilę nie przeżywał depresji w swoim radosnym i pełnym sukcesów życiu. I zapewne nie miał bladego pojęcia, jak to jest, kiedy ktoś nam się bardzo podoba, ale musimy go zignorować albo nawet wyśmiać, bo składał nam upokarzające propozycje „korepetycji z całowania”.

- Rozalino... - szeptał Romeo. To właśnie była przyczyna jego rozpacz. Ona, ta Rozalina. Romeo mocniej zaplótł dłonie, którymi obejmował kolana. Jego pludry

miały kolor moreli, a biała koszula wylazła mu z nich na zewnątrz. Lekki wiatr poruszał wierzbowymi gałązkami i cienie pieściły jego postać. Współczułam mu, bo ból emanował z całego jego ciała, ze wszystkich porów skóry, przenikał każdy wdech i wydech.

Czy będzie nietaktem przeszkodzić mu w rozmyślaniach? Być może. Ale nie mogłam zaprzepaścić okazji do zawarcia znajomości z najszlachetniejszym chłopakiem wszech czasów. Nawet jeśli był tylko wytworem mojej wyobraźni, na pewno było to lepsze, niż obudzić się w teatrze. Odchrząknęłam.

- Zostaw mnie w spokoju, Benvolio - powiedział cicho i oparł czoło o kolana.

- Witaj - powiedziałam.

Zerwał się na równe nogi, a ja cofnęłam się o krok. Patrzyliśmy jedno na drugie, oboje tak samo zaskoczeni. Skłonił się.

- Wybacz mi, piękna pani. Nie słyszałem kroków.

Milczeliśmy oboje. Usiłował wziąć się w garść. Przyglądał ciemne, krótko ostrzyżone włosy i otarł policzki bufiastym rękawem. Jego spojrzenie rozdzierało serce, jego smutek był nie do zniesienia.

- Nazywam się Mimi.

- Jestem Romeo.

Skłonił się znowu, ale nie wyprostował całkiem. Z trudem trzymał się na nogach. Ramiona opadały mu ku ziemi jak obwieszona owocami gałęzie moreli. Żeby łatwiej udźwignąć ciężar tej sytuacji, usiadłam w bujnej trawie. On usiadł obok mnie. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć. Nie przygotowałam sobie przecież żadnych notatek do wywiadu. Na szczęście zaczął mówić pierwszy.

-Powiniennem raczej powiedzieć, że kiedyś nim byłem. Nie czuję się już jak Romeo. Myślę, że pogubiłem się doszczętnie.

-Ja też się pogubiłam - wyrzuciłam z siebie. Było więc coś, co nas łączyło. - Ja też nie czuję się już sobą.

Przysunął się bliżej. Trochę pachniał potem, ale nie było to nieprzyjemne. Romeo z mojego snu był ładnym chłopakiem o gładkiej skórze. Nad górną wargą miał tylko delikatny meszek. Widocznie zarost się spóźniał, jak to bywa u niektórych chłopaków.

- Czy miłość jest tego przyczyną?

Nie wiedziałam, jak mu to powiedzieć. Zdezorientowała mnie niejednoznaczność tego słowa.

- Jeszcze nigdy nie byłam... zakochana.

-Ja także nie. Do ostatniego czwartku, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Rozalinę. Powiedziałem jej, że ją ubóstwiam. Chciałem oddać jej swoje serce.

Westchnął i utkwiał spojrzenie w oddali.

-Mówiła, że mnie nie chce, więc powiedziałem jej, że mam kufry pełne złota. Ale ona dalej mnie nie chciała - przy tych słowach zacisnął pięści. - Przysięgła, że nie zwiąże się z żadnym mężczyzną. Czy to normalne, żeby dziewczyna odwracała się od miłości?

Wiedziałam dobrze, że tu nie chodzi o niego. W sztuce Szekspira Rozalina złożyła śluby czystości. Chciała służyć Bogu. Dziwna rzecz, choć wiedziałam, że to tylko sen, zapragnęłam pocieszyć Romea. Chciałam powiedzieć mu, że wkrótce pozna Julię i z miejsca zakocha się w niej do szaleństwa, a o Rozalinie zapomni.

Ale niedługo będzie już martwy, więc nie pomyśli o żadnej kobiecie. Może lepiej nic mu nie mówić.

- Wybacz mi, ale nie umiem myśleć o niczym innym. Ta jedna myśl dręczy mnie od rana do nocy. Powiedz mi, panno Mimi, czy tylko mężczyźni tak bardzo cierpią z miłości? -jego smutek przeszywał serce na wylot. - Powiedz mi, proszę, co wiesz o miłości.

- O miłości nie wiem zupełnie nic - wyznałam. Romeo westchnął i znów oparł czoło o kolana. Rozczarowałam go. Ale co innego mogłam mu powiedzieć, jako ładna dziewczyna, która nie miała jeszcze nigdy żadnej randki? Owszem, zdarzyło mi się zadurzyć, ale szybko przewyciężyłam to uczucie. I przecież Troy tylko żartował sobie ze mnie. Może wcale tego jeszcze nie przebolełam. Ale już go nie kochałam. Już nawet nie myślałam o nim. Byłaby to po prostu strata czasu.

-Zakochasz się znowu, w kim innym - powiedziałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

- To samo mu powiedziałem - odezwał się ktoś tuż obok. Teraz to ja zerwałam się na równe nogi, zaskoczona, i uderzyłam się boleśnie o konar wierzby. Byłam tak przejęta smutnym losem Romea, że nie usłyszałam kroków tego mężczyzny. Inaczej niż Romeo, nosił on szpadę u boku. Miał podobne czarne rajtuzy i pludry morelowej barwy. Nie zadał sobie trudu związania koszuli u kołnierza, więc świecił obnażoną piersią, jakby zszedł z okładki poczytnego romansu.

- Romeo, czyś ty oszalał? Rozmawiasz z nimi? Z ludźmi z rodu Kapuletich? W dodatku z kobietą?

Dostrzegłam grymas odrazy, który przebiegł po jego twarzy, kiedy wymówił to nazwisko. Uraził mnie, choć nie było w tym cienia sensu, bo przecież nie należałam do rodu Kapuletich. Wszystko jedno, i tak poczułam się dotknięta.

- Co? - zawołał Romeo i spojrzał na mnie. - Kapuleti? Mężczyzna kiwnął głową. Czarne pukle opadły mu na czoło.

- Oszalałeś z miłości do tego stopnia, że już nie dostrzegasz kolorów? Daję słowo, martwi mnie twój stan, kuzynie - powiedziawszy to, zwrócił się do mnie. - Moja panno, radzę ruszać w swoją drogę. Moją rzeczą jest mieć baczenie na młodego kuzyna, a obecność twoja naraża go na niebezpieczeństwo.

Odrzucił krótką czarną pelerynę, odsłaniając śniade ramię. Moje spojrzenie prześliznęło się po jego mocnej, długiej szyi, po kwadratowej szczęce i spoczęło na pełnych ustach, które Fernando uszminkowałby z największą przyjemnością. Nagle coś podskoczyło mi pod przeponą. Podobne uczucia przeżywały być może chichocące fanki Troya, kiedy wychodził na scenę.

- Romeo, twój ojciec posłał mnie po ciebie.

- Zostaw mnie w spokoju, Benwolio.

- Co? Mam ci pozwolić dalej płakać i jęczeć w taki piękny dzień? Widziałaś kiedy coś podobnego, moja panno? Ma piętnaście lat, więc jest już prawie mężczyzną. I zakochał się w dziewczynie, która chce iść do klasztoru. Kuzynie, na świecie jest wiele pięknych dziewcząt, rozejrzyj się tylko.

Benwolio podniósł brew i spojrzał na mnie, a ja się zaczerwieniłam. To jego rolę powinien był dostać Troy. Był stworzony do flirtu. Patrzyłam na klasyczny profil i mocne kości policzkowe, jakie chętnie rzeźbili włoscy mistrzowie. Z pewnością płynęła w nim krew rzymskich cesarzy. To żalosne - pomyślałam. - Podoba mi się facet ze snu. Zupełna żenada.

Przykucnął obok Romea i dłoń w rękawicy położył na jego ramieniu.

- Posłuchaj mnie, mój drogi. Zapomnij o Rozalinie.

- Miałbym o niej zapomnieć? - zawołał Romeo z rozpaczą. - Wpierw naucz mnie, jak zapomnieć siebie samego!

- Beznadziejny przypadek - Benwollio wstał i dotknawszy rękojeści szpady, zwrócił się do mnie: - Odejdź. Romeo jest w takim stanie, że nie zdoła się obronić, jeśli zaskoczą nas tu gwardziści Kapuletich. - Jego głos brzmiał łagodnie, ale stanowczo. - Idź już. Wracaj do ich pałacu.

Tak, wiedziałam, że swoją obecnością narażam Romea na niebezpieczeństwo. Sądziłam jednak, że potrafię zapanować nad zdarzeniami z własnego snu. Mogłabym chyba odprawić gwardzistę? Ale wszyscy trzej - i żołnierz, i ojciec Laurenty, i Benwollio - nalegali, żebym udała się do pałacu Kapuletich. Wyglądało na to, że mój sen musi popłynąć w tę stronę.

- Nie wiem, jak trafić do pałacu Kapuletich.

- Nie jesteś z Werony?

- Nie. Przybywam z Manhattanu. Na dzisiejsze przyjęcie.

- Rozumiem. To wyjaśnia, dlaczego rozmawiasz z Montekim.

Nie słyszałaś, jaką tu mamy sytuację?

Udałam głupią. Prawdę mówiąc, jego zainteresowanie sprawiało mi przyjemność i mogłabym stać pod tym drzewem do upadłego, póki on do mnie mówił.

- Domy Kapuletich i Montekich są ze sobą w stanie wojny, moja panno. Czy pochodzisz z Werony, czy z dalekiego kraju, krew Kapuletich płynie w twoich żyłach i czyni nas nieprzyjaciółmi.

Rozejrzał się i skrzyżował ramiona na piersi.

- Zaprowadzę cię do pałacu Kapuletich, ale nie wolno ci iść obok mnie, kiedy nosisz ich barwy.

- Rozumiem.

- Chodźmy, Romeo. Twój ojciec nie widział cię już od dwóch dni i nie wygląda na to, żebyś w tym czasie jadł coś albo brał kąpiel.

-Zostanę tu jeszcze chwilę - powiedział Romeo. -Będę myślał, jak odmienić serce Rozaliny.

- Wola twoja - odparł Benwolio, przewracając oczami na znak, że jest bezsilny.

- Żegnaj, Romeo - powiedziałam.

- Żegnaj, panno Mimi. Pewnego dnia poznasz, czym jest miłość. I mam nadzieję, że będzie ona tak głęboka i prawdziwa jak moja.

Benwolio tylko jęknął.

-Wrócę po ciebie, Romeo, a wtedy poszukamy rozrywki. Wino, kobiety, śpiew. Cokolwiek, co wyrwie cię z tego stanu.

Powiedziawszy to, przeniósł na mnie spojrzenie czekoladowych oczu.

- Chodźmy więc, Mimi z Mankatanu.

Ruszyłam w ślad za Benwoliem w stronę miasta. Nie spuszczałam wzroku z jego rosnącej postaci odzianej w czarne rajtuzy. Od czasu do czasu odwracał się, żeby sprawdzić, czy za nim nadażam. Kiedy przechodził, wszyscy na niego patrzyli. Jednym się kłaniał, innym machał ręką. Niektórzy mężczyźni syczeli pod nosem: „Monteki!”, lecz kobiety pożerały go wzrokiem.

- Młoda damo! - podszedł do mnie facet w skórzanej kurcie. Żółtawe rajtuzy opinały jego grube uda. U boku obi

jała mu się szpada, a kark miał tak gruby, że szyi w ogóle nie było. - Przyjechałaś na dzisiejsze przyjęcie? Zatrzymałam się.

- Tak. Z daleka.

- Masz opiekuna? - spytał osiłek.

Benwolio przystanął i oparty o ścianę domu, udawał, że z zainteresowaniem ogląda paznokcie. Obserwował mnie kątem oka.

- Nie potrzebuję opiekuna.

- Żadna kobieta z rodu Kapuletich nie może poruszać się bez opiekuna. To osobiste zarządzenie Księcia Werony - jego ospowata twarz poczerwieniała i krzyczał tak głośno, że Benwolio wszystko słyszał. - Nie jesteście bezpieczne na tych ulicach, gdzie czyhają te łobuzy, ludzie Montekich! - Benwolio puścił zniewagę mimo uszu. - Pójdiesz ze mną!

- Doskonale poradzę sobie sama - powiedziałam, nie chcąc utracić swojej atrakcyjnej eskorty. Wybór był jak między pienistym, pachnącym cappuccino i nieapetycznym wczorajszym hamburgerem. Nie zastanawiałabym się ani chwili, co sobie kupić na porannym spacerze. Ale osiłek był uparty.

- Rozkazy mówią mi, co mam zrobić. Muszę odstawić cię do pałacu Kapuletich.

Odwróciłam się tyłem do Benwolia i wycodziłam przez zaciśnięte zęby:

- Dziękuję pięknie, nie skorzystam z propozycji. Dam sobie radę.

I chciałam go wyminąć, ale jego zwałista postać zagroziła mi drogę.

-Jeśli nie pójdziesz ze mną z dobrej woli, będę cię musiał zanieść.

-Zanieść? Słuchaj, kolego, rozejrzyj się za kimś innym, jeśli interesują cię panie z rodu Kapuletich. Mówiłam ci, że nie potrzebuję pomocy.

Nagle straciłam grunt pod nogami i uniosłam się w powietrze. Osilek wziął mnie pod pachę.

- Co robisz! - zawołałam.

- Przykro mi, panienko, ale stracę przydział okowity, jeśli nie wypełnię rozkazów.

I ruszył przed siebie.

Benwolio ukrył się w piekarni, którą mijaliśmy. Miałam zamiar powiedzieć mu, że moim zdaniem pomysł zabrania Romea na przyjęcie do Kapuletich musi się skończyć bardzo źle, ale zdecydowałam, że lepiej nie krzyczeć. Nie miałam przecież pojęcia, jak zachowałby się wtedy strażnik. Kiedy znowu się obejrzałam, Benwolio był już na ulicy. Nasze spojrzenia się spotkały i to mną wstrząsnęło, jakby przez moje ciało przepłynął prąd elektryczny.

Zdaje mi ęć, że ta dama przyrzeka za wiele
(Hamlet akt III, scena 2)

Być niesioną jak worek kartofli - kiedy ma się pięć lat, może to być atrakcją. W tym wieku udawałam, że zasnęłam na kanapie, a wtedy ojciec zgarniał mnie i szybko zanosił do łóżka. Ale w wieku lat siedemnastu taka rzecz nie sprawia nam już żadnej przyjemności. Coś mnie uwierało w biodro i w biust. Moje serce podskakiwało przy każdym kroku.

- Puść mnie! Potrafię sama chodzić!

Mój tragarz był głuchy na te protesty i mijał dziesiątki ludzi, którzy też nie zwracali na nie uwagi.

-Ludzie, powiedzcie temu gorylowi, żeby postawił mnie na ziemi! - wołałam.

Ale skutek był tylko taki, że goryl pochwycił mnie jeszcze mocniej.

Co powinna zrobić dziewczyna, niesiona po ulicy do góry nogami? Jeśli chodzi o mnie, szturchałam strażnika łokciem w zadek i usiłując wyprostować szyję, przyjmowałam do wiadomości, że w mieście z mojego snu jedna kręta uliczka przechodzi w następną, tak samo krętą. Mijaliśmy bogaczy odzianych w aksamity i biedaków w łachmanach, przekupniów zachwalających swoje towary i klientów tar-

gujących się o cenę. Gruba kobieta zaganiała stado świń, a paru kościstych wyrostków łapało psa. Szyja mi ścierpła, więc walnęłam goryla łokciem w zadek jeszcze raz. Należało mu się.

Jazda trwała dalej i skręcaliśmy to w prawo, to w lewo. Była to moja własna wersja drogi brukowanej żółtą kostką w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*. Zanuciłam parę taktów piosenki i przypomniałam sobie, jak Dorota szła tą drogą, podskakując. *Idź, idź, idź, idź żółtą drogą.*

Nagle goryl się zatrzymał i postawił mnie przed ogromnymi wrotami, w które zastukał. W drzwiach otworzył się judasz i pojawiło się w nim przekrwione oko. Spytano:

- Kto tam?

- Grzegorz. Natknąłem się na jedną z naszych kobiet. Wędrowała po mieście.

Drzwi otworzyły się natychmiast i żyłasta ręka złapała mnie za ramię.

- Wielkie nieba, dobrześ zrobił. Trzeba ją było przyprowadzić, zanim Wielmożna Pani się dowie. Kobiety z pałacu Kapuletich nie mogą się teraz wałęsać po ulicach.

Grzegorz odsunął się, tupiąc buciorami i burcząc coś o tym, że mu „zaszło w gardle”. Żyłasta ręka należała do starego człowieka. Wciągnął mnie do środka, po czym zamknął wrota mosiężnym kluczem, a klucz powiesił na gwoździu. Wbijając kościste palce w moje ramię, prowadził mnie korytarzem. Po obu jego stronach wisiały na ścianie portrety w złoconych ramach. Największy z nich przyciągnął moją uwagę. Był to olejny portret kobiety obwieszanej klejnotami. Malarz umieścił jej źrenice w takim miejscu, że zdawały się patrzeć mi prosto w oczy. Jej wą-

skie usta były zaciśnięte jak gdyby z urazą - w ten sposób można je opisać najwierniej.

- Kto to jest? - spytałam. Starzec rzucił okiem na portret.

- Była seniorką tego wielkiego rodu. To Jaśnie Wielmożna Adelajda Kapuleti Medici. A czy panna na pewno należysz do rodziny?

- Tak - powiedziałam z wahaniem. Wydał policzki.

- Więc jak to możliwe, żeś panna portretu nie rozpoznała?

Powinnam była rozpoznać. Bo matrona z portretu wyglądała jak moja prababka Adelajda po spotkaniu z szesnastowiecznym dyktatorem mody.

- Wygłupiłam się. Oczywiście, że ją poznaję. Stał na palcach i przyjrzał mi się uważnie.

- Tak, widzę rodzinne podobieństwo. Ty i Julia macie ten sam podbródek.

Jakie to dziwne - pomyślałam - że w swoim własnym śnie nie obsadziłam w głównej roli samej siebie. To prawda, że ta rola wychodziła mi już uszami i że nie poradziłam sobie z treścią, która mnie zjadała, i tak dalej, ale czyż w naszych snach nie jesteśmy wszyscy gwiazdami? Heleną Trojańską, bohaterem, który zabija smoka, albo dziewczyną, która zakochuje się, stojąc na balkonie.

Ale ja obsadziłam się w roli dalekiej kuzynki. W roli drugoplanowej.

I taki właśnie był wtedy, przed rokiem, stan mojego umysłu. Moja głęboka wewnętrzna prawda była o wiele bardziej dołująca niż treść albo gniew mojej matki. Zgubiłam siebie samą w którymś momencie mojego dzieciństwa, które toczyło się od jednej do drugiej roli na deskach

teatru Wallingford, co było bardzo wątpliwym źródłem satysfakcji. Uczono mnie, że nie ma nic ważniejszego niż honor rodziny. I jakoś po drodze uwierzyłam, że ja sama jestem na dalszym planie. Starzec dłużył w zębach.

-Wielmożna Pani trochę dzisiaj nie w sosie. Jesteś dziś panna trzydziestym trzecim gościem. A zjeżdżają tak od tygodnia. Problem w tym, że nie mamy już wolnych łóżek w naszym pałacu.

Posadził mnie na ławie.

- Czekaj tu.

I gdzieś podreptał.

Podczas jego nieobecności w korytarzu nie ustawał gorączkowy ruch. Służąca biegała tam i z powrotem, dźwigając wiadra wody i szczotki. Mężczyźni w fartuchach taszczyli beczki i skrzynki. Jakiś chłopak przeszedł, niosąc na głowie wielką, krągłą gomółę żółtego sera. I wszyscy mówili tylko o przyjęciu.

Przyjęcie w domu Kapuletich ma miejsce w pierwszym akcie sztuki Szekspira. Był wystawny bal, pomyślany jako okazja, by przedstawić Julii konkurenta do jej ręki, młodego mężczyznę imieniem Parys. To moja ulubiona scena w całym przedstawieniu, bo nosiliśmy w niej maski, dzięki czemu trema mniej dawała mi się we znaki. I tańczyliśmy, a lubiłam tańczyć, nawet jeśli za partnera miałam Troya. Czasem przyciskał mnie do siebie mocniej, niż to było konieczne, tak mocno, że nasze uda ocierały się o siebie. Czasem opuszczał niżej dłoń, którą trzymał na moich plecach. Samo wspomnienie tych chwil przyprawiało mnie o dreszcz.

Nawet w swoim śnie nie mogłam wyprzeć się własnych uczuć. Nadal podobał mi się ten pyszałek i bęcwał. Wzdychałam za każdym razem, kiedy wchodził do garderoby, i zawsze próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby nasz sceniczny pocałunek trwał chwilę dłużej. Ale nie byłam zadowolona, że przeżywam te uczucia. Nie chciałam kochać człowieka, który mnie nie kochał. Na szczęście Troya nie było w moim śnie. Uznałam to za dobry znak.

Starzec wrócił.

- Wielmożna Pani chcę cię widzieć. Ruszaj za mną. Szliśmy po marmurowych schodach.

- Przybywasz z daleka? - spytał.

- Tak. Z Manhattanu.

- Nie znam takiego miasta. Gdzie twoje kufry podróżne? Rozejrzałam się wkoło, jakbym miała nadzieję, że moja podświadomość na zawołanie sprokuruje jakieś kufry.

- Niestety, tu ich nie ma.

- Zostałaś obrabowana?

To będzie brzmiało prawdopodobnie.

- Tak. Obrabowana.

- Wielkie nieba! - zawołał. Dotarliśmy właśnie do szczytu schodów. - Na pewno zrobili to ludzie z rodu Montekich! Idę o zakład, że pewnego dnia zapłacą nam za wszystko!

Zatrzymaliśmy się przed wąskimi drzwiami.

- Jak pannie na imię?

- Mimi.

Zapukał trzy razy, po czym nacisnął klamkę i lekko mnie popchnął.

-Mimi z Mankatanu - zaanonsował. - Przybyła na przyjęcie. Po drodze została obrabowana.

Skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Pod ścianą stały skrzynki pełne ciętych kwiatów i jakieś kobiety plotły z nich girlandy. Stałam przy drzwiach, nie wiedząc, co powinnam zrobić. Zza parawanu dobiegały jakieś głosy.

- Wielmożna Pani, muszę dziś dostać, co mi się należy

- szeptał mężczyzna.

- Dobrze wiesz, że teraz nie mogę ci oddać pieniędzy

- odpowiedział kobiecy głos. - Musisz przekonać swoich mocodawców, żeby prolongowali mój dług.

- Wielmożna Pani, może małżonek mógłby...

- Mój mąż nie ma głowy do pieniędzy - powiedziała, na moment podnosząc głos, i znowu go obniżyła. - To ja zarządzam tym domem. Mąż jest w stanie pomóc mi akurat tyle, co gdyby był nieboszczykiem. Woli zdać się na to, co zrobię. Ma nadzieję, że Julia zgodzi się wyjść za mąż. Możesz to sobie wyobrazić? Chciał Julii zostawić decyzję w tej kwestii. Na szczęście udało mi się go przekonać, że musimy działać szybko. - Na chwilę umilkła.

- To kwestia dwóch, trzech tygodni... Gdy tylko małżeństwo mojej córki będzie już pewne, dostaniemy od jej narzeczonego znaczną sumę pieniędzy. Więcej niż potrzeba nam na spłatę długów.

- Z odsetkami?

-Tak. A teraz idź już. Muszę się zająć przygotowaniem przyjęcia.

Mężczyzna wyszedł zza parawanu z plikiem papierów pod pachą. Kiwnął mi głową i opuścił pokój. Wysoka kobieta klasnęła w dłonie.

- Pośpieszcie się. Trzeba zaraz rozwiesić te girlandy.

Podniosła brwi, marszcząc niewiarygodnie wysokie czoło. Takim się wydawało z powodu włosów wyskubanych u nasady.

- Kto ty jesteś?

- Mimi. Z Manhattanu.

Jej spojrzenie było hipnotyczne. Może nie wiecie, że Pani Kapuleti jest w tragedii Szekspira czarnym charakterem. Nie mówi dużo na scenie, działa raczej zakulisowo. To właśnie jej nienawiść rozpałała wojnę między dwoma domami. To jej nienawiść zabija w końcu młodych kochanków, takie jest moje zdanie. Ale może też brak mi obiektywizmu tam, gdzie chodzi o matki.

- Co ci się stało?

- Zostałam obrabowana. Oczy jej się zwięziły.

-To dlatego suknię masz podartą i zabłoconą? Czy napastnicy cię nie molestowali? Czy twoje dziewictwo pozostało nietknięte?

Moje dziewictwo było ostatnim tematem, jaki chciałabym z nią omawiać. Spróbujcie to zrozumieć, nie wstydziłam się swojego dziewictwa. Mając wybór, wolałabym poczekać na kogoś, kto mnie pokocha i kogo ja pokocham. Na kogoś, komu zaufam, kto będzie mi oddany, i tak dalej. Dopiero wtedy zaczęłabym się zastanawiać, co mam zrobić z moim dziewictwem. Ale nigdy jeszcze nie byłam w takiej sytuacji, w której musiałabym się nad tym zastanowić.

- Nie, nie molestowali mnie - odpowiedziałam trochę nerwowo. W jej obecności czułam się zakłopotana. Stała tuż obok, a jej kościste ramiona pochylały się nade mną. -Zabrali tylko moje kufry.

- Ludzie z rodu Montekich powinni ponieść karę za to, co ci zrobili. Powiem o tym mężowi, kiedy wróci. Karą powinno być ucięcie rąk i wykipienie oczu.

Czyżby zamierzała wyłupić przepiękne oczy Benwolia?

- Myślę, że to nie jest konieczne.

- Niekonieczne? - ściągnęła brwi. - Nawet jeśli przybywasz z Mankatanu, twoim obowiązkiem jest nienawidzić Montekich w tym samym stopniu co wszyscy inni członkowie naszego rodu. Zemścimy się na Montekich. Zapamiętaj moje słowa, zemścimy się.

Kiwnęłam głową. Dyskusja z nią nie miała żadnego sensu. Chciałam, żeby mój sen pozostał tak przyjemny jak na początku.

Z zasznurowanymi wargami przystąpiła do oględzin mojego stroju.

- Nie mogę pozwolić, żebyś pokazywała się ludziom w tej sukni. Kobiety Kapuletich dźwigają na swoich barkach reputację całego rodu. A te ramiona powinny być zawsze schludne i gustownie odziane.

Złożywszy razem opuszki palców, zabębniła nimi bezgłośnie.

- Nakazałam wszystkim kobietom zdrzemnąć się przed przyjęciem, ale właśnie dotarła do mnie wiadomość, że zabrakło łóżek. Więc pójdiesz się zdrzemnąć w pokoju Julii.

Wydaj się patrzącym
jak kwiał niewinny
lecz bądź wężem pod nim
(Makbet, akt I, scena 5)

Pani Kapuleti sunęła przez korytarz. Moja podświadomość ukształtowała ją doskonale. W pociągłej, szpiczastej twarzy miała coś ze Złej Czarownicy z Zachodu. I trochę przypominała Cruellę de Ville, zwłaszcza jeśli chodzi o włosy, wyblakłe, lecz u nasady czarne. Wyglądały, jakby ktoś sypnął jej na głowę popiołu. I była nieco podobna do mojej matki, przynajmniej w tym, że od razu zaczęła ze mną rozmawiać o honorze rodziny.

-Przede wszystkim musimy dbać, żeby nazwisko Kapuletich pozostało nieposzlakowane - powiedziała ze śmiertelną powagą.
- Nasz ubiór, maniery i cele muszą być spójne. Nazwisko Kapuletich musi być dla nas najwyższą wartością, tak jak zawsze nią było. Jesteśmy Kapuleti. Werona to my.

-Jesteśmy Wallingfordami - mówiła moja matka. -Teatr to my.

Pani Kapuleti stawiała długie, przesadnie zamaszyste kroki, a ja podążałam za nią jak družka na weselu. W uszach rozbrzmiewała mi jakaś nieznośnie powolna wersja ballady Troya Summery pod tytułem *Dziewczyno, jesteś moim światem*. Na jej karku osiadły drobiny pudru.

Nie mogłam sobie przypomnieć, czy w jakimś wcześniejszym śnie byłam w stanie zauważyć takie drobne szczegóły. Albo inny szczegół - od chłodu kamiennej posadzki aż łamało mnie w stopach, i to mimo że na nogach miałam klapki. Czy to możliwe, żeby akcja snu toczyła się w czasie realnym? A w tym wypadku bez wątpienia tak było. Byłam głodna i chciało mi się siusiu, a to ostatnie nie wróżyło nic dobrego, bo jeśli we śnie chce się nam siusiu, to znaczy, że się wkrótce obudzimy albo że zesikamy się bezwiednie w świecie realnym. Żadna z tych dwu możliwości mnie nie pociągała. Chciałam pozostać w moim śnie przynajmniej, dopóki Clarissa nie zejdzie ze sceny. A może i dłużej. Gdybym zapadła w śpiączkę, powiedzmy, na tydzień, Reginald Dwill być może poszukałby kogoś innego do swojego nagrania.

Pani Kapuleti w przelocie wskazała mi wiszący na ścianie gobelin.

-Widziałaś kiedyś tak pięknie utkany herb Kapuletich? To dzieło mojej córki, Julii. Jest taka lojalna i posłuszna. Kocham ją nad życie.

I dlatego chcesz ją oddać za żonę temu, kto oferuje najwięcej - pomyślałam.

Gwałtownie obróciła głowę i spojrzała na mnie podejrzliwie.

- A gdzie jest twoja matka? Dlaczego nie przyjechała z tobą?

Nie, tylko nie to! Nie życzyłam sobie Veroniki Wallingford w moim śnie. Bez wątpienia z miejsca zrobiłaby z niego koszmar.

- Nie żyje - odpowiedziałam. Pani Kapuleti zacisnęła usta.

- Świeć, Panie, nad jej duszą, umarła na zarazę? Wielu zmarło na zarazę, kiedy nas ostatnio nawiedziła.

- Tak - uznałam, że to brzmi nieźle. - Na zarazę. Pani Kapuleti złożyła dłonie.

- A kiedy żyła, czy byłaś jej posłuszna jak kochająca córka? - spytała, podnosząc brew, i daje słowo, że dreszcz przeleciał mi po plecach. Obok fruwała mucha i niemalże spodziewałam się zobaczyć, jak pani Kapuleti wystawia cienki rozdwojony język, żeby ją pochwycić.

- Tak, byłam posłuszna. Jeszcze jak posłuszna - zapewniłam ją. - Ale teraz troszczę się o siebie na własną rękę.

Pani Kapuleti skrzywiła się.

-Młode dziewczęta nie potrafią zadbać o siebie we właściwy sposób. Potrzebują kogoś, kto nimi pokieruje. Wiem, co trzeba zrobić. Skoro twoja matka nie żyje, zajmę jej miejsce. Póki będziesz w moim domu, musisz mnie słuchać jak własnej matki.

I położyła na moim ramieniu lodowatą dłoń.

O, nie, dziękuję pięknie - pomyślałam. - Boję się ciebie, umieram ze strachu, naprawdę.

- Chyba nie będzie to potrzebne...

- Nie waż się mówić mi, co jest potrzebne, a co nie. Zdecydowałam, że roztoczę nad tobą opiekę zarówno w kwestiach materialnych, jak i moralnych. A kiedy raz coś postanowię, tak ma być.

A więc trafiła mi się okazja, żeby spróbować się wyswobodzić z rodzicielskich kajdanek, mniejsza o to, że tylko we śnie. Patrzcie ją, jeszcze jedna matka, też z piekła rodem, i chce mną pokierować. Wyglądało na to, że moja podświadomość nie pozwala mi zbyt łatwo urwać się z łańcucha.

Pani Kapuleti zatrzymała się przed wąskimi drzwiami, w które zastukała. Otworzyła nam krągła kobieta w średnim wieku o dość tłustej cerze.

- Marto, to jest Mimi z Mankatanu, daleka kuzynka Julii. Przyjechała przed chwilą. Zrabowali jej kufry, diabelskie nasienie.

- Ród Montekich? - spytała piastunka.

Pani Kapuleti wykrzywiła twarz w grymasie gniewu, a jej brwi złączyły się w jedną kreskę.

-A któż by inny! Kto ośmieliłby się napaść kobietę z naszego rodu, jeśli nie te podłe zbiry! Czekają już na nich wieczny ogień piekielny, w którym będą się codziennie smażyć jak prosięta od samego rana, by o zmierzchu zostać pożartymi przez kanibali!

Strzepnęła jakiś pyłek z haftowanego gorsecika wspaniałej sukni i rozchmurzyła się.

- Powiedz mi, Marto, jakże się miewa moja Julia?

- Całkiem dobrze, proszę pani. Śpi, niewinna jak wiosenny pączuszek, a przecież tym właśnie jest.

Pani Kapuleti kiwnęła głową.

- Pięknie powiedziane. Niewinna jak pączuszek, który dopiero się rozwinie, nabierając kobiecości. Teraz idę, muszę poszukać dla Mimi odpowiedniej sukni na dzisiejszy wieczór. Dopilnuj, żeby się zdrzemnęła.

Pani Kapuleti odwróciła się i odpłynęła w głąb korytarza. Obie z Martą odetchnęłyśmy z ulgą.

Piastunka wprowadziła mnie do prawie zupełnie zaciemnionego pokoju, w którym stało łóżko, duża drewniana komoda, malowany stół z takimiż krzesłami i fotel o wysokim oparciu. Zamknęła drzwi.

- Ładny mi pączuszek, ładna mi wiosna... - mruzczała. - Akurat! Raczej zimowe błoto albo letni skwar!

Potrząsnęła poduszką i kiwnęła na mnie palcem.

- Popatrz, kuzynko Kapuletich. Mam tu zawsze pełne ręce roboty przy tej mojej bestyi.

I wskazała łóżko, na którym ktoś leżał, przykryty pledami. Domyśliłam się, że to Julia. Ale dlaczego Marta nazywa ją bestyją?

-Moje stare serce nie ścierpi już sztuczek ani kłamstw. Nie zna bestyja litości. Nie zrozum mnie źle. Kocham ją jak własne dziecko, ale brak mi już do niej sił, Bóg świadkiem.

Stanęła przede mną i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Pachniała jak zagrzybiona zasłonka od prysznic. Źródłem tego zapachu był, jak się domyśliłam, wyświechtany fartuch.

- Czy oni cię molestowali? - spytała, zbliżając do mojej twarzy czerwony, bulwiasty nos. - Obalili cię na ziemię i robili te swoje męskie rzeczy?

Może i pozwoliłabym, żeby Benwolio robił swoje męskie rzeczy, gdyby jakimś cudem pojawił się znowu w moim śnie. Cofnęłam się o krok, usiłując zaczerpnąć lżejszego powietrza. Skąd się brały te wszystkie zapachy? Nie przypominałam sobie, żebym przedtem kiedykolwiek czuła zapachy we śnie.

Pledy poruszyły się i wysunęła się spod nich para bosych stóp. Piastunka szybko podbiegła do łóżka.

- Miałaś spać, czyż nie?

- Przecież śpię - padła niewyraźna odpowiedź.

- Mówi, że śpi - piastunka poprawiła fartuch i znów przemówiła do pledów: - Jak możesz spać, kiedy właśnie rozmawiasz ze mną?

- Widać mogę. Pewnie mówię przez sen - padła odpowiedź i stopy schowały się pod pledami.

- Bezczelna mała - mruknęła piastunka i wskazała mi łóżko. - No, to włącz pod pledy. Pani Kapuleti życzy sobie, żebyś się wyspała. Ale uważaj. Ta mała czasem gryzie.

Powiedziawszy to, Marta wręczyła mi poduszkę.

Zrzuciłam klapki. Pledy poruszyły się. Odsunęłam je, chwyciwszy za krawędź tego, który leżał na spodzie, i wczółgałam się do łóżka jak do ciepłego kokonu.

- Cicho - szepnęła Julia prosto do mojego ucha. Nie widziałam jej, ale poczułam, że przewróciła się na drugi bok i przyłgnęła do mnie. Piastunka usiadła w fotelu. Jęknęli przy tym oboje - ona i fotel.

- O ja nieszczęśliwa! - narzekała Marta. - Co za los, być piastunką tej bestyi niewdzięcznej.

Julia zachichotała i znowu wystawiła stopy spod pledów, przy okazji odsłaniając także moje.

-Nie myśl, że nic nie widzę i wyobrażam sobie, że śpisz, bo widzę wszystko i wiem, że nie śpisz, moja panno - mówiła Marta, coraz wolniej. - A potem to ja będę wysłuchiwać wymówek od Wielmożnej Pani, kiedy zobaczy, że masz worki pod oczami, boś nie spała. A czy to moja wina?

Jej głos przycichał, aż w końcu usłyszałyśmy potężne chrapanie.

Julia znowu zachichotała i odrzuciła pledy. I tak spotkałam się oko w oko z postacią, którą grałam przez ostatnie sześć miesięcy.

Jakie są chęci twoje
we wzglądzie małżeństwa?
(*Romeo i Julia*, akt I scena 3)

Chyba nigdy w życiu nie widziałam nikogo tak rozczochanego jak Julia Kapuleti. Burza kasztanowych włosów sterczących we wszystkie strony nic sobie nie robiła z praw grawitacji.

- Wcale nie jestem senna - oświadczyła.

- Ja też nie.

Bo czy mogłam być senna, jeśli właśnie spałam i śniłam?

Julia wstała z łóżka i na palcach podeszła do piastunki. Gdy zmęczona kobieta oddychała we śnie głęboko, Julia przywiązała tasiemki jej fartucha do oparcia fotela. Na chwilę musiała przerwać te czynności, żeby stłumić chichot. Piastunka poruszyła się, ale spała dalej. Podopieczna zawiązała ostatni węzeł na jej grubym brzuchu.

- Ona jest taka nudna - powiedziała. - Ciosa mi kołki na głowie przez cały dzień. Zrób to, zrób tamto. Tu idź, tam nie idź.

Głos miała trochę chłopięcy. Mój brzmiał podobnie tylko wtedy, kiedy byłam przeziębiona. Usiadłyśmy po turecku na podłodze.

- Jestem Julia - powiedziała.

- Jestem Mimi.

Przez szpary w drewnianych okiennicach wpadało do pokoju trochę dziennego światła. Julia przyglądała mi się dużymi brązowymi oczami, uważnie, jakbym była gościem z innej planety. Miała okrągłą buzię i kilka pryszczu koło nosa. Nie były rozrzucone jak u większości ludzi, tylko wszystkie w jednym miejscu. Wcale nie wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażał Fernando. Nie była doskonałą pięknnością z pełnymi ustami. Nie była też Julią w wydaniu hollywoodzkim - anielską i pełną wdzięku. Wyglądała zupełnie normalnie. Tak jak może wyglądać zwyczajna dziewczyna. Zwyczajna dziewczyna, ładna i pełna energii. Bardziej pasowałaby do niej strój do gry w piłkę niż ta długa nocna koszula ozdobiona koronkami i kokardami. Ale największe wrażenie zrobił na mnie jej wiek. Była bardzo młoda.

Podniosła rękę i wzięła z parapetu mały nożyk. Zaczęła drapać nim ścianę, krusząc tynk.

- Idziesz na przyjęcie? - spytała.

- Jeśli twoja matka znajdzie dla mnie sukienkę.

- Moi rodzice wydają to nieszczęsne przyjęcie, bo chcą mi znaleźć męża - wyjaśniła i z całej siły dźgnęła ścianę nożykiem. - Nie mam jeszcze czternastu lat, ale postanowili, że wyjdę za mąż. Moja matka urodziła pierwsze dziecko, kiedy miała piętnaście lat - dodała, marszcząc nos.

- Kiedy miała piętnaście lat? - powtórzyłam ze zgrozą, przypominając sobie program telewizyjny o dziewczętach w Afryce, które przy porodzie doznawały pęknięcia macicy, bo były za młode. Zadrżałam.

Piastunka chrapała coraz głośniejszymi oparłszy podbródek na obfitej piersi. Julia pochyliła się w moją stronę.

- Matka powiedziała mi, że dziś wieczorem Parys zechce wziąć mnie za rękę. On należy do książęcej rodziny i ma dwa razy tyle lat co ja. Chcą mnie wydać za starego dziada!

Odlupała kolejny kawałek tynku. Ściana była cała podziurawiona, nosiła ślady wielu podobnych ataków.

- Ona mówi, że małżeństwo jej jedynej córki z mężczyzną z rodziny książęcej przyda prestiżu nazwisku Kapuletich. Ale tak naprawdę pragnie jego pieniędzy.

- Mówiłaś matce, że nie chcesz za niego wyjść? - spytałam.

Zmarszczyła brwi.

- A co by to dało? Nic jej nie obchodzi, czego ja chcę albo nie chcę. Obchodzi ją tylko nazwisko.

Jak ja to dobrze znałam!

Córki dwóch matek, jednakowo ambitnych, zmuszone pójść ścieżką, którą im narzucono. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z podobieństwa mojego losu do losu Julii. Nie bez przyczyny moja podświadomość podsunęła mi we śnie to spostrzeżenie.

- Moja matka jest taka sama - zwierzyłam się jej. - Obchodzi ją tylko jedno... Chce zrobić ze mnie aktorkę. Jest właścicielką teatru na Manhattanie. Zamierza mnie zmusić, żebym poszła w jej ślady.

Julia przestała dłubać w ścianie i spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy.

- Jesteś aktorką? Grasz na scenie? Kiwnęłam głową.

- W zeszłym miesiącu była tu u nas trupa aktorów. Wystawiali greckie tragedie. Oni to mają ciekawe życie. Wędrują po szerokim świecie. A mnie w ogóle nie wolno

wychodzić z domu, chyba że do kościoła albo w odwiedziny do krewnych. Pochyliła się znowu.

- A co na to twój mąż? Pozwala ci grać w teatrze?

- Nie mam męża. Julia zmrużyła oczy. - Umarł?

Potrząsnęłam głową.

- Jeszcze nie wyszłam za mąż. Na Manhattanie nie musisz wychodzić za mąż, póki nie zechcesz.

Na chwilę zaniemówiła. Nożyk wysunął jej się z ręki i upadł na podłogę.

- Jak cudownie! Chcę tam pojechać. Zabierzesz mnie ze sobą?

- Właściwie... sama nie bardzo mam ochotę tam wracać. Może lepiej pojedźmy gdzie indziej? Na przykład do Paryża albo do Londynu?

Czemu nie? - pomyślałam. - Przecież to tylko sen.

- Nie chcesz wracać do domu? - uśmiechnęła się. - To uciekniemy razem.

Piastunka puściła bąka i obudziła się na moment. Obie zamarłyśmy, ale głowa znów jej opadła i rozległo się chrapanie. Zachichotałam, bo był to zdecydowanie najgłośniejszy bąk, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć.

Julia wstała i zaczęła spacerować po pokoju, a jej niesforne włosy podskakiwały przy każdym kroku.

- Co to ja chciałam powiedzieć? Matka nigdy nie da mi uciec. Wyśle za mną strażników, a oni znajdą mnie nawet na końcu świata.

Zatrzymała się i tupnęła.

- A dziś wieczorem muszę iść na to wstrętne przyjęcie i spotkać się ze starym dziadem, który zamierza mnie poślubić. Ma dwadzieścia sześć lat. Chodził za mną krok w krok, kiedy miesiąc temu byłam na weselu kuzyna, i jęczał, że pokochał mnie od pierwszego wejrzenia. Mówił, że jestem tak piękna jak jego róże. Ma hopla na punkcie kwiatów. Całe dni spędza w ogrodzie. Powiedział mojemu ojcu, że nie znajdzie lepszego dodatku do swoich kwiatów niż moja uroda. Pewnie zechce trzymać mnie w wazonie - dodała i wzruszyła ramionami. - Muszę coś zrobić, żeby się czym prędzej odkochał. Niech wycofa te swoje oświadczenia.

Myślałam, że to ja jestem specjalistką od tego, żeby mężczyźni się odkochiwali. Albo żeby się nie zakochiwali. Grałam w tylu sztukach, z tyloma facetami, i jeśli nie liczyć Troya, żaden z nich nigdy nie próbował umówić się ze mną na randkę. Ale nie jestem pewna, czy te korepetycje z pocałunku miały być randką. Ciocia Mary powiedziała mi, że chłopcy uważają mnie za nieosiągalną z powodu nazwiska, które noszę, a także dlatego, że moja matka onieśmiela każdego i to wydaje im się przeszkodą nie do przezwyciężenia. Ale ja nie bardzo wierzę. Gdyby ktoś naprawdę bardzo chciał się ze mną umówić, znalazłby drogę. Nawet gdyby musiał się rozmówić z moją matką. Nawet gdyby miał wdrapać się przez balkon.

- Pomożesz mi pozbyć się Parysa? - spytała Julia. Wyobrażałam sobie, że pozbycie się Parysa to będzie

kupa śmiechu. W sztuce Szekspira był skończonym głupkiem.

- Z chęcią, ale jak to zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że nie zamierzam być kwiatkiem z jego ogrodu.

- To może zostać paskudnym chwastem - podsunęłam myśl.
Szelmowski uśmiech powrócił na jej twarz.

- Wspaniale! - zawołała i klasnęła w dłonie. Piastunka była nadal pogrążona w swoim śnie, kiedy Julia otworzyła drzwi prowadzące na malutki balkon. Właśnie na *ten* balkon. Światło słoneczne wdarło się do wnętrza, a razem z nim lekki powiew wiatru. Stałam za nią, kiedy przechyliła się nad balustradką.

- Chłopczyku! - zawołała stłumionym głosem. Chłopiec, którego poznałam w sadzie morelowym, siedział na ulicy pod balkonem na drewnianej skrzynce. Na nasz widok zerwał się na nogi.

- Do usług! - zawołał i pomachał mi ręką.

- Znasz człowieka, który nazywa się Parys i mieszka za miastem? Tego, co ma tyle kwiatów?

Chłopiec kiwnął głową.

- Idź do niego. Powiedz mu, że podsłuchałeś, co mówiły kumoszki na targu. Będzie ciekawy, co podsłuchałeś, jeśli mu powiesz, że chodziło o Julię Kapuleti. Musisz udać, że wstydzisz się dalej mówić, bo to delikatna sprawa. Wtedy on zacznie nalegać.

Parsknęła śmiechem i spojrzała przez ramię. Opiekunka chrapała w fotelu. Julia weszła na palcach do pokoju, wzięła monetę z komody i wróciła na balkon.

- Co mam mu powiedzieć, proszę panienki? - spytał chłopiec.

- Powiedz mu, że kumoszki rozmawiały o czyraku, jakiego jeszcze nikt nie widział. A ów czyrak znajduje się na tyłku Julii.

Milczała przez chwilę, zacierając ręce na samą myśl o tej scenie.

- Powiedz mu, że ten czyrak wyłazi zawsze, kiedy jest pełnia.
I znowu parsknęła śmiechem.

- Powiedz, że Julia cierpi niewymowne bóle z powodu owego czyraka. Nie może tańczyć i dlatego przyjęcie jest odwołane. Zapamiętałeś wszystko?

Chłopiec kiwnął głową.

-Julia ma czyraka na tyłku, jakiego jeszcze nikt nie widział. Ten czyrak wyłazi zawsze podczas pełni.

- Tak, ale nie zapomnij wspomnieć i o tym, że Julia nie może tańczyć, więc przyjęcie jest odwołane.

- Zgadza się. Odwołane.

-I pamiętaj, że o tym wszystkim słyszałeś na targu -Julia rzuciła mu monetę. Chłopiec złapał ją i pobiegł przed siebie.

- To dobry chłopiec, znam go - powiedziała Julia. -Nie wygada się przed nikim, że to ja go wysłałam. Wkrótce przekonamy się, co Parys myśli o dziewczynach z czyrakami na tyłku.

W tamtej chwili poczułam, że naprawdę bardzo ją lubię. Jak szaloną młodszą siostrzyczkę, której nigdy nie miałam. Zbuntowaną. Moje alter ego.

Drzwi do sypialni otworzyły się i weszła pani Kapuleti. Temperatura z miejsca spadła o parę stopni.

- Dlaczego nie śpicie, dziewczęta? Uciekajcie mi z tego przeciagu! - syknęła. - Bo obie dostaniecie gorączki!

Ledwie Julia zamknęła drzwi od balkonu, do pokoju weszły dwie służące, każda z suknią w rękach.

- Połóżcie suknie na łóżku - zakomenderowała Jaśnie Pani. Po czym pochyliła się nad śpiącą piastunką.

- Marto! - wrzasnęła jej do ucha.

Marta aż podskoczyła i mocno wierzgnąwszy nogami, kopnęła panią Kapuleti w kolano.

- Wstawaj, wstawaj! - powtarzała matrona, machając rękami, gdy piastunka usiłowała wyswobodzić się z węzłów na tasiemkach od fartucha. - Co się z tobą dzieje? Ruszasz się jak mucha w smole. Wyjdź stąd. Muszę porozmawiać bez świadków z Julią i z naszym gościem.

Julia uśmiechnęła się beczelnie, kiedy jej piastunka trzasnęła parę razy fotelem w ścianę, żeby urwać tasiemki fartucha i w ten sposób się wyswobodzić.

- Bestyja! - mruzczała pod nosem, wybiegając z pokoju za służącymi.

- Moja córko - zaczęła pani Kapuleti - przynoszę ci wspaniałe wiadomości. Dobiliśmy targu z Parysem. Zostało uzgodnione, że ślub odbędzie się tak szybko, jak to możliwe. Zapewne w najbliższą niedzielę.

Szczeka Julii opadła ze zdziwienia. Ale nie odezwała się ani słowem. Prawdopodobnie nauczyła się już, tak samo jak ja, że żadne argumenty nic jej nie pomogą. Pani Kapuleti pocałowała córkę w czoło.

-A teraz przygotuj się na spotkanie twojego przyszłego męża. - Chciała przygłodzić włosy Julii, ale niesforne kosmyki nie poddawały się. - Zaraz ci przyślę mojego fryzjera.

Po wyjściu matki Julia stała nieruchomo przez długi czas. Ramiona jej opadły i wlepiła wzrok w posadzkę.

- Julio... - powiedziała, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Mam wyjść za człowieka, którego nawet nie znam - powiedziała i zaczęła oddychać bardzo szybko.

- Ale nie traćmy nadziei. Przypomnij sobie o czyraku.

- Czuję się dziwnie - wyznała. - Jakby ten pokój stawał się coraz mniejszy. Jakbym była uwięziona w czymś, co się zaciska.

Otworzyła drzwi od balkonu i głęboko wciągnęła świeże powietrze.

- Spokojnie - powiedziałam. Często uspokojałam tak samą siebie. - Wszystko będzie dobrze.

Ale czy to prawda? Jeśli mój sen nie odbiegnie daleko od akcji sztuki, to Julia była już skazana. W ciągu paru dni popełni samobójstwo. W takim wypadku okaże się, że naprawdę była uwięziona - w tragicznej fabule Szekspira. Jesteśmy jednak w moim śnie. Nie pozwolę, żeby tak się to skończyło.

-Jak szybko bije moje serce! Nie powinni zmuszać mnie do ślubu!

Kurczowo trzymała się balustradki. Drżały jej ręce i dolna szczęka też zaczęła drżeć. Łzy potoczyły się po zarumienionych policzkach. Oddychała płytko przez otwarte usta.

No, proszę! Jakbym widziała samą siebie.

- Masz atak paniki - powiedziałam, biorąc ją za rękę.

- Atak paniki? Tak, czuję paniczny lęk. Nie mogę złapać oddechu.

- Musisz uspokoić oddech, inaczej zaczniesz ci się kręcić w głowie. Słuchaj mojego głosu.

Zacząłam śpiewać jej swoją mantrę.

- Śpiewaj ze mną - powiedziałam. I zaczęła śpiewać. Ommm yaaa, ommm yaaa, ommm yaaa... I oddech Julii się uspokoił. Usiadłyśmy na kamiennej posadzce balkonu.

Jeszcze płakała, a ja nadal nie puszczałam jej dłoni. Szekspir wymyślił dla niej tę matnię, ale byłam w stanie zmienić bieg wydarzeń. Nie pozwolę, żeby to dziecko popełniło samobójstwo. Nawet gdybym musiała przez to pozostać w swoim śnie przez bardzo długi czas. Byłam zdecydowana nie obudzić się, dopóki historia Julii nie dotoczy się do szczęśliwego zakończenia. Bo choć jednej z nas należało się trochę szczęścia.

- Nie chcę wychodzić za mąż - powtarzała błagalnie, ściskając moje palce.

- Coś wymyślimy, żebyś nie musiała - zapewniłam ją. - Jeszcze nie wiem, co to będzie. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię z tego wyciągnąć.

Cóż; więc niech świat
stanie się mą ostrygą
(Wesołe kumoszki z Windsoru, akt II, scena 2)

Ale z tym nie mogłam już dłużej zwlekać. Musiałam zrobić siusiu.

Julia zakopała się znowu w swoje pledy. Twierdziła, że w łóżku najlepiej jej się myśli.

- Gdybym żyła na Mankatanie, nie musiałabym wychodzić za mąż. Jesteś pewna, że nie chcesz tam wrócić?

- Zupełnie pewna. Znam lepsze miejsca.

Zajrzałam pod łóżko w poszukiwaniu nocnika, ale zobaczyłam tylko kłaki kurzu i śpiącą mysz. Gdzie u licha oni sikali w tych szesnastowiecznych pałacach? Czytałam, że w średniowieczu wystawiało się tyłki przez otwory w ścianach. Nie, nie ma mowy, żebym zrobiła coś takiego. Nawet we śnie mam swoją godność.

-Julio...

- Ucieczka jest niemożliwa, matka wyśle za nami swoich ludzi. Nawet w klasztorze nie zdołam się ukryć - powiedziała, kopiąc w pledy.

-Julio... - wierciłam się jak dziecko z pierwszej klasy. - Gdzie tu macie łazienkę?

- Nie zgodzę się dzielić łoża z tym starym dziadem!

- Julio, muszę się wysikać!

- Wysikać się? Wygódka jest tam, w kącie, za parawanem.

Nie zauważyłam parawanu, pomalowanego na ten sam szarawy kolor co ściany. Ujrzałam za nim stołek z wyciętą w środku dziurą i fajansowym naczyniem pod spodem, podobnym do nocnika dla małych dzieci, tylko znacznie większym. Teraz już sobie poradzę, pomyślałam.

Kiedy sikałam, do mojego umysłu sączyły się wątpliwości. Mocz był ciepły, a ulga całkiem rzeczywista. Co to będzie, jeśli teraz naprawdę sikam? Mój Boże, czy to znaczy, że podczas snu zsikałam się w świecie realnym? Kompromitacja! Zwłaszcza jeśli Troy byłby przy tym obecny. Niedawno widział, jak rzygałam. No, pięknie. Jeśli się zsikałam przy Troyu, nie zwalę już tego na nieświeże małże.

Zaraz, chwileczkę. Kiedy we śnie się potykamy, wydaje nam się to rzeczywiste, lecz przecież śniący się nie potyka. Więc, miejmy nadzieję, w świecie realnym wcale nie sikałam.

Ale wątpliwość mnie nie opuściła. Śniący na ogół nie zastanawiają się nad tym, czy śnią, czy nie. Póki śnią, biorą sen za rzeczywistość. A ja tymczasem siedziałam i łamałam sobie nad tym głowę.

- Och, Mimi, nawet gdybym miała pieniądze, których nie mam, nawet gdybym miała konia i powóz, którego nie mam... dwie dziewczyny nie mogą podróżować same. Będziemy przyciągać uwagę.

- Przeberzemy się za chłopaków - powiedziałam, zadowolona, że oderwała mnie on niepokojących myśli.

- Za chłopaków?

- Czemu nie? To klasyczny motyw w literaturze. Nawet Szekspir się nim posługiwał.

- Szekspir?

Pokój wypełnił się głosami. Doprowadziłam do porządku ubranie i wyszłam z za parawanu.

Dwie służące postawiły miskę z wodą na nocnym stoliku, a dwie inne wyciągnęły Julię z łóżka, i to dość obcesowo, jak zauważyłam. Julia wyrywała się, nadąsana, kiedy myły jej twarz przy pomocy małych ręczniczków i szcietkowały włosy. Weszły jeszcze dwie i zaczęły ściągać z niej nocną koszulę.

-Nie, dziękuję - powiedziałam, kiedy któraś z nich zbliżyła się do mnie ze szmatką do mycia. - Poradzę sobie sama.

- Nigdy mi nie pozwalają samej się ubierać! - zawołała Julia, która stała na środku pokoju w długich majtkach i czymś w rodzaju podkoszulka na ramiączkach. - Nigdy!

- wrzasnęła prosto w twarz jednej z tych kobiet. - Założę się, że na Mankatanie dziewczęta mogą się ubierać same!

Tak, ale nie wszystkie. W pewnym momencie mojego życia, chyba wtedy, kiedy okazało się, że mój biust nie jest w stanie wypełnić sobą stanika większego niż ten w rozmiarze A, moja matka zdecydowała, że powinnam upodobnić się do Audrey Hepburn. To wzór klasycznej urody. A poza tym już nie żyje, nie może mieć pretensji, że ją naśladujesz

- powiedziała mi, po czym zaczęła wieszać w mojej szafie sukienki bez rękawów i rozszerzane płaszcze.

Lubiłam ubierać się w stylu naturalnym, co nie dawało mi szans, żeby dostać się na listę „najlepiej ubranych”, ale miałam to w nosie. Wolałam trzymać się własnych zwyczajów.

-Mnie też nie pozwalają samej się ubierać - powiedziałam ze współczuciem.

Julia tupnęła gniewnie, kiedy służąca zaczęła wciągać na nią przez głowę długą, białą koszulę.

-To boli! Przestań mnie ciągnąć za włosy! Zacznę wrzeszczeć, jeśli nie przestaniesz!

Nagle zrobiło mi się żal Fernanda, bo przypomniałam sobie, ile razy jęczałam i krzyczałam, gdy on robił tylko to, co do niego należało. Zrzuciłam swoją brudną suknię i sięgnęłam po koszulę, którą mi podano. Służące zrobiły wielkie oczy na widok mojego stanika i majtek, ale nic nie powiedziały. Julia była zbyt zajęta wyrywaniem się i protestami, żeby cokolwiek zauważyć.

-Wszystkie jesteście wredne i nienawidzę was! -oświadczyła.

Kiedy miałyśmy już na sobie koszule, przyszła kolej na halki. Potem podano nam suknie. Suknia Julii była niebieska, a moja zielona. Obie miały prostokątne dekolty i tasiemki do ściągania talii.

- Nareszcie ojciec przestał zmuszać wszystkich do ubierania się w barwy Kapuletich - powiedziała Julia, krzywiąc usta, bo ubieranie jeszcze się nie skończyło. Pozwoliłam, by służące mi pomagały. Wkładanie tej sukni okazało się bardzo skomplikowane. Rękawy były bufiaste, obszerne, i przyczepiało się je do sukni czymś w rodzaju sznurówek. Trwało to nieskończenie długo. Ręce mi zdrętwiały od trzymania ich w górze przez ten czas. Ale jak to możliwe, żeby ręce zdrętwiały mi we śnie? I dlaczego byłam tak strasznie głodna? Wątpliwości wciąż powracały uparcie, ale usiłowałam je odsunąć. Szykowałam się na bal z muzyką i tańcami. I z mężczyznami, z którymi będę tańczyć. W ciągu ostatnich lat brałam udział w niezliczonych balach dobroczynnych, ale nigdy bez opieki.

I dopiero tego wieczoru mogłam się wyrwać na wolność, może spróbować wina, może nawet zatańczyć z tym przystojnym Benwoliem. Bo w sztuce Szekspira udało mu się wśliznąć w przebraniu na bal i wprowadził także Romea.

Otóż to. Romeo też się zjawi na balu. A skoro moim celem jest doprowadzić tę historię do szczęśliwego zakończenia, będę musiała pilnować Romea, żeby trzymał się z dala od Julii.

- Jak śmia! - wołała pani Kapuleti, wpadając do pokoju z energią korka od szampana. Włosy miała rozpuszczone, a jej rękawy jeszcze nie zostały przyczepione do sukni. W jednej ręce trzymała arkusik papieru, w drugiej bukiet róż, którym potrząsała tak gwałtownie, że wokół wirowały w powietrzu oderwane płatki. Papier trzepotał w powietrzu.

- Ktoś powiedział Parysowi, że moja córka ma czyraka na tyłku!

Julia zagrała tę scenę z zimną krwią. Podziwiałam ją, bo sama pękłabym od razu pod spojrzeniem tej kobiety i wyśpiewałabym wszystko jak na przesłuchaniu.

- Mamo, to bardzo niemiłe ze strony tej osoby. Pani Kapuleti uniosła brew.

- Ale masz go czy nie masz? Pytam o tego czyraka. Julia tupnęła nogą, przydeptując palce służącej, która wiązała jej sznurowadła.

- Mamo! Nawet gdybym miała czyraka na tyłku, sądzisz, że ludzie Montekich mogliby o tym wiedzieć?

- No, rzeczywiście - przyznała pani Kapuleti i podała mi list. - Dostałam to od Parysa. Przeczytaj list na głos, Mimi. Jestem na to za bardzo wyprowadzona z równowagi.

Wzięłam liścik do ręki. W górnym rogu zobaczyłam złoczone duże P. Pismo było kształtne, zdobne w liczne zawijasy. Papier roztaczał różany zapach.

Szanowna i Droga Pani Kapuleti,

jestem niewymownie zasmucony stanem zdrowia Pani córki. Czyraki są bardzo nieprzyjemną dolegliwością, zwłaszcza jeśli pojawiają się na tak delikatnej części ciała, jaką - wyobrażam sobie - jest tyłeczek Pani córki. Chciałbym polecić Pani dobrego chirurga, na wypadek gdyby zabieg był konieczny. W niczym nie zmniejsza to mojego uwielbienia dla Julii. Nawet najpiękniejsza róża może mieć na płatkach tu i ówdzie jakąś skazę.

Jestem zasmucony, że bal został odwołany z tego powodu. Proszę dać mi znać, gdy Julia wyzdrowieje, abyśmy mogli podjąć na nowo przygotowania do ślubu. Proszę przyjąć te kwiaty na dowód mojego przywiązania.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Parys Kalketto

- On myśli, że moja córka ma skazę. Skazę! I że odwołaliśmy przyjęcie - pani Kapuleti wyrwała list z moich rąk i zgmiotła go w kulkę. - Zaraz go zawiadomię, że ten czyrak to podłe oszczerstwo i że przyjęcie ma się odbyć zgodnie z planem. Niech diabli porwą tych podstępnych Montekich. - Rzuciła bukiet na stół. - Potrzebne będą różane perfumy. Parys lubi zapach róż. Gdzie się podział fryzjer? Te twoje włosy to katastrofa!

Gdy tylko drzwi się zamknęły za jej matką, Julia kopnęła stołek i zaczęła wypychać z pokoju gromadę służących.

- Precz! Wszystkie precz!

Jedna z kobiet wręczyła mi szybko parę skórzanych trzewików na obcasach z drewna, po czym wyszła w ślad za innymi.

- Różane perfumy! - narzekała Julia, rzucając bukiet w kąt pokoju. - Nie chcę pachnieć jak te jego róże. Chcę pachnieć... wprost przeciwnie!

Najwyraźniej udało jej się opanować atak paniki. Nie wyglądała też na przygnębioną jak nieszczęsny Romeo. Była tylko przerażona perspektywą małżeństwa i nikt nie mógł jej o to winić. Jej sytuacja była przecież paskudna. Ale Julia Kapuleti nie należała do osób, które załamują ręce i poddają się. Jej odważna natura nie pozwoliłaby na to.

Otworzyła komodę, wyjęła z niej pieniądze i wyszła na balkon.

- Chłopczyku! - zawołała. Zmierzch już zapadał, ale powietrze wciąż jeszcze drżało po upalnym dniu. Mimo nadchodzących ciemności chłopiec znowu siedział na swojej skrzynce. I ochoczo zerwał się na boso nogi.

- Zrobiłem, co kazałaś, panienko.

- Tak, dobra robota. A teraz skocz, proszę, na targ i kup mi cebul. Tych z zielonym szczypiorem.

-Targ już zamknięty, proszę panienki. Ale moja mama hoduje cebulę w ogródku. Ile tych cebul potrzeba?

- Trzy wystarczą - Julia rzuciła mu pieniądze. Chłopiec pobiegł przed siebie, tak samo jak poprzednim razem. - Parys jakoś zniósł tego czyraka, ale nie zniesie zapachu cebuli - powiedziała i uścisnęła mnie z miną konspirator-ki. Pożerałam wzrokiem obraz jej buntu jak umierający z głodu pańszczyźniany chłop.

- Do usług, moje panny! - zawołał śpiewny głos. Do pokoju wbiegł mężczyzna spowity w szkarłat. Wszystko,

co miał na sobie, było szkarłatne, od obcisłego kubraka po jeszcze bardziej obcisłe rajtuzy. Za nim podążały dwie służące z kuferkiem, a na końcu piastunka Marta, która ugiwała się pod ciężarem kosza pełnego szczotek, grzebieni i wstążek.

-Och, tylko nie to! - zawyła Julia. - Fryzjer mojej matki!

Szkarłatny mężczyzna skłonił się z gracją, kreśląc przy tym dłonią esy-floresy w powietrzu, jak kucharz, kiedy oddziela białka od żółtek. Uśmiechał się przy tym protekcjonalnie.

- Moja mała, nie powinnaś marudzić. Twoje grymasy doprowadzają Vincenza do rozpaczki.

Julia zawyła jeszcze głośniej, wysuwając do przodu dolną szczękę jak buldog. Vincenzo potrząsnął głową z dezaprobatą i spojrzał na mnie.

- Taki los, Vincenzo musi poskromić i uczesać dwie niesforne głowy. Piastunko, przynieś mi wina. Vincenzo pragnie pobudzić swoją muzę.

Marta postawiła kosz na podłodze i wyszła, zagniewana, mamrocząc pod nosem, że jeśli komuś potrzeba wina i podniety, to przede wszystkim jej.

Fryzjer wskazał nam ławę. Wziął do ręki grzebień, który kształtem przypominał widelec do barbecue.

-Wypróbujemy mój najnowszy wynalazek. Nazwałem tę fryzurę „pochyłą wieżą”.

Ładny pasztet! Ile godzin będzie trwało układanie fryzury i makijaż? Sama nie wiedziałam, co mi przeszkadza wstać z tej ławki i wyjść do holu. Dlaczego zgodziłam się udreńczyć samą siebie? Mogłabym pójść, gdzie tylko zechcę, bo to przecież mój sen. Mogłabym związać włosy

pierwszą z brzegu wstążką i zawołać do Julii: „Spotkamy się na balu, idę!”.

Ale nie chciałam jej opuścić. Obiecałam, że jej pomogę. Nawet jeśli była tylko wytworem mojej nieświadomości, czułam się z nią jakoś związana. Tak, wiem, że to brzmi dziwnie. Ale taka jest prawda.

Wróciła piastunka i z trzaskiem postawiła na stole karafkę wina.

- Jest do połowy pusta - zauważył Vincenzo.

-Ja tam nic nie wiem - odparła Marta, ocierając usta grzbietem pulchnej dłoni. I szybko wyszła. Vincenzo wy-chleptał wino i zabrał się do swoich magicznych sztuczek. Używając małych drewnianych deszczulek, niedużych kawałków peruki i naszych własnych włosów, uplótł i utkał na naszych głowach wysokie, podobne do wież konstrukcje. Z powodu ich ciężaru głowy przechyliły nam się z lekka na lewą stronę. Vincenzo krążył wokół nas, komplementując samego siebie i głaszcząc te śmieszne twory, jakby to były żywe stworzonka.

Ale okazało się, że nie koniec na tym. Gdy zmrok zamienił się w gęste ciemności, fryzjer jeszcze pracował. Położył na naszych twarzach, szyjach i dłoniach gruby biały podkład. Czyżby za młodu pracował w cyrku? Kiedy skończył już z moim makijażem, odeszłam na bok i zajęłam fotel piastunki.

Wcale nie myślałam o tym, żeby się zdrzemnąć. Ale jakoś tak wyszło, że zasnęłam, czekając na Julię. We śnie przed oczami miałam postać Troya. Przyśnił mi się pocałunek. Troy nie odsunął się od moich ust, jak wtedy, na pierwszej próbie. I nie dowcipkował na temat ich dziewiczości. W moim śnie całowaliśmy się, całowali i całowali bez końca.

Wyobraźcie sobie, jak się zdziwiłam, obudzwszy się ze snu o pocałunku w śnie o Weronie. To było jak odbicie lustra w lustrze. Obudziłam się! Ale jak mogłam się obudzić, jeśli dalej śniłam? I wtedy uparta wątpliwość przybrała swój ostateczny kształt, objawiając się mojej świadomości niczym dojrzały czyrak. No, co z tobą? - wołała bezgłośnie. - Jeszcze się nie połapałaś?

Uszczypnęłam się w ramię. Zabolało. Uszczypnęłam się znowu, tak mocno, że paznokieć skaleczył skórę. Pojawiła się kropla krwi. Sprawdziłam puls. Moje serce biło bardzo szybko.

Nie spałam.

- Wspaniale - powiedział Vincenzo, składając ukłon przed Julią. - Gotowe. Możesz iść na przyjęcie i olśnić wszystkich swoją urodą. Od jutra pochyła wieża Vincenza będzie ostatnim krzykiem mody.

Ledwie wyniósł się ze swoimi pomocnikami, podeszła do mnie Julia.

- Nic ci nie jest? - spytała, zaskoczona moją niewyraźną miną.

Nie poruszyłam się. Jej źrenice były rozszerzone. Widziałam, jak pod warstwą podkładu pulsuje jej tętnica szyjna. Gdybym ją mocno uszczypnęła, zobaczyłabym kroplę krwi. To była najprawdziwsza Julia Kapuleti. Mój Boże! Wcale mi się nie przyśniła! To nie był sen! Kiedy strażnik taszczył mnie do pałacu, bolało, bo działało się to naprawdę. Piastunka pachniała nieświeżo, i to był jej prawdziwy zapach. Mocz był ciepły, bo taki właśnie jest, kiedy się sika. Kurka wodna! Nie śniłam.

A to dopiero!

Julia podbiegła do lustra. Podczas gdy ja pomyślałam sobie, że wyglądamy jak dwóch facetów przebranych za dziewczyny, ona wpadła w szesnastowieczny zachwyty.

-Och, nie, tylko nie to! - zawołała. - Jesteśmy tak piękne, że nikt się nam nie oprze!

Wybiegła na balkon, a wieża na jej głowie chwiała się przy każdym kroku.

- Chłopczyku! - zawołała, wyciągając ręce w mrok. Cebula ze szczypiorem świsnęła w powietrzu, za nią

następna i jeszcze jedna. Złapała jedną po drugiej, urwała szczypior i wetknęła go pod pas od sukni. Wzięła cebule w obie dłonie.

- Są jak bezcenne perły, wydobyte z muszli - szepnęła. - Matka zabije mnie, jeśli się dowie.

A moja zabije mnie za to, że nie wystąpiłam w przedstawieniu.

Bo na pewno nie wystąpiłam, skoro teraz... NIE ŚPIĘ!

Ale mniejsza o matkę. I mniejsza o teatr. To wszystko nie ma znaczenia. Oczywiście mogłabym siedzieć dalej w fotelu piastunki, zastanawiając się, co, jak i gdzie, dociekając, dlaczego się tu znalazłam. Mniejsza o to. Zdarzyło mi się coś niemożliwego. Magia.

Wstałam, starając się utrzymać równowagę mimo tej absurdalnej fryzury. Przepęniało mnie szczęście. Co za niezwykła przygoda! Jak cudownie, bajecznie jest stać obok Julii Kapuleti, choćbyśmy wyglądały nie wiem jak dziwacznie. Za chwilę pójdziemy na bal, na którym nikt nie będzie znał mojego prawdziwego nazwiska.

Julia była tak blisko, że krzywe wieże zbudowane z deszczulek i z naszych włosów stuknęły jedna o drugą.

Zaczęła chichotać, a jej śmiech spotęgował moją euforię. Julia Kapuleti, przesławna amantka, szykowała się do zjedzenia trzech surowych cebul w nadziei, że pewien mężczyzna odczepi się od niej za sprawą zapachu. Jeszcze nigdy nie brałam udziału w tak przewrotnym figlu. Nawet wygłupy w święto Halloween nie mogły się z tym równać. Bo to, co naprawdę zamierzałyśmy zrobić, było ni mniej, ni więcej, jak pokrzyżowaniem rodzicielskich planów.

Dlaczego nie przyszło to do głowy Szekspirowi?

- No to do roboty - powiedziałam, chowając cebule pod pas od sukni. - Idziemy odkochać Parysa.

Ona zawstydzona
świec jarzających blaski
(Romeo i Julia, akt I, scena 5)

Zbuntowane, wyposażone w zielony szczypior i trzy białe cebule, udałyśmy się do sali balowej. Zapewne nie zaskoczę was, jeśli zdradzę, że sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem. Nie mogę się już doczekać, kiedy o tym opowiem, ale przedtem muszę ustawić dekoracje, bo sala balowa Kapuletich zasługuje na opis.

Położona była w centralnej części pałacu. Z jednej strony prowadził do niej korytarz, którym płynął tam i z powrotem tłum służby ubranej w uroczyste białe koszule. Z drugiej strony masywne dwuskrzydłowe drzwi otwierały się na wewnętrzny dziedziniec ozdobiony greckimi kolumnami i marmurowymi rzeźbami. Na jednej ze ścian wisiał imponujący gobelin, przedstawiający herb Kapuletich. Pod nim ulokował się kwartet muzyków w brązowych kapeluszach, które wyglądały jak odwrócone miski do zupy. Rozpoznałam ich instrumenty, bo używaliśmy takich samych podczas przedstawień w teatrze Wallingford. Był to flet, mandolina, bębenek i klawikord. Na przeciwległej ścianie ujrzałam balkon, z którego pan i pani Kapuleti śledzili przebieg balu jak para dyżurnych nauczycieli, którzy nadzorują szkolną potańcówkę.

Z łukowego sklepienia zwisał tuzin kandelabrow, a płomyki świec migotały jak gwiazdy na nocnym niebie.

Rozglądałam się zza pleców kobiety ukrytej pod kapeluszem zdobnym w pawie pióra. Służba przeciskała się między grupkami gości, roznosząc przekąski na srebrnych tacach. A na środku sali tańczono w czarnych maseczkach, w których mężczyźni wyglądali jak renesansowe wersje Supermana.

Służący wręczył nam maski. Założyłyśmy je ostrożnie, żeby nie uszkodzić fryzur. W sali unosił się szmer rozmów, lekki jak powiew wieczornego wiatru, niosącego delikatną mgiełkę nad rozgrzаныmi, wypachnionymi ciałami. Tu i ówdzie rozlegał się śmiech.

Byliśmy tak niewyobrażalnie daleko od Nowego Jorku. Kiedy brałam nadziewane jajko ze srebrnej tacy, czułam, że moje zmartwienia prawie zniknęły. Łakomie pożerałam kremowe żółtko rozarte z delikatnym serem. Miało smak, jakiego nigdy nie spotkałam w tych pojemnikach z woskowanego papieru, zawierających niskokaloryczną żywność, które stały w naszej lodówce. Z innej tacy wzięłam suszoną morelę nadziewaną marcepanem i zaczęłam przytupywać w rytm skocznej muzyki. Początek był wspaniały.

Kiedy szłyśmy przez salę balową, wszystkie oczy zwróciły się na nas. Ale tym razem nie było we mnie ani śladu tremy - tylko niecierpliwość. Czy spotkam tu Benwolia? Czułam, jak się rumienię pod warstwą pudru na samą myśl o nim.

Kołysząc się pod ciężarem naszych fryzur, przepychałyśmy się razem z Julią przez tłum. Chociaż wyglądałam dziwacznie i śmiesznie, szybko przekonałam się, że ten ro-

dzaj śmieszności obowiązywał powszechnie. Kobiety miały włosy zakręcone w coś w rodzaju rogów, a mężczyźni obnosili z dumą absurdalnie duże skórzane „mieszki” o najróżniejszych kształtach. Nawiasem mówiąc, taki „mieszek” to był szczyt ówczesnej mody. Przypominały suspensory dla zapaśników. A kobiety wypychały sobie biust, żeby był okazalszy... Wystarczy, już zrozumieliście, o co chodzi.

Julia nie odpowiadała na pytania o nową fryzurę, tylko przebijała się przez tłum. Jak się domyśliłam, naszym celem był balkon, z którego jej rodzice obserwowali zabawę, odziani w stroje w korespondujących ze sobą kolorach, jak pary tańczące square dance. On nosił złocistą pelerynę, ona złocistą suknię. On miał rubinowy kubrak, ona rubinowe rękawiczki. Naraz zastąpił nam drogę jakiś mężczyzna i umyślnie nas zatrzymał. Jego pozłociony „mieszek” miał kształt głowy węża czającego się do ataku.

- Kogo to ja widzę? - zaczął.

- Tybalt! - zawołała Julia. - Nie mamy czasu na twoje gierki!

A więc kolejna ciekawa postać ze sztuki Szekspira. Tybalt był kuzynem Julii, siostrzeńcem pani Kapuleti. Aktorzy uwielbiali grać tę postać, bo był to prawdziwy czarny charakter, po prostu wcielenie zła - niebezpieczny, porywczy, okrutny. W ostatnim akcie Romeo zabija go w pojedynku.

Trzymając się prosto, jak przystało na żołnierza, Tybalt przyglądał mi się spod zmrużonych powiek.

- Nazywam się Mimi - powiedziałam. - Jestem kuzynką Julii, więc, jak sądzę, również twoją.

-Moja ciotka, pani Kapuleti, mówiła mi, że zostałam napadnięta. Proszę, opisz mi wygląd ludzi, którzy to zrobili, a osobiście posiekam ich na kawałki, którymi nakarmię mojego buldoga. Kiedy siekam Montekich na kawałki, czuję, że żyję.

Mówił o siekaniu ludzi na kawałki, jakby to nic nie było. Prawdziwy socjopata. Ominął Julię i oparł swój mieszek w kształcie głowy węża o moje biodro.

- Zatańcz ze mną.

- Przepraszam, nie mogę. Obie z Julią jesteśmy zajęte.

- Zajęte? - powtórzył, odsłaniając górne zęby. - Odmawiasz mi?

I znowu szturchnął mnie swoim pozłoconym węzem. Co za chamstwo! Miałam nadzieję, że Romeo szybko go zabije i Tybalt zniknie mi z oczu.

Na szczęście zawołała go jakaś kobieta. Julia i ja zdołałyśmy uciec.

- Nienawidzę go - powiedziała mi Julia, kiedy wspinałyśmy się po kręconych schodach prowadzących na balkon. - Kiedyś usiłował mnie pocałować. Przemocą.

Nagle zatrzymała się w połowie schodów.

-To Parys - szepnęła i wyciągnęła szczypior spod pasa u sukni. Wysoki jak tyka młody człowiek o miękkich rysach stał między jej rodzicami. Zdecydowanie brakowało mu podbródka. I był o wiele za chudy. Długa, cienka szyja wystawała mu z kołnierza jak patyczek od lodu.

Julia schowała się za moimi plecami przed wścibskim wzrokiem państwa Kapuleti. Wepchnęła do ust zielony szczypior i zaczęła szybko go przeżuwać.

- Julio! - zawołał ojciec. Przełknęła i wskazała mój pasek. Podałam jej białe cebule.

- Julio! - zawołała nagląco matka.

Obawiałam się, że się nimi udławi. Wbiłam paznokiec w cebulę, aż pociekł z niej sok.

- Wetnę ci go za uszami - powiedziałam. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się, choć zdążyła już wepchnąć sobie cebulę do ust i policzki miała wypchane jak chomik.

- W szyję też - wybełkotała.

- Julio! - krzyknęła ostro pani Kapuleti. Zanim osobiście ruszyła po córkę, Julia zdążyła przełknąć drugą cebulę. Ale została jeszcze jedna. Rozejrzałam się gorączkowo, po czym schowałam ją w swojej wysokiej fryzurze.

- Chodźmy. Ciekawe, jak mu się spodoba ten cudowny zapach - szepnęła, gdy wchodziliśmy na balkon.

- Pani mojego serca - powitał ją Parys. - Jestem szczęśliwy, że spotkaliśmy się wreszcie.

I pocałował ją w otwartą dłoń. Jego nozdrza poruszyły się, a koniuszek języka wysunął się z ust. Bez wątpienia smakował cebulę.

- Wyglądasz dziś zachwycająco - powiedział córce pan Kapuleti, mrugając małymi oczkami, które wyglądały jak dziurki w wyrośniętym cieście. Wciągnął nosem powietrze i zdziwił się.
- Jaki dziwny zapach...

Zanim odnalazł jego źródło, zrobiłam krok do przodu.

- Dobry wieczór. Jestem Mimi z Manhattańskiej gałęzi rodu Kapuletich. Dziękuję za zaproszenie na dzisiejszy bal. Nigdy jeszcze nie jadłam tak doskonałych faszerowanych jajek. A ci muzycy są chyba najwspanialsii w całych Włoszech.

Pan Kapuleti rozpromienił się.

- Masz wyrobiony zmysł smaku, a także dobry słuch. To oznaki odpowiedniego wychowania. Z Mankatańskiej gałęzi, powiadasz?

- Julio, pozwól, że zaproszę cię do tańca - powiedział Parys, przechylając głowę osadzoną na długiej szyi. Julia dygnęła i zaprezentowała mu wymuszony uśmiech. Na jej przednich zębach zostały kawałki zielonego szczypioru. Panią Kapuleti zatkało na ten widok i wściekłym ruchem wskazała zęby. Ale Julia nie zwróciła na to uwagi.

-Bardzo chętnie - odpowiedziała, pochylając się ku Parysowi tak blisko, jak to tylko możliwe, i robiąc specjalnie długi wydech przy słowie „chętnie”.

Parys cofnął się o krok, a pani Kapuleti odciągnęła córkę na stronę.

-Coś ty zjadła? - spytała szeptem, który można by określić jako bezdźwięczny krzyk.

- O co ci chodzi, mamó? - spytała Julia, a zapach cebuli owionął już cały balkon. Obróciła się i wzięła Parysa pod ramię. - Chodźmy tańczyć. Przetańczymy cały wieczór.

Parys zatkał sobie nos i poprowadził swoją przyszłą żonę w dół po schodach. Z ledwością ukrywał odrazę. Z emocji poruszałam gorączkowo palcami u nóg. Sukces był na wyciągnięcie ręki.

Przez chwilę stałam przy rodzicach Julii. Pan Kapuleti wciąż jeszcze wąchał powietrze, po czym sprawdził, czy to nie spod jego pach dobywa się ten smród, i powąchałby także pachy swojej żony, gdyby go nie odepchnęła. Nie miałam ochoty na ich towarzystwo. Rozejrzałam się znad balustrady balkonu. Służący obnosił po sali tacę z owocowymi ciastkami. Nagła świadomość, że to nie sen, uderzyła mnie znowu, kiedy zaczęłam łykać ślinę. Może powinnam spokojnie zastanowić się nad swoją sytuacją. Znaleźć jakiś ciemny kąt i w nim przemyśleć to, co mnie spotkało. Bo gdzie właściwie się znajdowałam,

jeśli to nie był sen? Jak się tutaj dostałam? I co ze mną będzie dalej?

Ale i tym razem zlekceważyłam problem. Kiedy doświadczacie magicznych zjawisk, wygodniej jest przyjąć za pewnik, że wszystko to jest tylko waszym złudzeniem. Od dawna chciałam, żeby coś się w moim życiu zmieniło. Narzekałam na nie tak długo, że sama już miałam tego dosyć. Więc pozwoliłam sobie zanurzyć się w chwili obecnej. Tym razem nie czułam żadnych oznak tremy. Nie myślałam o tym, co przyniesie przyszłość. Liczyła się tylko ta chwila, jakbym znalazła się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości, a tym, czego naprawdę pragnęłam, było ciastko z owocami.

Zaczęło mi burczeć w brzuchu. Uniosłam rąbek mojej ciężkiej sukni i zbiegłam po schodach najszybciej jak to możliwe.

- Przepraszam - powtarzałam, przepychając się między gośćmi w pogoni za służącym z tacą. Ale choć starałam się, jak mogłam, taca mi umykała i wciąż pozostawała poza moim zasięgiem.

-Przepraszam. Przepraszam - mówiłam raz po raz, deptąc po czyichś butach.

- Wina jest moja, bo postawiłem swój but na drodze zgłodniałej niewiasty - zza maski spojrzały na mnie czyjeś oczy. Kędzierzawe czarne włosy opadały na opalony kark. Temperatura mojego ciała z miejsca skoczyła o jakieś dziesięć stopni.

-Księżniczka z Morelowego Sadu... - powiedział Benwolio. Ale jak zdołał mnie rozpoznać w masce na twarzy i w tej dziwacznej fryzurze? Tak czy owak, rozpoznał mnie. I zachował się bardzo ryzykownie, odzywając się

do mnie w miejscu publicznym. Skąd wiedział, że go nie wydam? Mogłabym na przykład wrzasnąć: „Monteki! Monteki wkradł się na bal!” - a Tybalt z miejsca natarłby na Benwolia i przygwoździł go do ściany tą swoją pozłoconą głową węża. Oczywiście nie miałam zamiaru zrobić nic podobnego.

-Twoja uroda zawstydza blask świec - powiedział Benwolio. W sztuce Szekspira ten wers należy do Romea i przeznaczony jest dla Julii. Więc Benwolio go podgraczył, ale wcale się tym nie przejęłam. Czułam się nieco zamroczone, co jednak nie było niemiłe. On tymczasem sięgnął ponad moim ramieniem i z przepływającej obok tacy wziął dwa ciastka owocowe, z których jedno mi zaoferował.

- Dzięki - powiedziałam.

Drugie wepchnął sobie w całości do ust, nie odrywając ode mnie płomiennego spojrzenia.

Trudno jest jeść, kiedy ktoś gapi się na nas w taki sposób. Powoli skubałam zębami wypieczoną, ozdobioną orzechami leszczynowymi skórkę, jakbym nie miała apetytu. Nie chciałam, żeby kawałki orzechów powłaziły mi w zęby.

- Przez ciebie jestem w kłopotcie, Mimi z Mankatanu. Należysz do rodu Kapuletich, a jednak nie potrafisz cię znienawidzić.

- Ja też nie potrafisz cię znienawidzić. Uśmiechnął się.

- Więc może zatańczysz ze mną?

- No... dobrze.

Można by oczekiwać, że skoro przez całe życie grałam w sztukach Szekspira, potrafisz wysławiać się nieco bardziej elokwentnie.

Kiedy prowadził mnie tam, gdzie tańczono, obracałam w ustach reszkę ciastka. Umierałam z głodu! Po drodze pochwyciłam z tacy jeszcze jedno ciastko. Zauważyłam, że Benwolio nie nosi tego idiotycznego „mieszka”, i od razu polubiłam go jeszcze bardziej. A na parkiecie znaleźliśmy się w pobliżu Julii. Parys był strasznie skrzywiony, jakby bolały go zęby.

Panie utworzyły wewnętrzne kółko, a panowie zewnętrzne. Kroki były bardzo łatwe. Cztery w lewo, lekki podskok, cztery w prawo, lekki podskok. Benwolio prowadził i moje nerwy zupełnie uspokoiły się pod jego pewną ręką. Parys dostał kaszlu, a Julia nie przestawała dręczyć go swoim oddechem. Zbliżyła usta do jego twarzy, żeby opowiedzieć mu o swoim czyraku.

- Jest bardzo zaogniony - szeptała z zadowoleniem. -Wkrótce pęknie.

Zachichotała, gdy pod pretekstem zmęczenia zaproponował, że odprowadzi ją do rodziców. Idąc krok za nią, zatykał sobie nos.

Benwolio pochwycił mnie w talii i podniósł do góry, czym zupełnie mnie zaskoczył. Chichotałam jak głupia. Miałam nadzieję, że następny taniec będzie wolniejszy, co pozwoli mi przytulić się do niego tak jak do Troya na scenie teatru Wallingford. Uśmiechaliśmy się do siebie i w tym samym czasie usiłowałam sobie przypomnieć wszystko, co wiedziałam o tej postaci. W sztuce Szekspira nie zginął, co uznałam za pomyślną okoliczność. Był do końca lojalny wobec Romea i często uosabiał głos rozsądku. Odezwał się, jakby czytał w moich myślach.

- Chciałem przyprowadzić tu Romea, żeby zażył rozrywki, ale on woli siedzieć w ogrodzie i uzalać się nad sobą.

- Szkoda.

Lecz prawdę mówiąc, w tamtej chwili Romeo niewiele mnie obchodził. Cały ciężar, jakim przygniatał mnie teatr Wallingford, został zdjęty z moich barków. Byłam teraz kimś innym niż jeszcze przed paroma godzinami. Ta chwila należała tylko do mnie i do mojego Włocha. Nie miałam pojęcia, co się dzieje na balkonie, póki nie usłyszałam ostrego głosu pani Kapuleti, który nagle przeszył powietrze.

- Coś ty najlepszego zrobiła!

Muzykanci przestali grać. Parys gdzieś zniknął.

- Grajcie! - rozkazał pan Kapuleti.

Próbując zobaczyć, co dzieje się na balkonie, spowodowałam zator w tanecznym kręgu. Twarz pani Kapuleti była wykrzywiona złością, gdy szarpała Julię, ciągnąc ją w dół po schodkach. Julia skrzywiła się boleśnie. Wpakowała się w prawdziwe tarapaty. Pomyślałam, że to się może skończyć szlabanem na długie tygodnie. Musiałam jej coś powiedzieć.

Ruszyłam w jej stronę.

- Tam nie mogę ci towarzyszyć - powiedział Benwolio, biorąc mnie za rękę. - Nie wolno mi się zbliżyć do pani Kapuleti.

- Muszę zobaczyć, jak się czuje Julia. - Rozumiem - uśmiechnął się łagodnie i pocałował

moją dłoń. - To do następnego spotkania.

Całym ciałem odczułam ten jeden jedyny pocałunek. Z ociąganiem wysunęłam palce z dłoni Benwolia.

- Tak. Do następnego spotkania.

Przepychając się znowu przez tłum, straciłam z oczu Julię i jej matkę. Ale domyśliłam się, że poszły do jej poko-

ju. Niewygodne drewniane obcasy stukały głośno na marmurowych schodach i dwa razy omal nie skręciłam sobie kostki.

Pod drzwiami sypialni stała piastunka Marta, która wciąż jeszcze miała na sobie poplamiony fartuch. Za ścianą słychać było szloch Julii.

- Ojoj - szepnęła piastunka, załamując ręce. - Mała ściągnęła sobie na głowę ciężką biedę, jeszcze jaką. Nie idź tam. Gniew Wielmożnej Pani jest zbyt gwałtowny dla delikatnych uszu.

- Mamo, błagam! - usłyszałam. I weszłam do pokoju.

Pani Kapuleti trzymała Julię za ramiona. Pochyła wieża z włosów rozsypała się, a maseczka Julii upadła na podłogę.

- Jak śmiałaś zrobić coś podobnego! - wrzeszczała matka Julii.
- Ośmieszylaś nas wszystkich!

Milczałam. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Stałam w drzwiach, drżąc na całym ciele.

- Mamo... - zaszlochała Julia, łykając łzy.

- Nie odzywaj się do mnie, ty niewdzięczna! - krzyknęła matka i uderzyła córkę w policzek. Odgłos zabrzmiał jak smagnięcie biczem. Julia umilkła i cofnęła się w róg pokoju, ale pani Kapuleti dopadła ją i tam.

- Twoim obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec rodziców! My wiemy, co jest dla ciebie dobre! Ja to wiem najlepiej!

Spoliczkowała ją znowu i Julia osunęła się na podłogę.

Chciałam podbiec i przytulić Julię. Chciałam uderzyć panią Kapuleti. Moja matka nigdy by mnie nie spoliczkowała, nigdy! Ale często wypominała mi niewdzięczność.

I niezliczoną ilość razy mówiła, że najlepiej wie, co jest dla mnie dobre. Wszystkie moje żale wypłynęły nagle na powierzchnię.

Odezwij się - omal nie zawołałam. - Powiedz jej, że nie chciałaś zostać jego żoną! Powiedz jej, żeby zostawiła cię w spokoju! Powiedz jej, że nienawidzisz udawania!

Pani Kapuleti stała nad Julią, a Julia leżała na posadzce w pogniecionych aksamitach, zasłonięta rozsypaną fryzurą.

- Jeśli on zechce się jeszcze z tobą mimo wszystko ożenić, będziemy musieli obniżyć wymagania. Ojciec powinien spuścić ci porządne lanie za takie zuchwalstwo! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Julia nie odpowiedziała, a pani Kapuleti, Bóg świadkiem, podniosła nogę, żeby ją kopnąć.

- Nie! - zawołałam. Gdyby to się działo na Manhattanie, nie patyczkowałabym się z nią. Zagroziłabym, że będzie miała do czynienia z policją, bo oskarżę ją o przemoc domową. I zabrałabym Julię do Los Angeles. - To nie był jej pomysł.

Pani Kapuleti odwróciła się w moją stronę, z wyszczerzonymi zębami, tocząc pianę jak wściekły pies.

- Co wiesz o tej sprawie?

- Mamo! - jęknęła błagalnie Julia. - Ona nic nie wie! -Aha! - powiedziała pani Kapuleti i wyszarpnęła

ostatnią cebulę ukrytą w mojej fryzurze. - Można się było tego spodziewać. Od razu czułam, że w twoim pojawieniu się jest coś podejrzanego. Ile ci za to zapłacili?

- Proszę?

- Ród Montekich. Ile ci zapłacili za to, żebyś ściągnęła na nas taką hańbę?

I mnie także spoliczkowała. Tak mocno, że naprawdę zabolęło. Mimo grubej warstwy pudru rozrobionego z oliwą, która powinna amortyzować siłę uderzenia.

Mam nadzieję, że nikt was nigdy nie uderzył. To okropne doświadczenie. Oprócz szoku i bólu czuje się palący wstyd, a przecież wstydzic powinien się raczej ten, kto bije. Ale po pani Kapuleti nie było widać ani śladu wyrzutów sumienia.

Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy rozcierałam policzek.

- Nie miała pani prawa tego zrobić.

- Mamo! - odezwała się znowu Julia. - To moja wina! Tylko moja!

Nie, to już w ogóle nie było śmieszne. Gdzie się podziała dobra zabawa, której się spodziewałam? Gdzie się podziała przygoda?

- Chodź, Julio - powiedziałam. - Wyjdźmy stąd.

- Milcz! - Pani Kapuleti chwyciła mnie mocno za ramię i wypchnęła na korytarz. Gniew uczynił ją zaskakująco silną. Usiłowałam stawić opór, ale nie dałam rady. Zamknęła drzwi na klucz. Szarpałam się i wyrywałam, kiedy wlokła mnie przez korytarz. Udało mi się wyśliznąć jej z rąk, kiedy znalazłyśmy się na marmurowych schodach. Pomyślałam, że mogłabym skrócić sobie kark, gdyby mnie z nich zepchnęła. Czy w alternatywnej rzeczywistości można się zabić? Potem przeciągnęła mnie pod rzędami portretów rodzinnych, pod pejzażami w złoconych ramach i wreszcie przez tłum rozbawionych gości, aż znalazłyśmy się przy wyjściu z pałacu Kapuletich. Tam zebrała się w sobie i wypchnęła mnie za drzwi. Upadłam na kamienny bruk, w ciemność.

- Od tej pory nie masz wstępu do tego domu, Mimi z Mankatanu, jeśli naprawdę tak się nazywasz! - oświadczyła. Trzej strażnicy wyciągnęli szpady w moją stronę. -Nie masz prawa zbliżyć się do włości Kapuletich ani pozostawać w Weronie! Jeśli cię tu kiedykolwiek zobaczę, zginiesz!

Nie wiem, czy siła, która kazała mi się podnieść, brała się ze strachu, czy z odwagi. W bramie zebrała się grupka gości w maskach. Rechotali. Otoczyła mnie ciemność, a w niej skradało się kilku podpitych mężczyzn. Zdałam sobie sprawę z własnej bezbronności.

- A co my tutaj mamy? - odezwał się jeden z nich, chwytając mnie w tali. Wyśliznęłam mu się z rąk i pobiegłam w stronę bramy, ale tam stało jeszcze więcej strażników z obnażonymi szpadami. - Chodź tu do nas, moja słodka! Daj mi buziaka!

Przecież obiecywałam Julii, że jej pomogę.

- Julio! - zawołałam. Moja ręka pulsowała bólem. Skaleczyłam ją, upadając na kamienny bruk.

Drugi pijak też spróbował mnie obłapić. Myślę, że dziewczęta znikają w szesnastym wieku tak samo jak w dwudziestym pierwszym. Znikają dlatego, że znalazły się w złym miejscu i czasie. Nie miałam wyboru. Musiałam opuścić Julię. Zaczęłam biec i ochrypy śmiech pijanych ucichł za moimi plecami. W słabym świetle księżycy rozejrzałam się po ulicy.

Zdecydowanie był już czas zastanowić się nad tym wszystkim. Długi ciąg myśli doprowadził mnie wreszcie do tego wniosku.

Ustałam już, że nie zwariowałam i że nie śnię. I raczej nie był to przypadek podróży w czasie. Romeo i Julia

to postacie fikcyjne. To prawda, że Szekspir umieścił akcję swojej sztuki w realiach historycznych i geograficznych, że we włoskich miastach-państwach wielkie rody nieustająco walczyły między sobą, ale jeśli chodzi rody Kapuletich i Montekich - nigdy nie istniały. Więc nie wpadłam w żadną pętlę czasu. Nie wylądowałam w szesnastym wieku.

Drżąc i walcząc z zadyszka, przywołałam w pamięci ostatnie chwile, jakie spędziłam na Manhattanie. Stojąc przy bocznym wyjściu z teatru, przeznaczonym dla aktorów, mówiłam Troyowi, że wolałabym być gdzie indziej. Troy zauważył, że mój strój pasowałby do Werony, i dodał, że Weronia jest fajnym miejscem. A potem stłukła się fiołka z popiołem i ten popiół...

To jedna z tych właśnie fiolek. A jeśli te popioły pochodzą z pióra, którym Szekspir napisał Hamleta, Wieczór Trzech Króli albo Romea i Julię, bądź pewny, że odmienią one twój los - głosił bilecik dołączony do amuletu.

Amulet?

Nie, nie jestem głupia. To prawda, że sporo czasu minęło, zanim skojarzyłam fakty, ale spróbujcie postawić się na moim miejscu. Przecież nie miałam bladego pojęcia, co się dzieje. Jak miałam się domyślić?

To było trochę jak w tym filmie, w którym para nastolatków została wciągnięta w czarno-biały świat starego telewizyjnego widowiska. Kto przy zdrowych zmysłach wpadłby na taki pomysł? A jednak stałam na gościńcu w moich renesansowych pantoflach na drewnianej podeszwie, z głową nieco przechyloną z powodu ciężkiej, wymyślnej fryzury, z bijącym sercem, z siniakiem na udzie od złoczonej głowy węża i krwawiącą ręką, skaleczoną o kamienny bruk. Znalazłam się w świecie Romea i Julii.

W ich fikcyjnym świecie. To mi się nie mieściło w głowie, że można przenieść się ze świata realnego w sam środek fikcji. Po prostu nie do wiary. To magia. Po prostu jakieś staromodne czary.

Ta historia była oparta na motywach z *Romea i Julii*. Ale nie do końca naśladowała sztukę Szekspira. Na przykład nikt tu nie mówił językiem z czasów elżbietańskich. Wszyscy, których spotkałam, wyrażali się raczej tak jak ja i jak ludzie z mojego otoczenia, a nie jak postacie Szekspira. I fabuła jednak kręciła się wokół mnie.

Naraz przypomniałam sobie Księcia Werony. Gdy tylko przybyłam do tego świata, wygłosił mowę na głównym placu miasta, mniej więcej taką, od jakiej zaczyna się sztuka Szekspira. Wkrótce po tej mowie Romeo powinien pojawić się na placu i żalić się przyjacielom na chłód Rozaliny. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Spotkałam go na polu, pod wierzbą. Rozmawiając z nim, zmieniłam bieg wypadków. Konspirowałam z Julią, tańczyłam z Benwoliem, awanturowałam się z panią Kapuleti. Dlatego cała historia wzięła inny obrót. Więc to z mojego powodu było inaczej niż w oryginale? Amulet spełnił moje życzenie, wysłał mnie, tak jak chciałam, daleko od teatru Wallingford. Więc to, w czym uczestniczę, to moja własna historia, a nie tragedia Szekspira?

Wilgotne nocne powietrze przenikało przez moje odzienie. Pomyślałam o czymś zupełnie innym, co było równie ważne. Jak się stąd wydostanę? I jak przetrwam do czasu, kiedy mi się to uda? Gdzie spędzę tę noc? Co się ze mną stanie, jeśli znów wejdem w drogę pani Kapuleti? I czy ojciec Julii naprawdę spuści jej łanie?

-Mówiłem ci już. Nie obchodzi mnie żadna inna. Żadna nie zajmie w moim sercu miejsca Rozaliny - doleciał do mnie z oddali głos Romea.

- To tylko dlatego, że na żadną inną nie chcesz spojrzeć. Przesiedziałeś cały wieczór w ogrodzie.

Romeo przechadzał się z Benwoliem. Może zechcą mi pomóc? Oprócz nich nie miałam tu nikogo, na kogo mogłabym liczyć.

- Głowa do góry - powiedział Benwolio. - Może zaśpiewamy sobie tę piosneczkę, którą dzisiaj usłyszeliśmy? Ona rozproszy twój smutek.

I nie zwalniając kroku, Benwolio zaintonował refren, który dobrze znałam.

- Dziewczyno, oooo, oooo, oooo, dziewczyno!

- Poczekajcie! - krzyknęłam, puszczając się biegiem za nimi.

Święty Franciszku!

Cóż to za przemiana!

(Romeo i Julia, akt II, scena 3)

- Gdzieście słyszeli tę piosenkę? - spytałam.

- Mimi? - Benwolio wzniosł nad głową ogarek świecy. - Mimi, znowu cię widzę poza pałacem Kapuletich. Co tu robisz?

Opuścił ogarek i łagodnie dotknął mojej zranionej dłoni.

- Krwawisz. Co się stało?

Romeo zbliżył się i dotknął mojego policzka.

- Płakałaś, panno Mimi z Mankatanu - szepnął. - Spotkało cię coś złego? Dlaczego jesteś nieszczęśliwa?

Na dźwięk jego miękkiego głosu moje łzy popłynęły na nowo. Zaczęłam beczeć w najbardziej zawstydzający sposób.

Usiłowałam coś im tłumaczyć, ale wśród szlochu i pociągania nosem nie byłam w stanie wykrztusić zdania. Sama nie wiem, co w tamtej chwili było dla mnie najgorsze - to, że znalazłam się w alternatywnej rzeczywistości, czy to, że pani Kapuleti mnie sponiewierała. Ale przy nich, choć należeli do rodu Montekich, poczułam się bezpiecznie.

- Powoli - powiedział Romeo. - Chciałaś powiedzieć, że wypędzono cię z pałacu Kapuletich?

- 1 z Werony - dodałam, wycierając nos rękawem.
- Kto cię wypędził? - spytał Benwolio.
- Pani Kapuleti. Ściszył głos.
- Powtórz nam, co mówiła. Dosłownie. Wzięłam oddech.
- „Natychmiast” - powiedziała. - „Masz natychmiast opuścić Weronę, a jeśli tego nie zrobisz, każę cię zabić”.
- Benwolio znowu podniósł ogarek i rozejrzał się.
- Skoro tak, to musisz niezwłocznie wracać do domu.
- Tak - zgodził się Romeo. - Niezwłocznie.
- Do domu? Nie wiem, jak się tam dostać - powiedziałam i znowu się rozszlochałam. - Nie mam już tych popiołów.
- I przypomniałam sobie o piosence Troya.
- Co to za piosenka, ta, którą śpiewaliście? „Oooo, dziewczyno, oooo, oooo, dziewczyno”? Gdzieście ją słyszeli?
- Spotkałem dziś rano na placu takiego chłopaka -powiedział Benwolio. - Szarpał się z nim gwardzista Kapuletich. Nosił barwy Montekich, więc stanąłem po jego stronie.
- Naprawdę? - spytałam. - Nic mu się nie stało?
- Jest ranny, ale żyje. Zaprowadziłem go do ojca Laurentego, żeby opatrzył ranę. Ojciec Laurenty dał mu zioła, które uśmierzyły ból i przyniosły senność. Kiedy zaglądałem tam ostatnio, ranny jeszcze się nie obudził. Przez sen śpiewał tę piosenkę, w kółko i na okrągło. Znasz go? Należy do rodu Montekich?
- Tak - powiedziałam, ledwie mogąc w to wszystko uwierzyć. Więc Troy też się znalazł w alternatywnej rzeczy-

wistości! To on zawołał mnie po imieniu na placu! - Tak. Należy do rodu Montekich. Do gałęzi żyjącej na Manhattanie.

- Podróżowaliście razem? - spytał Benwolio. - Kochasz go?

- Nie, nic podobnego. Nie wiem nawet, kiedy tu przybył i w jaki sposób.

- A więc przyjechał tu w ślad za tobą. Kocha cię?

- Bez wątpienia - powiedział Romeo.

- Nie, nie kocha mnie. Mnóstwo dziewczyn kręci się wokół niego. Jesteśmy tylko znajomymi.

A więc jest tu Troy! Mój umysł nie mógł się już zatrzymać. Może Troy będzie wiedział, jak się stąd wydostać? Postanowiłam rozmówić się z nim czym prędzej.

Usłyszeliśmy zbliżające się kroki i ukryliśmy się. Zdmuchnąwszy płomyk, Benwolio położył dłoń na moich ustach.

- Nie ruszaj się - szepnął mi do ucha. W pobliżu przemaszerowało pięciu gwardzistów. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy ostatni z nich zniknął nam z oczu. Poprawiłam swoją skomplikowaną fryzurę, która opadała mi na czoło.

- Ta fryzura będzie zwracać uwagę - powiedział Benwolio. - Jeśli masz pozostać w tym mieście, powinnaś raczej wtopić się w tłum.

W bladym świetle księżycy zaczął rozplatać mi włosy. Wyciągał z nich wstążki i spinki i rzucał je na ziemię. Romeo obserwował wylot ulicy, podczas gdy Benwolio wyjmował z moich włosów konstrukcję z deszczułek. Co za ulga! Przeczesał palcami rozpuszczone włosy. Wiecie, jakie to przyjemne, kiedy ktoś przeczesuje wam włosy palcami? Mogłabym tak stać w nieskończoność, rozkoszując się aksamitnym dotknięciem palców Benwolia.

- Musimy znaleźć dla ciebie bezpieczne miejsce. Chyba rozumiesz, że to konieczne?

- Tak - powiedziałam.

Poszłam razem z nimi ulicą, w którą skręcili. Byłam coraz dalej od pałacu i od tej strasznej kobiety, ale również coraz dalej od Julii. Od biednej Julii, zamkniętej na klucz w swoim pokoju.

-Zaprowadzimy cię do ojca Laurentego. On ci opatrzy rękę i znajdzie dla ciebie schronienie. No i spotkasz u niego tego swojego *znajomego*.

Wyczułam nutę zazdrości w jego głosie. Gdybym wtedy miała więcej doświadczenia, ten ton zazdrości musiałby mnie zdziwić. Zauważyłabym, że w naszej znajomości było jeszcze o wiele za wcześnie na zazdrość. Ale kiedy mamy co do mężczyzn zerowe doświadczenie, nie wiemy, po czym poznać, że mężczyzna jest zaborczy. Benwolio dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

Księżyc w pełni wisiał nad dachami. Droga okazała się długa, jeśli nie z powodu odległości, to dlatego, że Romeo poruszał się z energią godną nieboszczyka. Zanim doszliśmy na miejsce, westchnął chyba ze sto razy. Jego przygnębienie sprawiło, że zaczęłam ziewać. Miałam dość czasu, żeby zastanowić się nad swoją sytuacją, ale Romeo wciąż mi w tym przeszkadzał.

- Czemu mnie nie kocha? Nie mogę bez niej żyć! O, jak przygniata mnie ten smutek! - jęczał, bijąc się w piersi.

Naprawdę starałam się go nie osądzać. Przypomniałam sobie cytat: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”. Inni ludzie osądzali mnie bez przerwy. Na przykład Clarissa, której wydawało się, że niczego mi w życiu nie brakuje. Każdy człowiek ma prawo czuć się nieszczęśliwy

i cierpieć w spokoju, nie wysłuchując komentarzy, w których ktoś z niego robi rozpuszczone dziecko. Nikt nie chce, żeby bez przerwy trąbić mu do ucha, jakie cudowne jest jego życie i że wszyscy wokół mu zazdroszczą. Szczęście nie jest takie samo dla wszystkich. Więc nie miałam prawa osądzać Romea. Jeśli chciał żyć z energią nieboszczyka, proszę bardzo. Ale od małych żalów prosta droga do wielkich. Powinnam o tym wiedzieć. Byłam przecież królową małych żalów.

- O ja nieszczęśliwy... - westchnął znowu.

Możecie pomyśleć, że nie miałam dla niego współczucia. Pewnie niektórzy z was widzieli go przedtem w zupełnie innym świetle. Ale jeśli przeczytacie uważnie treść sztuki, przekonacie się, że był skończonym smutasem. Taka jest prawda. I patrzył na swoją sytuację w sposób o wiele bardziej melodramatyczny, niż na to zasługiwała. Romeo cierpi z powodu Rozaliny, nie może bez niej żyć, lecz jeszcze tego samego wieczoru zakochuje się w Julii, i oczywiście nie może bez niej żyć. Ale epizod z cebulą zmienił fabułę. Choć Romeo pozostał ze złamanym sercem, trzy cebule ze szczypiozem uratowały mu życie. Nie poznał Julii i nie groziło mu samobójstwo. I to właśnie mnie zawdzięczał ocalenie. Gdybym tylko umiała jeszcze ocalić samą siebie. Bo przecież nie chciałam pozostać do końca życia w tej szesnastowiecznej historii. A już na pewno nie chciałam pozostać tam, mając na karku tę szaloną panią Kapuleti.

Weszliśmy na stopnie starego kamiennego kościoła.

- Zabieraj te wstrętne pijawki! - usłyszałam znajomy głos z jakiegoś okna z boku, na piętrze. W kościele Romeo i Benwollio zanurzyli palce w misie ze święconą wodą

i zwyczajem katolickim uczynili znak krzyża. Kościół prezentował się dość skromnie jak na renesansowe standardy. Na ołtarz, na którym płonęły ogarki świec, spoglądała marmurowa figura Świętego Franciszka. O tej porze nie było żywej duszy. Weszliśmy na piętro po wąskich schodkach od strony zakrystii. Było ciemno, więc trzymałam się blisko Benwolia. W chłodnym i wilgotnym wnętrzu czułam ciepło jego ciała. Kiedy się potknęłam, złapał mnie za rękę. Dłoń miał szorstką i silną. Przypomniłam mi się ten ciepły, szorstki dotyk, który poczułam już wtedy, na balu w pałacu Kapuletich. To zastanawiające, jak dokładnie zapamiętujemy podobne wrażenia.

- Mówiłem już, żadnych pijawek!

Nagle przeciąg otworzył jakieś drzwi i padło na nas światło lampy. Chciałam tam pobiec, ale przytrzymał mnie Benwolio.

- To właśnie jest ten twój znajomy? - szepnął, a jego aksamitny oddech łaskotał mnie w kark. Spojrzałam zza jego pleców. W pokoju zobaczyłam pryczę, na której leżał Troy. Na jego widok poczułam dziką, niewytłumaczalną radość. Choć przez ostatnie miesiące unikałam go ze wszystkich sił, choć usiłowałam przekonać samą siebie, że go nie znoszę, w tamtej chwili chciałam podbiec do niego i objąć go za opaloną szyję. Bo dzięki jego obecności nie byłam już sama w tym dziwnym miejscu i czasie. Benwolio mnie przytrzymał.

-Poczekaj - szepnął. - Nie przeszkadzajmy mnichowi.

Ojciec Laurenty stał nad Troyem z miską i szczypczykami. Masywny srebrny krzyż kołysał się na jego szyi, rzucając błyski światła na twarz Troya.

- Muszę powtórzyć ten zabieg - powiedział stanowczo, ale łagodnie, tak jak się mówi do dziecka. - Do tej rany trzeba przykładać pijawki w regularnych odstępach czasu.

Troy podniósł głowę z brudnej poduszki.

- Nie ma mowy. Dotknij mnie tylko, a oddam sprawę do sądu.

- Mój synu, nie ma czego tak się bać. Pijawki są potrzebne, żeby oczyścić ranę.

Mnich podrapał się szczypczykami w ogromne ucho. Kiedyś czytałam, że uszy rosną ludziom przez całe życie. Ale uszy mnicha urosły jakoś wyjątkowo.

-Bać się? Jestem wkurzony! Rozumiesz? Totalnie wkurzony! Zabieraj te pijawki, nie chcę ich więcej widzieć.

Ale mnich nie dał się łatwo zbić z tropu.

-Ślubowałem Bogu, że będę leczył chorych. A Bóg w swojej mądrości postawił mnie na twojej drodze.

-Moje ubezpieczenie nie obejmuje takich procedur. Nie ma w nim ani słowa o mnichach i pijawkach - Troy usiadł na pryczy, opuszczając nogi na podłogę. Lewe udo było sine i przewiązane kawałkiem tkaniny nad kolanem. Tkanina była przesiąknięta krwią. - Kiedy mój agent dowie się, że zamiast wyprawić do szpitala, przetrzymujecie mnie w tej norze, z miejsca dobierze się do waszych tyłków i wtedy dopiero okaże się, kto tu powinien się... *bać!*

Mnich potrząsnął głową.

- Mój synu, gniew odbiera ci rozsądek - postawił miskę z pijawkami na nocnym stoliku. - Ale masz prawo nie zgodzić się na moją metodę leczenia. Jeśli nie życzysz sobie pijawek, zrezygnujemy z nich.

I pociągnął łyk z niebieskiego dzbanka.

- Doskonale. Więc je stąd *zabierz* - powiedział Troy, drapiąc się w głowę. - Skąd ja się tu w ogóle wziąłem? Co za kretyn mnie tu przyprowadził?

Cofnęłam się o krok, żeby skryć się w ciemnościach korytarza. Bo przecież zawinił popiół z mojej fiolki.

- Moim zdaniem to niebezpieczny człowiek - szepnął Romeo.

-Zgadzasz się z tobą - Benwolio poprawił szpadę u boku. - Zostań tu, Mimi, sam się z nim rozmówię. Wszedł do izby, a za nim Romeo.

- Widzę, że już się obudziłeś.

Troy zerwał się na równe nogi lub raczej na tę nogę, która nie ucierpiała. Widząc ich obu razem, zauważyłam, że spotkały się przeciwieństwa. Benwolio wyglądał jak wojownik zimy, ciemny jak noc i spokojny jak morze o świcie. Troy, złoty księżę lata, był ruchliwy jak kalifornijski wiatr, który unosi surferów na falach. Mierzyli się nawzajem nienawistnym spojrzeniem.

- Kim jesteś? - spytał Troy.

- Jestem Benwolio Monteki. A to Romeo Monteki, mój młody kuzyn.

Troy skrzywił się.

- Ludzie! Jesteście fanami Szekspira? Jak ci wariaci od *Gwiezdnych wojen*, co przebierają się za Kłingonów? A ten udaje szesnastowiecznego mnicha?

- To o nim ci mówiłem - powiedział mnich, wskazując Benwolia. - Znalazł cię rannego i przyniósł tutaj.

- Naprawdę? A czemu nie do szpitala? I co to za przebieranka?

-Przyniosłem cię tutaj, bo nosiłeś barwy Montekich - wyjaśnił Benwolio, opierając dłonie na szczupłych bio-

drach. - I zostałeś zraniony przez gwardzistę Kapuletich. Gdybym zostawił cię tam, gdzie leżałeś, ludzie Kapuletich wróciliby za chwilę, żeby cię posiekać na drobne kawałeczki.

Romeo tylko skłonił się przed Troyem, po czym oparł się plecami o ścianę i westchnął. Troy skrzywił się.

- Ludzie Kapuletich? Barwy Montekich? Co to wszystko znaczy? Jesteśmy w ukrytej kamerze, tak? Robicie mnie w bambuko? - nagle jęknął i usiadł na pryczy. - Ta cholerna noga doprowadza mnie do rozpacz.

Skrzywił się i zdjął bandaż.

-Odniosłeś ranę, mój synu, stąd ból - powiedział mnich.

Wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć, na co Troy tak się gapi. Jego rana ciągnęła się od kolana aż po biodro. Sterczały z niej czarne szwy jak z ciała potwora Frankensteina. Złote pukle opadły Troyowi na płonące z gniewu oczy.

- Coście mi zrobili? Jutro miałem kręcić wideoklipa na plaży! Jak ja mam teraz włożyć szorty? I co to w ogóle za bandaż! - pomachał kawałkiem tkaniny. - Wygląda jak stara ścierka! Mogę od tego dostać gangreny!

Nagle oklapł.

- Czego ode mnie chcecie?

- Jak to: czego chcemy? - powtórzył mnich. Romeo przysunął się do okna i spojrzał w ciemność.

- O ja nieszczęśliwy! - jęknął.

- Mój synu - odezwał się do niego mnich. - Powiedz mi, co cię gnębi.

-Jest nieszczęśliwie zakochany - wyjaśnił za niego Benwollio i nie pytając, pociągnął łyk z niebieskiego dzban-

ka. - Głowa mnie rozbolała od tych jego ciągłych narzekań z powodu Rozaliny. Założyłbym się, że Mimi też nie może już tego słuchać.

- Mimi? - powtórzył Troy, rzucając bandaż na podłogę. Wzięłam głębszy oddech i weszłam do izby.

Chociaż to wariacja
nie jest jednakże bez metody!
(*Hamlet, akt II, scena 2*)

-Mimi! Co ci się stało? Jesteś wysmarowana jakąś białą papką! - zawołał Troy i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Benwolia. - Co wy wyprawiacie! Nie mieliście prawa jej tu ściągnąć. Słuchaj, mój prawnik wypłaci wam taki okup, jakiego tylko zażądacie, ale macie ją natychmiast wypuścić!

Widocznie myślał, że zostałam porwana.

- Słuchaj, Troy... - zaczęłam.

Pokuśtykał w moją stronę, krzywiąc się z bólu przy każdym kroku, i szorstko złapał mnie za ramię.

- Przy nich ani słowa - szepnął. - Ci faceci uciekli chyba z psychiatryka. Popatrz tylko na nich. Poprzebierali się w renesansowe kostiumy znanych nam cymbałów ze sztuki Szekspira, a ten, co udaje mnicha, jest święcie przekonany że mamy rok 1594.1 w dodatku zranili mnie w nogę. Widać gołym okiem, że są do wszystkiego zdolni, więc pozwól mi to załatwić samemu.

Oczywiście użył protekcyjnego tonu, który nieraz już słyszałam z jego ust.

No, pięknie - pomyślałam. - Jeśli tak, to radź sobie sam i do woli rób z siebie głupka.

Mnie też bolały nogi, ledwo żyłam. Usiadłam na stołku i zrzuciłam pantofle na drewnianych podszewkach.

- Ile chcecie? - spytał Troy.

- Co prawda, nie rozumiem twojego pytania, ale ton rozumiem doskonale, mój panie, i wiem, że jest obraźliwy - Benwolio powolnym, groźnym ruchem położył dłoń na rękojęści szpady. Romeo tymczasem przykleił nos do szyby i spoglądał w noc.

Troy podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Uspokój się, nie chciałem cię obrazić. Spróbuję jeszcze raz od początku. Czego ode mnie oczekujecie?

-Wdzięczności za ocalenie życia. To w zupełności wystarczy.

- Za ocalenie życia? Ach, tak, mówisz o tym gwardziście Kapuletich. Jasne - głos Troya aż ociekał ironią. - Jasne. Pięknie dziękuję.

- Troy, musimy porozmawiać - powiedziałam. Gdybym mogła choćby na chwilę zostać z nim sama, zdołałabym wszystko mu wytłumaczyć. - Ja wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Machnął na mnie ręką, żebym siedziała cicho, jakby uważał, że robię tylko niepotrzebny zamęt, który przeszkadza mu zebrać myśli.

- Więc mówisz, że nazywasz się...

- Benwolio Monteki.

-Tak, właśnie. Słuchaj, Benwolio, wyjdziemy stąd i wezwiemy taksówkę. Mój agent ma biuro w Nowym Jorku. Pojedziemy tam i wypiszę ci czek... - uśmiechnął się, zadowolony ze swojego sprytnego pomysłu. - No to jak? Idziemy?

Benwolio uniósł brew.

- Zaczynam sądzić, że jesteś niespełna rozumu. Usadowił się na parapecie obok Romea, a jego długie łydki zaczęły kołysać się jak metronom.

- Rozalino... - szeptał Romeo.

Przeszłam bosą po surowych deskach podłogi i stanęłam przy Troyu, odwrócona tyłem do tamtych.

- Pamiętasz, jak wyrwałam ci z rąk naszyjnik, a potem otworzyłam drzwi i znaleźliśmy się w chmurze popiołu? - odezwałam się z takim spokojem, na jaki tylko mogłam się zdobyć. - Pamiętasz, jak powiedziałam, że chcę być gdzieś indziej, a ty stwierdziłeś, że Werona podobno jest przyjemnym miejscem?

Troy zmarszczył brwi.

- I tak się właśnie stało - ciągnęłam dalej. - Nie zostaliśmy porwani. Przyniósł nas tutaj mój szekspirowski amulet. To coś w rodzaju czarów.

- To bardzo ciekawe - powiedział mnich, który nadstawiał swoich wielkich uszu, żeby usłyszeć to, co nie dla niego było przeznaczone. - Amulet? Powiedz mi, czy to nie ciebie spotkałem dziś rano na placu?

- Tak - potwierdziłam.

- Ale o czym on w ogóle mówi? - spytał Troy. - Co to znaczy, że cię spotkał? Nie pamiętam żadnego popiołu!

- Nie pamiętasz popiołu? To niemożliwe. Przecież zaczęliśmy kaszleć i dusić się!

- Obawiam się, mój synu, że doznajesz ubocznego działania ziół, które ci dałem na uśmierzenie bólu - wyjaśnił mnich, wciskając między nas swoją okrągłą postać. - Zioła zrobiły swoje i uspiły cię na tyle, że mogłem założyć szwy na twoją ranę. Przez pewien czas pamięć może szwankować, ale potem wróci.

- Dałeś mi jakieś dragi? - Troy otworzył szeroko oczy. - DRAGI?

- Przepraszam - szepnęłam do mnicha i pociągnęłam rozwścieczonego Troya w kąć izby. - Wysłuchaj mnie.

Ale Troy nie chciał słuchać.

-Ten facet to szaleniec. Sadystyczny rzeźnik. Widziałaś moje udo? Powinienem czym prędzej znaleźć się w szpitalu. - Odwrócił się w stronę naszych domniemanych porywaczy. - Człowieku, powiedz swoją cenę i pozwól nam wyjść!

- Nie mamy swojej ceny, mój synu - odparł mnich. -Odejdź, jeśli taka jest twoja wola.

Ojciec Laurenty wskazał głową otwarte drzwi i pociągnął z niebieskiego dzbanka.

Troy zdumiał się. Pochwycił mnie za rękę i zaczął kuśtykać tak szybko, jak mógł, to znaczy raczej powoli.

- Poczekaj! - powiedziałam. - Dalej nic nie rozumiesz. Oni nie trzymają nas dla okupu.

- Idziemy! - popędzał mnie.

-Mimi! - zawołał Benwolio, zeskakując z parapetu. Uwolniłam dłoń z uchwytu Troya i popatrzyłam w jego oczy, gorące jak kawa espresso. - Odchodzisz razem z nim? Wracacie do Mankatanu?

- Mimi, na co jeszcze czekasz! - krzyknął Troy. Jego głos aż drżał ze zniecierpliwienia.

Czy wracam? Nie umiałabym odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiedziałam nawet, czy na pewno chcę wrócić do Reginalda Dwilla i jego nagrania DVD. Do Instytutu Teatralnego, na te najlepsze na świecie studia aktorskie. Do korepetytorów, do niskokalorycznej żywności w pojemnikach z woskowanego papieru i do tego kota z prze-

ciwległej kamienicy, który spędzał dnie i noce na parapecie, tęskniąc za innym życiem.

Benwolio tymczasem sprawiał takie wrażenie, jakby już zaczynał tęsknić - za mną. Wziął mnie za rękę i przycisnął je do swojej piersi, tam gdzie biło serce. Oklepane, wiem, ale mimo to poczułam, że coś we mnie mięknie.

- Wyjeżdżacie niebawem?

- Mimi! - zawołał Troy, który stał już w drzwiach. Benwolio znowu pocałował ranę na mojej dłoni. Pamiętałam, że poprzedni pocałunek powstrzymał krwawienie.

Jakie by to było uczucie, całować się z mężczyzną żyjącym w szesnastym wieku? Ale nie miałam na myśli tego scenicznego pocałunku z zaciśniętymi ustami, który oboje z Troyem znaleźliśmy aż za dobrze, tylko zupełnie inny, taki, za którym tęskniłam od dawna. Za pocałunkiem, od którego można niemal stracić przytomność. Za pocałunkiem, który nie zostawia już miejsca na oddech. Czy Benwolio będzie ssał moją dolną wargę? Czy jego język będzie miał smak zawartości niebieskiego dzbanka? Na moment zapomniałam nawet o groźbach pani Kapuleti.

Nie chcę wracać - pomyślałam. - Chcę zostać tu z tobą jako pani Monteki. Chcę chodzić na szesnastowieczne przyjęcia i spać obok ciebie, rozebranego, i nigdy więcej nie wychodzić na scenę.

- Mimi! Oszalałaś? Rusz się wreszcie!

Benwolio puścił moje ręce i obrócił się szybko w stronę drzwi.

- Nie waż się odzywać do niej w taki sposób! - powiedziawszy to, uderzył Troya w szczękę. Troy zatoczył się i upadł w ciemnym korytarzu.

- Przestań! - wrzasnęłam, wyrwana nagle z miłosnego transu. Benwolio odsunął się, a ja pomogłam Troyowi wstać.

-Muszę się z nim rozmówić na osobności - powiedziałam do Benwolia. - Zaraz wracam.

- Weź świecę, moje dziecko - odezwał się mnich, podając mi ją. - I włóż buty. Wszędzie tu pełno szcurzych odchodów.

Włożyłam pantofle na drewnianej podszwie. Podnosząc wysoko świecę, poprowadziłam Troya po stromych, kręconych schodkach. Idąc, gadał od rzeczy. Rzucił urywane zdania, jakby wypił za dużo kawy.

- Padło ci na ten cholerny mózg, że trzymasz z nimi? Tobie też dali jakieś dragi? Pozwoliłaś się ogłupić tymi ich kostiumami? Poprzebierali się tak, żeby łatwiej się dostać za kulisy! Ale jakim trzeba być zakreconym popaprańcem, żeby wpaść na taki pomysł! Ten grubas przykładał mi pijawki. Pijawki! Złapiemy taksówkę i pojedziemy prosto na policję.

Byliśmy już na dole, właśnie mijaliśmy ołtarz.

-Jak możesz pozwalać, żeby ten typek startował do ciebie z łapskami! Chyba nie należysz do tych idiotek, co zakochują się w porywaczach? Oni mnie dźgnęli jakimś nożem, Mimi! Dźgnęli mnie nożem! I możesz być pewna, że tobie też nie darują, choć nie użyją noża, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Nie miałam zamiaru się z nim kłócić. Wiedziałam, że nie uwierzy w ani jedno moje słowo, dopóki nie zobaczy tego miasta na własne oczy. Zresztą wiedziałam, ile czasu zajęło mi zorientowanie się w sytuacji - a przecież nie

jestem głupia jak but. Popchnęłam ciężkie drzwi kościoła i wyszliśmy w ciemność.

Kurka wodna! Za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Księżyc skrył się za grubą warstwą chmur.

-Zapach jak w oczyszczalni ścieków - powiedział z odrazą Troy, gdy tylko zeskoczył ze stopni przed wejściem do kościoła. - Co to za dzielnica? Myślałam, że trochę już znam Nowy Jork. Rozejrzyjmy się za podświetlonym planem okolicy, musi przecież gdzieś tu być.

Nie widziałam dalej niż na kilkanaście metrów. Nie odpowiedziałam Troyowi, i tak by mi nie uwierzył. A póki nie przestaną działać zioła uśmierzające ból, nie przypomni sobie stłuczonej fiołki i popiołu.

- Czemu tu nie ma oświetlenia ulicznego? Bez oświetlenia żaden taksówkarz nas nie zauważy! Nie widzę też tabliczek z nazwą ulicy. - Wyjął świecę z moich rąk. - Dalej nic nie widzę!

Opuścił świecę na wysokość kolan. -Nie ma bruku, tylko brudna bita droga. Wywieźli nas z miasta.

Nie kusił mnie pomysł, żeby spacerować nocą po tych ulicach. Gdyby natknęli się na nas ludzie Kapuletich, będę miała kłopoty.

- Troy, wracajmy. Wyjdziemy, kiedy słońce wzejdzie.

- Słuchaj, widzę, że nie rozumiesz powagi sytuacji. -Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał świecę, i ruszył wzdłuż ulicy. - To nie są żarty. Nie pomieszało nam się w głowach i nie śnimy. Te łobuzy pokazały, że są do wszystkiego zdolne. Dźgnęły mnie nożem w udo! A może być jeszcze gorzej. Więc znajdziemy szybko jakąś budkę telefoniczną.

- Nie mogę chodzić po tych ulicach, Troy.

- Dlaczego? - zatrzymał się i mimo że w ciemnościach nie widziałam wyraźnie jego twarzy, czułam na sobie jego płonący wzrok. - Tak cię ciągnie do ukochanego? On chce cię skrzywdzić, Mimi. Wbij to sobie do upartego łba. On chce cię skrzywdzić!

Znowu ruszył przed siebie, a płomyk świecy kładł się przy każdym jego kroku.

- Myślę, że ten gaz, którego użyli, żeby nas unieszkodliwić, jeszcze nie wywietrzał ci z głowy. Idziemy.

- Nie mogę. Wracam. Dla mnie bezpieczniej jest w kościele.

- Dobra, jak chcesz, to wracaj!

Płomyk świecy oddalał się i był coraz mniejszy, a potem zniknął za rogiem. Troy zostawił mnie samą.

Coś przebiegło mi po butach. Pani Kapuleti wspominała o zarazie. Czy szczury roznoszą dżumę? Zostać rannym w udo albo spoliczkowanym - to się mogło zdarzyć nawet w filmie Disneya. Drobiazg w porównaniu ze śmiertelną chorobą. Popędziłam w ślad za Troyem. Zatrzymał się akurat, więc na niego wpadłam.

Pojawiły się pierwsze odblaski porannej zorzy. Patrzyliśmy oboje, jak światło przenika przez parterowe okna i pada na śpiące prosięta, na parujący gnój. Jak w dobrze przygotowanym przedstawieniu, po dziesiątkach prób, natura budziła miasto do życia. Okna otwierały się, czyjeś ręce wyrzucały na ulicę wiadra odpadków i opróżniały nocniki, celując do rynsztoków. Otwierały się drzwi i sklepikarze rozpoczynali handel. Troy patrzył na to z otwartymi ustami. Zamurowało go i wyglądał jak wiejski głupek. Zadrżałam, bo przypomniał mi się szczur, i tupnęłam parę

razy, żeby pozbyć się z buta zarazków dżumy, jeśli je tam pozostawił.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał Troy.

- Powiem ci, ale musisz obiecać, że nie będziesz mi przerywał, póki nie skończę.

Konia! Konia!

Me królestwo za konia!

(Ryszard III, akt V, scena 4)

Pokuśtykaliśmy do piekarni. Zapach świeżego chleba mieszał się ze smrodem najbliższego rynsztoka. Tam zatrzymaliśmy się, a świat, który przecież nie był nam obcy, tylko nie mogliśmy go rozpoznać, toczył się dalej swoją drogą.

Wy tłumaczyłam Troyowi wszystko, jak umiałam najlepiej. I mimo że w każdej chwili mogliśmy natknąć się na gwardzistów, niczego nie pominęłam. Prawda nie może się obejść bez szczegółów, więc musiałam opowiedzieć mu nawet o liście od ciotki Mary, w którym leżał naszyjnik. Troy słuchał uważnie, odwrócony plecami do ulicy, jakby chciał odciąć się od wszystkiego, co przeszkadzało mu w skupieniu. Kiedy mówiłam mu o chmurze popiołu, o kobiecie na ulicy przed teatrem, o pierwszym spotkaniu z ojcem Laurentym, nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Powiedziałam mu o chłopcu, który pasł kozy, o tym, że spotkałam Romea, o nieszczęściu Julii i okropnym charakterze pani Kapuleti.

-I przez cały czas byłam pewna, że to sen. Ale to nie sen - powiedziałam. - To wszystko działo się naprawdę. -Troy nie odezwał się ani słowem. - To jakieś czary, Troy.

Ten popiół przeniósł nas do sztuki Szekspira. Ale kiedy już w niej jesteśmy, możemy wpływać na bieg zdarzeń.

Przed piekarnią stał konny wóz, a obok niego stos drewnianych skrzynek. Troy wziął pierwszą z brzegu i usiadł na niej, podkurczając zdrową nogę. Usiadłam obok niego i oparłam głowę o ścianę piekarni. Jeśli nie liczyć króciutkiej drzemki w fotelu piastunki Marty, nie zmrużyłam oka od nocy poprzedzającej ostatnie przedstawienie. Ale i wtedy nie spałam zbyt dobrze, bo właśnie tamtego wieczoru odkryłam, że matka mnie okradła. Była wtedy sobota. Więc jeśli nie pomyliłam się w obliczeniach, mieliśmy już poniedziałek. Nic dziwnego, że oczy same mi się zamykały. Opanował mnie atak niepohamowanego ziewania z szeroko rozdziawionymi ustami. Ziewałam i ziewałam, raz za razem, nie mogłam przestać.

- Szkoda - powiedział Troy - że nie pamiętam tego naszyjnika. Cholerny mnich i jego zioła!

- Mnich chciał ci pomóc - powiedziałam i ziewnęłam znowu.

- Do diabła z nim. Muszę się napić kawy. Nie widziałaś tu gdzieś Starbucksa?

Chyba nic jeszcze do niego nie dotarło.

- Troy, mamy rok 1594, nie pamiętasz? Sieć Starbucksa nie istnieje. Nie wiem nawet, czy znają już kawę.

- No to wspaniale - jęknął. - Ładna historia!

- Podaj mi chleb - usłyszałam znajomy głos. Stłumiłam kolejne ziewnięcie i wyciągnęłam szyję, żeby wyjrzeć zza wozu. Tybalt, arogancki kuzyn Julii, napierał na dziewczynę za straganem pełnym pieczywa. Podrzucił w górę miedziaka i wyjął z kosza płaski, brązowy bochenek, zmuszając ją, by łapała pieniądze.

Serce we mnie zadrzało.

-Chodźmy stąd - powiedziałam do Troya. Oczywiście bałam się o własną skórę, bo przecież podczas balu zostałam wypędzona za to, że pomagałam Julii zrealizować jej plan. Ale skóra Troya także była w niebezpieczeństwie. Nosił przecież czarno-pomarańczowe barwy Montekich.

Troy też wyjrzał zza wozu.

- Tego typka jakbym skądś znał.

- Jest bardzo niebezpieczny. Uciekajmy.

Tym razem Troy nie wszczynał dyskusji. Chwyciłam go za ramię tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę, co widocznie uznał za przekonujący argument. Tybalt wyglądał jak sprzedawca urządzeń do domowych siłowni, co także musiało zrobić odpowiednie wrażenie na Troyu. Więc uciekliśmy gdzie pieprz rośnie, gdyby nie to, że stanąwszy na zranionej nodze, Troy potracił stos skrzynek, który rozsypał się z hałasem. Zanim zdążyłam się schować, Tybalt się odwrócił.

- To znowu ty? - zawołał.

Chwyciłam Troya za rękę i pociągnęłam go za sobą. Biegliśmy, oddalając się od kościoła. Ale co mieliśmy robić, kiedy drogę w stronę kościoła odciął nam Tybalt? Troy, choć kulał, radził sobie nie najgorzej.

- To ty! - krzyknął znowu Tybalt. Zanim skręciliśmy w szerszą ulicę, obejrzałam się. Tybalt pozbył się chleba i dobył szpady. Szykował się do walki. A złocony wąż razem z nim.

- Znam go na pewno! - wyrzucił z siebie Troy, kiedy skręciliśmy w następną przecznicę. - Ale skąd ja go mogę znać?

-To Tybalt - powiedziałam, drżąc z przerażenia. Gdyby nas dopadł, pozabijałby bez mrugnięcia okiem. Co do tego nie miałam wątpliwości. To znaczy zabiłby Troya, a mnie zawlókł przed oblicze pani Kapuleti, gdzie czekałby mnie seans wyłupywania oczu połączony z łamaniem rąk i nóg. Przez pewien czas kluczyliśmy w wąskich uliczkach, zanim wynurzyliśmy się z nich na głównym placu. Wyglądało na to, że zgubiliśmy Tybalta, więc zatrzymaliśmy się przy fontannie, żeby złapać oddech.

- O, to miejsce pamiętam - powiedziałam. Bo była to ta sama fontanna w kształcie piętrowej patery na ciastka, zwieńczona kobiecą postacią. - Tu się to zaczęło.

Troy wskazał warsztat szewca, z butem wymalowanym na szyldzie.

-Wyszedłem chyba stąd. Tak, pamiętam, jak stąd wychodziłem, tylko nie pamiętam, skąd się tam wzięłem. Może tu jest wyjście. Może to coś w rodzaju tunelu czasu jak w *Gwiezdnych wojnach*...

Nie mieliśmy nic do stracenia, więc weszliśmy do środka. Kiedy udawałam, że chcę zamówić nowe buty, Troy obejrzał ściany warsztatu. Szewc uklęknął, żeby wziąć miarę, a Troy wśliznął się na zaplecze. Powrócił po chwili, kręcąc głową.

-Dziękuję - powiedziałam i znowu włożyłam stare buty. - Jeszcze się zastanowię.

Na placyku Troy opryskał sobie głowę i kark wodą z fontanny. Potem usiedliśmy na krawędzi zbiornika.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było z tym popiołem.

Opowiedziałam mu.

- Więc to był popiół z gęsich piór Szekspira? Hej, kolego! - zawołał do przechodzącego człowieka. - Gdzie tu można kupić gęsie pióra?

- Następne drzwi za szewcem! - rzucił przez ramię zatrzymany i poszedł dalej.

I rzeczywiście tak było. Weszliśmy do sklepu, gdzie powitał nas człowieczek o żółtawej skórze i takich samych zębach.

- Mam świeżą dostawę gęsich piór prosto z Egiptu - powiedział. - Są doskonałe. Widzieliście kiedyś takie pióra?

- A ma pan pióra szekspirowskie? - spytał Troy.

- Szekspirowskie? Nigdy o takich nie słyszałem.

- No, zna pan chyba to nazwisko. Szekspir, dramatopisarz. Ma pan jego pióra?

Przegrana sprawa, pomyślałam. Szekspir jest autorem tej sztuki. Nie występuje w niej jako postać.

- Nie, nie słyszałem o Szekspirze. A może chcecie pióro strusia?

- Są w tym mieście inne sklepy z piórami? - pytał dalej Troy.

Człowieczek spojrzał spod oka.

- Jestem jedynym dostawcą w całej Weronie. Ale jeśli moje pióra nie są dla was wystarczająco dobre, powinniście jechać do Wenecji.

- Dziękujemy - powiedziałam i otworzyłam drzwi. - Wracajmy do mnicha. Tam jest najbezpieczniej.

Wyszliśmy na ulicę i tam od razu zauważył nas Tybalt.

- Stój! - zawołał z przeciwnej strony placu. Znowu zaczęło się polowanie. Popędziliśmy inną niż przedtem ulicą i znaleźliśmy się na nabrzeżu rzeki. Na szerokiej, otwartej

przestrzeni nie było gdzie się ukryć. Z prawej strony nabrzeże zwężało się i droga skręcała pod łuk bramy, a potem z powrotem do miasta. Z lewej dochodziła do mostu. Tybalt pędził za nami, wrzeszcząc.

- Tutaj! - zawołałam, skręcając w prawo. Spodziewałam się, że zrobimy kółko i znajdziemy się znowu przy kościele, gdzie mogliśmy spotkać Romea i Benwolia. I Benwolio, taką miałam nadzieję, dalej będzie mi pomagał. Ale czy zdołam go namówić, żeby pomagał także Troyowi?

Niestety, jak w kostiumowym hollywoodzkim filmie, paru wieśniaków wybrało akurat tę chwilę, żeby przepychać swój wóz przez najwęższą część przejścia. Właśnie mijali łuk bramy, w którym fura ledwo się mieściła, i pech chciał, że utknęła w koleinie. Daję słowo, że naprawdę tak było. Wyhamowałam w ślizgu na tych okropnych drewnianych podszwach, rozejrzałam się, szukając innej drogi, ale z jednej strony mieliśmy jakiś budynek, z drugiej rzekę. Musieliśmy przepuścić furę. Znaleźliśmy się w pułapce.

- Przepraszam, ale nie możemy czekać - odezwałam się błagalnym głosem, dając nura pod wóz.

- Musimy przejść - powiedział Troy. Kiedy przeciskałam się pod wozem, on przełaził górą. Byłam już w połowie drogi, kiedy poczułam gwałtowne szarpnięcie.

- Dokąd to, służko Montekich?

To był Tybalt. Postawił but na rąbku mojej sukni. Zauważyłam, że za pasem miał zatknietą maskę z wczorajszego balu. Pociągnął mnie za rękę i postawił na nogi.

- Ty, tam! Zostaw ją w spokoju! - zawołał Troy, złącząc z wozu.

- Kogóż to ja widzę? - odezwał się do niego Tybalt, kierując na niego nienawistne spojrzenie i szturchając go palcem wskazującym w pierś. - Znowu się spotykamy, Monteki!

Ale o czym on mówił?

Troy podniósł rękę.

- Patrz, nie mam broni. I nie jestem Montekim. Zaszła jakaś pomyłka.

- Nie ma żadnej pomyłki - Tybalt skierował szpadę w moją stronę. - Pani Kapuleti powiedziała mi, że spiknęłaś się z Montekimi. I widzę na własne oczy, że to prawda. Ta suknia nie należy do ciebie. Oddaj ją natychmiast.

- Odeślę ją, kiedy tylko będę mogła - zapewniłam. -Prawdę mówiąc, i tak zamierzałam się przebrać. Jeśli nas puścisz wolno, to na pewno...

- Natychmiast. Oddaj mi ją natychmiast.

- Natychmiast? Jak mam to zrobić? Proszę, zostaw nas w spokoju. To jakieś okropne nieporozumienie.

Wieśniacy w popłochu odsunęli się od swojego wozu. Tybalt pochylił się do przodu i znowu złapał moją suknię, po czym szarpnął i znalazłam się tak blisko niego, że widziałam z bliska jego przekrwione, jak to po imprezie, oczy. - Oddasz ją Wielmożnej Pani i przyjmiesz karę. Jego spojrzenie miało hipnotyczną moc. Nie mogłam odwrócić wzroku i stałam jak przygwożdżona. I właśnie wtedy, kulejąc, podszedł Troy. Niespodziewajacemu się niczego Tybaltowi wymierzył cios w szczękę. Musiał to być całkiem solidny cios, bo Tybalt zatoczył się na ścianę. Ale nie puścił mojej sukni, więc się rozdarła.

- Biją się! - zaczęli krzyczeć wieśniacy i rzucili się do ucieczki, zostawiając wóz na łasce losu. Zanim Tybalt odzyskał równowagę, Troy uderzył go jeszcze raz. Szpada wysunęła się Tybaltowi z rąk, kiedy padał na ziemię.

- Pamiętam cię - powiedział Troy. - To ty mnie zraniłeś. Za kogo ty się w ogóle masz? Nie wiesz, kim jestem?

Tybalt usiadł i otarł krwawiący nos. Jego oczy płonęły nienawiścią. Z warknięciem zerwał się na nogi i całym ciężarem rzucił się na Troya, uderzając go z byka w brzuch. Obydwaj stracili równowagę. Potoczyli się w stronę rzeki i zatrzymali na samym brzegu. Tybalt chciał wskoczyć z powrotem na nabrzeże, ale Troy złapał go za nogę.

- Dlaczego mnie zraniłeś? - wrzasnął. - Nie podobają ci się moje płyty?

Czy człowiek może być naprawdę aż tak głupi? Troy wyobrażał sobie, że cały świat się kręci wokół jego płyt! Nawet w alternatywnej rzeczywistości.

Tybalt szarpnął się, wyrwał nogę z uchwytu Troya i wczołgał się na nabrzeże. Zanim mnie dopadł, zdążyłam zacisnąć palce na rękojeści jego szpady. Ale czy miałam zrobić z niej użytek? Po co się oszukiwać? Nie potrafiłabym zranić człowieka.

- Nie oddawaj mu tego! - krzyczał Troy, gramoląc się na nabrzeże.

Spróbowałam blefu.

- Nie zbliżaj się albo... albo...

Tybalt uśmiechnął się krzywo i odebrał mi szpadę bez wysiłku. Czułam się jak ofiara losu. Ale przecież nikt mnie nigdy nie nauczył, jak się obchodzić z takimi przedmiotami.

Tybalt odwrócił się do Troya i w tej samej chwili pod łukiem bramy zjawili się dwaj mężczyźni w czerwonych kapeluszach, przyprowadzeni przez wieśniaków. Ludzie Księcia.

- Nie ruszać się! - wołali, wdrapując się na wóz. Tybalt zaklął i wziął nogi za pas.

- Montekim i Kapuletim nie wolno ze sobą walczyć, Troy - powiedziałam. - Zaaresztują nas. Lepiej uciekajmy.

- Stójcie! - krzyczał jeden z żołnierzy.

Tym razem to my pędziliśmy za Tybaltem tą samą co przedtem ulicą, ale w przeciwnym kierunku. Wszystkim trojgu groziło to samo niebezpieczeństwo. Zanim rozdzieliliśmy się przed piekarnią, zrobił to, co zrobiłby na jego miejscu każdy drań: rzucił groźbę.

- Mogłem was pozabijać! - rzekł, wsuwając szpadę do pochwy. - Uważajcie, bo jeśli znowu was dopadnę, nie będzie litości. A dopadnę was na pewno. Wspomnicie moje słowa!

Ruszyli już zwierzę
(*Cymbelin*, akt III, scena 3)

Benwolio czekał na stopniach kościoła.

- Mimi! - zawołał, zrywając się na mój widok. - Nie wolno ci chodzić po ulicach bez opiekuna!

- Opiekowałem się nią jak należy, dziękuję ci za troskę - powiedział Troy i krzywiąc się z bólu, wszedł na stopnie. Mówił prawdę, opiekował się mną. W każdym razie dzięki niemu nie musiałam chodzić po mieście w samej bieliźnie. A nie wiadomo, jak Tybalt by się obszedł z dziewczyną na wpół rozebraną. Więc być może Troy uratował mi życie.

Benwolio położył mi rękę na karku i wprowadził mnie do wnętrza, nie zwracając sobie głowy przytrzymaniem drzwi dla Troya.

- Musisz zostać u ojca Laurentego - powiedział z naciskiem. - Po całym mieście rozniosła się plotka, że zostałam wypędzona z pałacu Kapuletich i z miasta. Wszyscy wiedzą, że pani Kapuleti wyznaczyła nagrodę dla tego, kto cię pojma. Ale chyba wiem, co zrobić.

- Co? - spytałam.

Troy poradził sobie z drzwiami. Wszedł do kościoła i padł na pierwszą z brzegu ławkę.

- Należysz do rodu Kapuletich, więc oni mają prawo cię osądzić i ukarać. Lecz jeśli wyjdiesz za mąż za Montekiego, twoim panem będzie mąż. I będziesz mogła bez przeszkód pozostać w Weronie.

- Wyjść za mąż? - wyrzucił z siebie Troy.

- Moim panem? - wykrztusiłam.

- Tak - potwierdził Benwollio i pocałował moje palce, wszystkie, jeden po drugim. Poczułam dreszcze w całym ciele. - Rozważ to. Ja muszę teraz odejść. Mam ćwiczenia z gwardią Montekich, jestem jej dowódcą. Ale wrócę wieczorem i porozmawiamy o tym.

Porozmawiamy o tym? Trudno by mi było zdecydować się na małżeństwo z kimś, kogo prawie nie znam -zwłaszcza z kimś takim, kto być może naprawdę wcale nie istnieje. I przyjemność, jaką czułam, kiedy całował moje palce, nic tu nie mogła zmienić.

- A gdzie jest Romeo? - spytałam.

- Wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. Obawiam się, że uschnie z tęsknoty za swoją Rozaliną - powiedział Benwollio i ściągnął brwi. - Żegnaj, słodka Mimi. I nie ruszaj się stąd, póki nie wrócę. Za progiem tej świątyni czyhają na ciebie wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. - Powiedziawszy to, zwrócił się do Troya: - Opiekuj się nią!

- A jak myślisz, co robiłem do tej pory? - patrzyli jeden na drugiego spod przymrużonych powiek, z zaciśniętymi szczękami. Naprawdę obawiałam się, że zaraz znowu pójdą w ruch pięści.

Ledwie wyszedł, oparłam się plecami o drzwi, jakbym chciała zatrzasnąć je przed niebezpiecznym i nieprzyjemnym światem Romea i Julii. Po chwili usiadłam na podłodze i zrzuciłam pantofle.

Spodziewałam się po Troyu, że zacznie natrzęsać się z oświadczyn Benwolia. Nie było nawet jasne, czy mam sądzić, że to prawdziwe oświadczyzny, może tylko luźno rzucony pomysł. Ale Troy milczał, pogrążony w myślach. Z drugiego końca nawy patrzył na mnie Święty Franciszek. Kamienny ptak przysiadł na jego ręce, też z kamienia. Słońce wpadało przez witrażowe okna i rzucało zielono-niebieskie światło na pęcherze na moich stopach. Pachniało kurzem i czymś słodkawym. Moim potem. Pilnie potrzebowałam kąpieli.

- Pamiętam - odezwał się nagle Troy. - Ta chmura popiołu wszystko mi zasłoniła. Oczy szczypały. Chciałem wybiec za tobą na ulicę, ale drzwi się zatrzasnęły i nie mogłem znaleźć klamki. - Umilkł na chwilę, jakby jego umysł potrzebował czasu, żeby załadować kolejne obrazy. - A kiedy popiół opadł, stałem w warsztacie szewca. Wybiegłem na ulicę i nie poznałem jej. Chodziłem w kółko, szukając teatru Wallingford. Wtedy cię zobaczyłem.

- Tak. Zawołałeś mnie po imieniu.

- Właśnie. - Zaczął mówić szybciej. - Ale stałem w gęstym tłumie i nie mogłem się do ciebie dopchnąć. Wtedy zaatakował mnie Tybalt. Rzucił mnie na ziemię i ugodził szpadą. I kopnął mnie w głowę. Chyba straciłem przytomność.

Mówiąc to, rozcierał głowę, jakby bolała do tej pory. -1 zobaczył cię Benwolio.

- Tak, Benwolio - zgodził się cierpko. - Uważaj na niego. Znam takich typów.

- Jakich?

- Będzie chciał cię kontrolować.

- Naprawdę? - nic mnie nie obchodziło jego zdanie. - Nie widzę tego. Na razie jakoś mnie nie kontroluje, ani trochę. I jest uroczy.

Założyłam ręce na piersi i uśmiechnęłam się drwiąco.

- Mniejsza o to - powiedział Troy, ściągając brwi. - Musimy przede wszystkim znaleźć sposób, żeby wrócić do domu. Dziś miałem lecieć na Wyspy Dziewicze. Podpisałem kontrakt. Producent dostanie szafu.

Gdy to powiedział, zaczęłam się zastanawiać, co inni ludzie myślą o naszym zniknięciu. Bo przecież zniknęliśmy jednocześnie. Czy moja matka zawiadomiła już FBI? Prawdopodobnie tak. Widziałam w wyobraźni te nagłówki gazet: „Zdemoralizowany gwiazdor muzyki pop ucieka z nieletnią dziedziczką teatru Wallingford”.

Troy głąskał oparcie kościelnej ławki.

- Siedzę w kościele ojca Laurentego. Nikt by w to nie uwierzył!

Może za sto lat teleportacja do fikcji literackiej będzie czymś zwyczajnym. Przecież sto lat temu nie mieściło się ludziom w głowie, że wylądujemy na Księżycu. Ani że będziemy odbierali muzykę z satelity. Albo grali w trójwymiarowe gry komputerowe. Jeśli wydaje się wam, że zmyślam, przeczytajcie autobiografię Troya pod tytułem: „Co kocham najbardziej: lato, surfing i piosenki”. Ma się ukazać w tym roku. Aż dwa rozdziały poświęcił w niej tej przygodzie.

- Kościół ojca Laurentego - powtórzył, kręcąc głową ze zdumieniem. - Jeśli to ma być sztuka Szekspira, dlaczego ci ludzie nie używają archaicznych zwrotów? „Przebóg”, „pierwej” i „aliści”... całego tego szajsu.

-Bo tego bym nie zniosła. Jestem zmęczona i mam dość Szekspira tak samo jak ty. Chciałam się znaleźć *gdzie indziej*. Wiedziałam tylko, że pragnę być jak najdalej od teatru Wallingford. A słysząc twoją uwagę, akurat pomyślałam o Weronie.

-Niesłychane. Spróbuję namówić mojego agenta, żeby sprzedał to jako pomysł na scenariusz. Byłby z tego świetny film, nie uważasz?

- Wiele zależy od zakończenia - powiedziałam ponuro. - Nie wiem, jak wrócimy do domu bez naszyjnika.

Troy wzruszył ramionami.

- Pewnie wrócimy wtedy, kiedy się skończy ta historia. Najpierw Romeo i Julia muszą popełnić samobójstwo. Ale może wystarczy, jeśli wypowiemy ostatnie wersy. Założyłbym się, że to poskutkuje.

Wstał i zadeklamował:

- *Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył, jak ta historia Romea i Julii**.

Czekaliśmy na efekt. Przymknęłam oczy, a potem je otworzyłam.

Nie byłam zaskoczona, gdy ujrzałam znowu poranne światło sączące się przez witrażowe okna. Na wszelki wypadek uchyliłam drzwi i wyjrzałam na ulicę. Nic się nie zmieniło. Troy powtarzał te dwa wersy wiele razy, w kółko i na okrągło. I nic.

Czy byłam z tego zadowolona? Tak, trochę. Chciałam jeszcze zobaczyć się z Benwoliem. Chciałam z nim jeszcze zatańczyć, a może i całować się. To miejsce było zbudowane z wyobrażeń i wiedziałam, że w jakimś momencie

* *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski

zateęsknię za realnością. Miałam przecież życie przed sobą. Prawdziwe życie. Na razie jednak interesował mnie Benwolio.

Troy posmutniał.

- Tylko mi nie mów, że musimy przebrnąć przez całą tę historię, zanim się stąd wyrwiemy. Jestem tą sztuką śmiertelnie znudzony, na myśl o niej robi mi się niedobrze. W którym jesteśmy akcie?

- Troy, to nie jest sztuka.

- Powiedz tylko, w którym akcie jesteśmy.

- Nie jesteśmy w żadnym akcie, w żadnej scenie - powiedziałam. Spojrzał na mnie, zły. Nie warto było dyskutować. W swoim czasie sam wszystko zrozumie. - Wczoraj odbył się bal u Kapuletich.

- No i dobrze, Romeo już poznał Julię. Tybałt oczywiście nie został jeszcze zabity, ale niedługo się to stanie. A potem nie trzeba będzie długo czekać na scenę samobójstwa, i hop! Już nas tu nie ma.

Był jednak beznadziejnie głupi.

- Święty Franciszku! - zawołał ojciec Laurenty, wyłaniając się zza ołtarza. - Gdzieście się podziewali?

-Rozejrzeliśmy się trochę po okolicy - powiedział Troy i odsunął się, kiedy mnich chciał spojrzeć na jego ranę.

- Ta rana... Musimy założyć nowy opatrunek. Zajmę się tym zaraz po powrocie.

- Po moim trupie! Chyba że mnie ojciec przekona do swojego podręcznika chirurgii. Ale jeśli jego autorem jest miejscowy znachor albo ktoś ze Świętej Inkwizycji, to nie ma mowy.

- Dokąd się ojciec wybiera? - spytałam.

-Wezwano mnie do pałacu Kapuletich. Jutro odbędzie się tam ślub, a ja mam go udzielić.

- Ślub? - spytałam.

-Tak. Julia Kapuleti wychodzi za Parysa Kałketto. Nie z miłości, co muszę z żalem przyznać. I jest jeszcze taka młodziutka. Biedny kwiatusek. - Mnich pogłaskał srebrny krzyż, który wisiał na jego szyi. - Słyszałem, że podczas wczorajszego balu doszło do jakiegoś nieporozumienia i Parys omal nie odwołał ślubu. Ale pani Kapuleti zdołała go ułagodzić.

A więc nie pomogły cebule ani czyrak. Pani Kapuleti postawiła na swoim.

- Ojczy, przed nami nie musisz niczego ukrywać, wiemy wszystko o historii Romea i Julii - zapewnił go Troy. - Wiemy, że udzielisz im potajemnego ślubu.

Troy był przekonany, że doszło do spotkania tych dwojga, że zwierzyli się mnichowi ze swojej miłości i wszystko przebiegało tak jak w sztuce Szekspira. Odchrząknęłam już, żeby wyjaśnić mu, jak się mają sprawy, ale przemówił mnich.

-Ja miałbym udzielić ślubu tym dwojgu? - spytał, zdumiony. - Po co miałbym to zrobić? Przecież oni są śmiertelnymi wrogami!

Troy znowu usiadł w ławce, ostrożnie, żeby nie urazić zranionej nogi.

- Oni się nie kochają, Troy - powiedziałam. - Nawet się nie znają.

- Przecież mieli się spotkać na balu?

- Tak, wiem. Ale wyszło inaczej.

- A skąd to wiesz? - zainteresował się.

- Bo tam byłam.

Ściągnął brwi. Chciał bliższych wyjaśnień.

- Działy się tam różne historie, w każdym razie Julia została za karę odesłana do swojego pokoju, zanim Romeo miał okazję ją spotkać - powiedziałam szybko i przełknęłam ślinę.

Troy westchnął, rozczarowany.

-Pozwól, że spróbuję uporządkować fakty. Utknęliśmy w historii Romea i Julii, i nie możemy wrócić do domu bez tego amuletu, bez tej fiołki z popiołem z gęsiich piór Szekspira, a Szekspir w tutejszej rzeczywistości nie istnieje. Może moglibyśmy wrócić do domu, kiedy skończy się ta historia, ale ona nawet się nie zaczęła, skoro Romeo i Julia się nie spotkali. Więc, co najbardziej istotne, nie skończy się.

-Tsss... - szepnął mnich. Położył płamistą dłoń na czole Troya.

- Niech cię Bóg ma w opiece, mój synu, bredzisz w gorączce. - Pociągnął nosem. - Ten zapach mi się nie podoba. Rana zaczyna ropieć.

- Zaczyna ropieć? - wrzasnął Troy. Mnich pogłaskał się po tonsurze.

- Wielki Boże, mamy kłopot. Wielmożna Pani z pewnością zechce mnie wypędzić z miasta, jeśli od razu nie stawię się na wezwanie. Zajmę się twoją nogą, kiedy wrócę. Idźcie na górę, moje dzieci, i odpoczywajcie. Zjedzcie, co tam znajdziecie.

Otworzył ciężkie drzwi i już go nie było.

- Ropa? Gorączka? - powtarzał Troy, przerażony. -Boże, będę miał gangrenę! Mimi, musimy wracać natychmiast. Ja chcę do szpitala.

Co będzie, jeśli Troy dostanie gangreny? Co wtedy zrobimy? W szesnastowiecznej Weronie nie było anty-

biotyków. Nie tylko w Weronie. Nigdzie. I w dodatku nie sterylizowano narzędzi chirurgicznych. A bandaż, który Troy zdjął przed chwilą, był strasznie brudny.

- Mimi, słyszysz, co mówię? Musimy coś zrobić, żeby to się natychmiast skończyło!

-Tak, wiem - zgodziłam się niepewnie. Miał rację. Oboje byliśmy w poważnym, nawet śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ale nie czułam się w porządku wobec Julii. Chciałam, żeby dla niej ta historia skończyła się szczęśliwie.

Czyżby jej śmierć miała stać się dla nas biletem powrotnym?

Nie mogłem oka przymrużyć na chwilę
(*Cymbelin*, akt III scena 4)

Poczęstowaliśmy się chlebem i serem mnicha. Prawdę mówiąc, rzuciliśmy się na jedzenie żarłocznie jak umierający z głodu uchodźcy. I w pewnym sensie byliśmy uchodźcami. Uchodźcami ze świata realnego. Byłby to nawet niezły tytuł do filmu, o którym mówił Troy.

Kiedy zjedliśmy wszystko do ostatniego okruszka, Troy padł na pryczę i z miejsca zapadł w głęboki sen. Przeszukałam sąsiednie pomieszczenia, rozglądając się za innym posłaniem, ale go nie było. Była tylko wygodka za parawanem, z której skorzystałam, i pokój pełen pęków suszonych ziół, wag i naczynek. Na podłodze stało wiadro z wodą, więc nalałam trochę wody do miski i umyłam twarz, używając rąbka sukni w charakterze ręcznika. Poczułam się trochę odświeżona, nadal jednak tęskniłam za kąpielą. Ale nigdzie nie widziałam balii. Jak oni się kąpali w szesnastym wieku?

Wróciłam do pokoju, w którym spał Troy. Leżał na wznak, z przedramieniem opartym na czole. Na pryczy nie zostało zbyt wiele miejsca. Gdyby miały się na niej zmieścić dwie osoby, byłoby raczej ciasno.

- Troy... - szepnęłam, próbując go obudzić. Gdyby wiedział, że nie ma tu więcej łóżek, pewnie zaproponowałby po dżentelmeńsku, że wyśpi się na podłodze. - Troy...

Ani drgnął. Ziewnęłam. Jak długo człowiek może wytrzymać bez snu?

Może mogłabym się wyspać w fotelu, z głową opartą na stole. Odsunęłam pliki pergaminów, kałamarz i naczynie z gęsimi piórami. Ale nie było mi wygodnie i wierząc się, przewróciłam kałamarz, plamiąc sobie rękaw atramentem. Pani Kapuleti być może kazałaby mnie łamać kołem za to, że zniszczyłam jej własność. Z głową opartą na przedramieniu przyglądałam się śpiącemu Troyowi. Jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała. Z pryczy spadły koce. Przypomniałam sobie koce Julii, która zagrzebywała się w nich, żeby nad czymś pomyśleć.

Biedna, miła Julia miała zostać wydana za mąż za mężczyznę prawie dwukrotnie starszego od niej.

Mimo wyczerpania, rozwinęłam jeden z arkuszy pergaminu, wzięłam do ręki gęsie pióro i zamoczyłam je w kałuży atramentu. Mnich powiedział nam przecież, że możemy korzystać z tego, co do niego należy. Wiedziałam, że mogę nigdy już nie spotkać Julii, więc chciałam napisać do niej kilka zdań. Jak starsza i mądrzejsza siostra do młodszej siostrzyczki. Chwilę zajęła mi nauka obchodzenia się z gęsim piórem, po czym zaczęłam pisać.

Opowiedziałam jej trochę o moim życiu na Manhattanie. O tym, że czułam się tam uwięziona, żeby wiedziała, że nie ją jedną to spotkało. Że nasze matki były pod pewnymi względami bardzo do siebie podobne i że od dawna chciałam spróbować innego życia. Opowiedziałam jej o fiołce z popiołem i że tak naprawdę wcale nie jesteśmy kuzynkami. Ale pozostanę jej przyjaciółką. I że choćby jej sprawy przyjęły najgorszy obrót, nigdy, przenigdy nie wolno jej myśleć o samobójstwie.

A potem głowa mi opadła na blat i już nie byłam w stanie otworzyć oczu.

Troy przewrócił się na bok, zwalniając trochę miejsca na pryczy. Położyłam się obok niego, nie zważając na to, że wypinał na mnie tyłek. Nic mnie już nie obchodziło, chciałam się tylko wyspać.

Spałam długo i głęboko, a śniło mi się, że całował mnie Benwolio. Jego pocałunek był bardzo delikatny. Ale Ben-wolio nagle przemienił się w Troya i pocałunki stały się bardziej gwałtowne. Troy trzymał mnie mocno w objęciach, czułam bicie jego serca. Przysunęłam się jeszcze bliżej. Chciałam, żeby ta chwila trwała wiecznie, chciałam, żeby...

- Mimi, obudź się! Leżysz na mojej zranionej nodze!

W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem. Pokój tonął w mroku, jeśli pominąć mały płomyk świeczki pozostawionej na biurku. Na biurku mnicha. Byłam nadal w Weronie i dzieliłam z Troyem pryczę. Która to mogła być godzina? Jaki dzień? Otarłam nitkę śliny z podbródka, mając nadzieję, że Troy jej nie zauważył. Ku swojemu jeszcze większemu zażenowaniu przekonałam się, że podczas snu wtuliłam się w zgięcie jego łokcia i przerzuciłam nogę przez jego nogi, przykrywając nas oboje aksamitną balową suknią. Usiadłam.

Nic się nie stało. Po prostu zasnęłam obok Troya Summera. Clarissa byłaby strasznie zazdrosna. Troy przeciągnął się.

- No i dalej tkwimy w tym szekspirowskim miejscu - powiedział, ziewając. - Miałem jeszcze nadzieję, że się my-

lisz. Że to wszystko mi się tylko śni. A skoro już o tym mowa, wiesz, co mówiłaś przez sen? - spytał i puścił do mnie oko.

Co takiego mogłam powiedzieć przez sen? Czyżbym wymówiła jego imię?

Przesunął się na krawędź pryczy i wstał.

- Muszę się wysikać.

Utykał mocniej niż przedtem i przeklinał przy każdym kroku.

- Myślisz, że można nasikać do tego naczynia? - spytał, znalazłszy wygodkę.

- Tak! - zawołałam.

Wrócił i znowu położył się na pryczy.

- Kręci mi się w głowie - wymamrotał. W półmroku nie byłam tego pewna, ale miałam wrażenie, że jego policzki są zaczerwienione. Zapaliłam jeszcze jedną świeczkę i postawiłam ją na parapecie obok pryczy. Zamknął oczy. Na jego nosie i nad górną wargą osiadły kropelki potu. Jego jasne włosy, zwykle umyte i starannie wymodelowane suszarką, lepiły się do czoła. Ale i tak wyglądał wspaniale. Rozpięta biała koszula ukazywała opaloną pierś porośniętą rudawymi włoskami.

- Co tak patrzysz? Widzisz coś fajnego? - spytał. Nie zauważyłam, kiedy otworzył oczy, i nie wiedziałam nawet, jak długo gapiłam się na jego klatę.

W obronnym odruchu podniosłam głos.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Wyobrażasz sobie, że skoro jestem dziewczyną, to... - gniewnie skrzyżowałam ramiona. - Nie myśl, że kochają się w tobie wszystkie bez wyjątku.

- Oho! - odpowiedział, ocierając rękawem pot z czoła. - Chyba dotknąłem bolesnego punktu. Powiedz mi, kto

ci się w końcu podoba, Mimi? Ten wariat Benwolio? Zachwyca cię to, że on cię całuje po rękach? Moje uczucia nie były jego sprawą.

- Benwolio jest przy zdrowych zmysłach, Troy. W przeciwieństwie do tych paru setek dziewczyn, z którymi umawiasz się na randki.

Usłyszałam wymuszony śmiech.

-Parę setek to przesada. A poza tym spotkanie się z dziewczynami to mój obowiązek. Fanki oczekują ode mnie pewnych określonych zachowań. Nigdy nie należy sądzić po pozorach. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że życie prywatne i publiczny wizerunek to dwie zupełnie różne rzeczy.

- Daj spokój. Chcesz mnie przekonać, że ktoś cię zmusza do umawiania się co tydzień z inną dziewczyną? Że robisz to tylko po to, żeby twoje płyty się lepiej sprzedawały?

Jego głos także przybrał obronny ton.

-Nie spodziewam się, że uwierzysz w każde moje słowo, Mimi. Nienawidzisz mnie, odkąd cię poznałem. Widziałem tę twoją minę, kiedy po raz pierwszy pocałowałem cię na scenie. Bezgraniczna odraza.

Odraza? Naprawdę jest pewien, że to była odraza?

- Zawsze dawałaś mi odczuć, że jesteś ulepiona z lepszej gliny - ciągnął dalej, naprawdę dotknięty. - Panienska z artystycznych sfer Nowego Jorku i ja, prostak z Kalifornii. Ignorowałaś mnie i byłaś przekonana, że jestem marną gwiazdą popu, niczym więcej. Ale jeśli myślisz, że jestem gorszy od ciebie... to czysta hipokryzja.

Usiadł, opierając plecy o ścianę, i podłożył poduszkę pod zranione udo.

Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie. Hipokryzja? O czym on mówi?

- Wydaje ci się, że jesteś lepsza, i nie widzisz, że znaleźliśmy się w tym samym położeniu. Każde z nas jest towarem na rynku, różni ludzie posługują się nami dla swoich własnych celów. Ale powiedz, czy naprawdę jesteśmy tylko towarem?

Staralam się nie odwracać wzroku pod jego gniewnym spojrzeniem, choć wydawało mi się, że widzi mnie na wylot.

- Przyglądałem ci się dzień w dzień, kiedy przychodziłaś na próby - mówił dalej. - Widziałem, jak nerwowo wyłamywałaś sobie palce. Zawsze stałaś z boku, sama, póki twoja matka nie weszła do sali prób. Dopiero wtedy zamieniałaś się w Mimi Wallingford, księżniczkę szekspirowskiego teatru. „Obróć się lewą stroną do publiczności, Mimi, lewy profil masz lepszy” - całkiem udatnie naśladował głos mojej matki. - „Stań na środku sceny, Mimi, pamiętaj, że nazywasz się Wallingford! Włóż stanik z gąbką, Mimi, będziesz wyglądać bardziej sexy!” - podniósł brwi. - Przecież nie chciałaś być traktowana w ten sposób. Właśnie dlatego zaczęłaś udawać, że masz tremę.

Miałam ochotę uderzyć go po twarzy. Albo zdjąć te cholerne pantofle i rzucić w Troya najpierw jednym, potem drugim. Jak śmiał! „Zaczęłaś udawać”!

- *Miałam* tremę. Miałam ją naprawdę i to było okropne. Doktor Harmony nazwał ją zespołem stresu pourazowego.

- Pourazowego! - powtórzył Troy i otarł pot z górnej wargi. Jego kark też błyszczał od potu. - Zastanów się nad tym, Mimi. Przecież trema miała swoją rolę do odegrania!

I na jego zarozumiałej twarzy pojawił się znany mi drwiący uśmiezek. Czulałam się całkowicie obnażona. Czemu miałaby służyć moja trema, jeśli nie temu, żeby mnie jeszcze bardziej nękać? Usiadłam przy biurku, odwrócona do niego plecami. Za kogo się uważał? Jakim prawem analizował moją psychikę? Właśnie on, Troy Summer, wokalista z plastiku, niemający bladego pojęcia o tym, pod jaką presją żyłam.

- Dobry wieczór, moje dzieci! - Ojciec Laurenty wszedł z tacą pełną jedzenia. - Spaliście przez cały dzień.

Postawił tacę na nocnym stoliku.

- Jeśli chodzi o jedzenie, dostaję je tylko dzięki uprzejmości moich parafian. Dziś mamy szczęście, bo Emmalina, żona szewca, ugotowała zupę jarzynową.

Wręczył mi miskę zupy i wielką pajdę chleba. Zaczęłam pochłaniać zupę, nie zważając na to, że była tragicznie niedosolona i że niektórych spośród pływających w niej „warzyw” nie mogłam zidentyfikować. Na przemian z zupą napychałam się chlebem. Mnich podał miskę zupy Troyowi.

- Zjedz to, mój synu, bo potrzebujesz sił. Ale Troy odsunął miskę.

- Nie jestem głodny - jęknął.

- Co się z tobą dzieje? - Ojciec Laurenty odstawił miskę i dotknął czoła Troya. - Dalej ma gorączkę. Chodź tu, Mimi, potrzywasz mi świeczkę. Muszę obejrzeć ranę.

Tym razem Troy nie protestował, tylko przyglądał się z niepokojem. Omal nie upuściłam świeczki, kiedy mnich odsłonił szwy. Skóra wokół krawędzi rany była ognisto-czerwona. Z jej brzegów sączyła się ropa. Wydawało mi się, że za chwilę zemdleję. Ładny byłby ze mnie lekarz.

- O mój Boże! - zawołał Troy. - Zakażenie! Grozi mi gangrena!

Gangreny nie życzyłabym nikomu, nawet Troyowi.

- Jest na to jakieś lekarstwo? - spytałam ojca Laurentego.

- Zakażoną krew należy oczyścić. Muszę przystawić pijawki.

- Nie! - zawołał Troy. - Tylko nie pijawki!

- Mój synu, niewykluczone, że rana oczyści się sama i gorączka minie. Ale bez leczenia nie można wykluczyć, że noga szernieje. A na szerniałą nogę jest tylko jedno lekarstwo: trzeba ją uciąć.

Troy zacisnął pięści i twarz mu poczerwieniała z gniewu. Na jego szyi pulsowała tętnica. Wyglądał, jakby miał za chwilę dostać ataku apopleksji.

- To twoja wina, mnichu! - warknął z gniewem. - Rana się zakaziła przez twoje barbarzyńskie operacje! Możesz spodziewać się procesu za swoje karygodne błędy medyczne!

Ale żadne groźby nie mogły poprawić jego stanu. Trzeba było coś z tym zrobić. Tylko co? Gdybym była w Nowym Jorku, sięgnęłabym po bakteriobójcze maści i sterylne bandaże. Naraz przypomniał mi się jakiś western, w którym stary, zapijaczony lekarz lał whisky w rany postrzałowe swoich pacjentów.

- Ojczy, co jest w tym dzbanku? - wskazałam niebieskie naczynie, stojące na stole.

Mnich zmieszał się.

- To tylko lecznicze zioła. Na mój artretyzm. Wzięłam dzbanek do ręki i powąchałam zawartość.

W nozdrza uderzył mocny zapach alkoholu. A więc takie to są ziołka.

-Troy, zdezynfekujemy twoją ranę. To jedyna sensowna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

- Zdezynfekujemy? Czy to jest coś, co robią na Mankatanie?

- Tak. - Było mi niedobrze od patrzenia na ropę. Przecież nie możesz nawet patrzeć na krew – mówiła mi matka. - Jesteś na to zbyt wrażliwa.

-Będę potrzebowała gorącej wody. Prawdziwego wrzątku. Można tu gdzieś zagotować wodę?

Mnich kiwnął głową.

- Mam nieduży piec kuchenny, a na tyłach budynku stoi kocioł. Ale trochę czasu zajmie nam rozpalenie ognia.

Zabraliśmy się więc do pracy. Rana była w tak oplakanym stanie, że nie było już na co dłużej czekać. Kiedy woda się zagotowała, przekonałam mnicha, że powinniśmy umyć ręce. Wysterylizowałam ostry nóż i narzędzie przypominające pęsetę. Mnich był bardzo zaciekawiony tym, co zamierzałam zrobić, więc zadawał mi mnóstwo pytań. Słuchał uważnie, kiedy opowiadałam mu o bakteriach, i podawał wrzątek, kiedy o to prosiłam. Nie było czystych bandaży, więc porwałam halkę na pasy. Była uszyta z niebielonego lnu i wydawała się zupełnie czysta. Użyłam kawałka lnu wygotowanego we wrzątku do zmiękczenia strupów i usunięcia ropy. Troy krzywił się raz po raz, ale poddawał się moim zabiegom bez protestu. Oczywiście nie mieliśmy dostępu do najnowszych zdobyczy medycyny. Ale wszyscy mniej więcej wiemy, jak się dezynfekuje rany, nawet tak głębokie jak ta. Działałam w największym skupieniu. Mnich śledził uważnie każdy mój ruch. Odkąd tylko zajęłam się tą raną, przestała we mnie budzić obrzydzenie.

- Teraz zaboli - uprzedziłam, biorąc do ręki dzbanek. Kiwnął głową i napiął całe ciało, kiedy polewałam ranę alkoholem.

Nigdy nie zakładałam szwów, w ogóle nie umiałam szyć, więc tę część operacji zostawiłam ojcu Laurentemu, ale przypilnowałam, żeby igła i nić też zostały zdezynfekowane. Troy wychłptał resztkę tego, co było w dzbanku. Jak się potem dowiedziałam, była to grappa, mocny alkohol produkowany z winogron. Wcisnął głowę w poduszkę i jęczał cicho za każdym razem, kiedy igła przebijała skórę. Wzięłam go za rękę. Ścisnął moją dłoń tak mocno, że omal nie połamał mi palców.

I wreszcie mieliśmy to już za sobą. Osuszyłam ranę i obwiązałam resztą lnianych bandaży.

- Mam nadzieję, że w ten sposób opóźnimy rozwój zakażenia - powiedziałam.

- Dzięki - uśmiechnął się blado. - Nie myślałaś o tym, żeby zostać lekarką?

Ja też się uśmiechnęłam. Operacja wyszła mi całkiem sprawnie.

- W tej chwili nie mam na to widoków - zauważyłam. - Jeśli nie uratujesz mnie przed Tybaltem, chyba nie mam przed sobą długiego życia.

Płomyki świec odbijały się w jego zielonych oczach. Widziałam szorstki rudawy zarost na kwadratowej szczęce. Westchnęłam.

- Nigdy byśmy się nie wpakowali w ten klops, gdybym zgodziła się oddać mojej matce naszyjnik.

Troy znowu zapadł w drzemkę. Razem z ojcem Laurentem zjedliśmy resztkę chleba. Był to kleisty razowiec, pełen niezmielonych ziaren żyta.

Na biurku leżał mój list.

- Ojczy, napisałam list do Julii Kapuleti. Gdyby stało mi się coś złego albo gdybym nagle zniknęła, mogę być spokojna, że go dostanie?

- Oczywiście, moje dziecko. Ale dlaczego miałabyś zniknąć?

- Amulet, o którym już wspomniałam, sprawił, że znaleźliśmy się w Weronie. Myślę, że to czary. Czy ojciec wierzy w czary?

- To, co nazywasz czarami, w moim przekonaniu jest boską interwencją. Więc tak, w pewnym sensie wierzę. - Strzepnął okruszki z habitu. - Jestem człowiekiem wierzącym, Mimi. Codziennie mam do czynienia z cudami. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na placu, od razu się domyśliłem, że nie pochodzisz z naszego świata. A twoje opinie na tematy medyczne wydają mi się przekonujące. - Zachichotał. - W każdą niedzielę słucham spowiedzi wiernych. Nie uwierzyłybyś, o ilu nieprawdopodobnych rzeczach dowiaduję się za każdym razem.

Postanowiłam mu się zwierzyć.

- Ojczy, ze źródła, któremu można zaufać, wiedziałam, że Romeo zakocha się w Julii. Oni są postaciami ze sztuki Williama Szekspira. Ale ich miłość jest niemożliwa z powodu rodowej waśni.

- Ach, te rodowe waśnie! - mnich ściągnął brwi i potrząsnął głową. - To plaga Werony! - I pogłaskał masywny krzyż, który wisiał na jego piersi. - Opowiem ci historię, która nie jest tu dla nikogo tajemnicą.

Usiadł wygodnie w fotelu i zaplótł dłonie na brzuchu. - Pani Kapuleti urodziła się jako Veronica Valdiza. Należała do bogatego rodu mieszczan i kupców. Jej ojciec

nie był szlachcicem, a pragnął szlachectwa nade wszystko w świecie. Kiedy Veronica skończyła trzynaście lat, po raz pierwszy wystąpiła na balu. Poznała tam kawalera nazwiskiem Alfonso Monteki, syna możnego rodu z Werony. Był to, wyobraź sobie, dzisiejszy ojciec Romea. I jak już się pewnie domyślasz, zakochała się w nim bez pamięci.

Pani Kapuleti zakochała się w Montekim? To zaczynało przypominać opery mydlane, w których występuje mój kuzyn Greg.

Ojciec Laurenty ciągnął dalej.

- Choć nie należała do tej samej klasy co Alfonso Monteki, Veronica Valdiza chciała zostać jego żoną, a jej ojciec popierał to pragnienie, bo marzył o szlacheckim tytule dla swojej córki. Więc pan Valdiza usiłował przekonać Monte-kich do tego małżeństwa, oferując Montekim swoje okręty, ale tylko pod warunkiem że Alfonso poślubi Veronikę. Ród Montekich nie chciał się jednak zgodzić, by dziedzic tytułów i włości ożenił się z córką kupca. Ogłoszono to wszem wobec ze stopni kościoła, aby ukrócić szerzące się plotki. Ród Valdizow został pohańbiony, a Veronica miała złamane sercem. Ludzie szeptali i wytykali ją palcami w kościele. Sądono powszechnie, że na tytuł nie zasługuje. Uważano, że nie powinna była celować ponad swój stan. Ze zgrzyoty przestała jeść i nie wychodziła z domu. Marniała w oczach. Jej ojciec szalał z rozpaczy, bo bardzo kochał swoją jedynaczkę. Na szczęście rozniosła się pogłoska o jego hojnej propozycji i nie trzeba było długo czekać na kolejnych konkurentów. Jeden z nich należał do szlacheckiego rodu Kapuletich. Chcąc ratować reputację córki, Valdiza zgodził się na ślub, stawiając jeden tylko warunek: w zamian za rękę Veroniki i połowę jego floty zięć obie-

ca, że nigdy nie ustanie w szukaniu pomsty na Montekich. Wszystko zostało uzgodnione i Veronica została żoną pana Kapuleti.

- Nie chciała za niego wychodzić? - spytałam.

- Trudno powiedzieć - odparł mnich. - Do małżeństwa doprowadził jej ojciec. Alfonso Monteki z początku nie czuł nienawiści do Kapuletich, ale z biegiem lat, gdy ci nieustająco atakowali jego ludzi i mieszali z błotem nazwisko, jego serce stwardniało i on także zaczął szukać zemsty. Kiedy walczą ze sobą możni panowie, nikt już nie pamięta, od czego się to zaczęło. Ale pani Kapuleti na pewno nie zapomniała.

A więc nawet ta, która wydawała mi się bez serca, w upudrowanym dekolcie kryła zranione uczucia. Pani Kapuleti kochała i została odtrącona. Upokorzono ją, a żądza zemsty ją zaślepiała.

- Kto tam? - zawołał ojciec Laurenty. Troy otworzył oczy i usiadł na posłaniu. Ktoś wchodził po schodach.

Odwróciłam się w stronę drzwi i zobaczyłam w nich drobną, wytwornie odzianą postać. Troy zerwał się i chwycił z nocnego stolika chirurgiczny nóż. Człowiek, który wszedł do izby, miał na opończy złoty herb Kapuletich.

Innych leków prócz nadziei
nie znają ludzie nieszczęśliwi
(Miarła za miarke, akt III, scena 1)

- Ojcie, błagam o pomoc. Gość zrzucił kaptur.

- Julia! - zawołałam, uszczęśliwiona jej widokiem. Mních wyjął nóż z dłoni Troya.

-Nie będziesz musiał się bronić, mój synu. Ona nie jest wrogiem.

Wyraz rozpacz y zniknął z twarzy Julii.

-Mimi! - podbiegła do mnie i mocno mnie uściskała. Jej skóra wciąż jeszcze wydzielala ledwie wyczuwalny zapach cebuli. - Tybalt przyszedł dziś rano z miasta i doniósł, że pozostajesz w Weronie, spiskując z Montekimi. Matka kazała mu znaleźć cię i pojmać za nieusłuchanie nakazu i kradzież sukni. Strasznie się tym gryzę. Obawiam się, że to wszystko przeze mnie.

- Nie przez ciebie - uspokajałam ją, usiłując nie koncentrować się na tym, że bylam ścigana. Czy w szesnastym wieku ludzie znali już listy gończe? - Jak się masz? Co się dalej działo po moim odejściu? Czy ojciec spuścił ci lanie? - Byłam zadowolona, że na jej twarzy nie widać sińców po policzkach wymierzonych jej przez matkę. Jeśli

pominać podkrążone oczy, wyglądała równie ładnie, jak przedtem.

Potrząsnęła głową.

-Powiedział, że nie chciałby mnie oszpeci ć śladami pobicia, tym bardziej że zbliża się dzień ślubu. Obawiał się, że Parys mógłby przez to zmienić zamiary. - Słuchałam tego zdumiona. Potraktowano jej ciało jak przedmiot, który ma zmienić właściciela. - Ale trzymali mnie pod kluczem w moim pokoju. Do jutra nikomu oprócz piastunki nie wolno tam wchodzić. Dziś powiedziałam jej, że wcześniej się położę. Ale uciekłam przez balkon i przybiegłam tu po ratunek.

-Moje dziecko, nieposłuszeństwo woli ojca to grzech... - zaczął mnich.

- A sprzedaż córki najhojniejszemu oferentowi nie jest grzechem? - spytała Julia z rozpaczą. - Podśluchałam ich rozmowę. Ojciec jest bankrutem, a mój ślub to dla nich sposób, żeby wydobyć się z długów. Parys obiecał Tybaltowi, że po ślubie załatwi mu posadę oficera gwardii książęcej. A ja mam zapłacić duszą i ciałem za przyszłość całej mojej rodziny. Czy Bóg życzy sobie, żebym poślubiła człowieka, którym gardzę?

Ojciec Laurenty załamywał ręce i marszczył czoło.

-Czwarte przykazanie nakazuje czcić ojca i matkę. Taka jest wola Boga. - Podrapał się po ogromnych uszach. -Z twoim przyszłym mężem spotykałam się nieraz w konfesjonale. Nie wolno mi zdradzać treści spowiedzi, ale muszę przyznać, że człowiek ten prowadzi życie ze wszech miar niewłaściwe. Nie spodziewam się, że będziecie dobraną parą. Z drugiej jednak strony rodzice...

- Mniejsza o nich - odezwał się Troy, wracając na posłanie. - Jeśli go nie lubisz, nie wychodź za niego.

- To nie jest takie proste - wyjaśnił mnich. - Jeśli Julia odmówi wejścia w związek z człowiekiem, którego wybrali dla niej rodzice, ucierpi nazwisko Kapuletich. Hańba spadnie na cały ród.

- Nie chcę ściągnąć hańby na swoją rodzinę - powiedziała Julia.

- Nie mówiąc już o tym, że jeśli odmówi wyjścia za męża, złamie prawo obowiązujące w Weronie.

- I co z tego? - spytał Troy.

- To, że może zostać uwięziona, a nawet skazana na śmierć.

- Skazana na śmierć? - powtórzył Troy. - To najgłupsze prawo, z jakim się spotkałem. Kim trzeba być, żeby skazać dziewczynkę na śmierć? W moim kraju nawet morderców niechętnie skazuje się na karę śmierci, a mówię o ludziach kompletnie zdegenerowanych, którzy popełniali seryjne zbrodnie na prostytutkach albo na bezdomnych. Większość z nich spędza resztę życia w wygodnej celi z telewizorem i opieką lekarską. Co to za kraj, w którym można dziewczynkę w jej wieku skazać na śmierć?

Julia zrobiła krok w stronę Troya, wpatrzona w niego jak dziecko w piękną, nową zabawkę.

- Nigdy nie słyszałam mężczyzny, który by mówił tak pięknie. Kim jesteś?

- Jestem...

- To Troy - powiedziałam, stając między nimi. - Przybył z Manhattanu, tak jak ja. I... jest Montekim. Ale na Manhattanie nie znamy takich waśni, jakie toczycie w Weronie.

Julia wyminęła mnie.

- Naprawdę uważasz, że to prawo jest głupie?

- Oczywiście.

Julia odetchnęła głęboko, a potem uśmiechnęła się. I jeszcze raz się uśmiechnęła. Oj... Dobrze znałam ten ciełący wyraz oczu.

- Jesteś taki miły - powiedziała, przysuwając się do niego coraz bliżej. - Tę ranę odniosłeś w walce? Czy to bardzo boli? Ty też jesteś aktorem? - I przysunęła się jeszcze bliżej. - I kawalerem?

Troy podniósł brew i odsunął się o krok.

- Mimi... - powiedział cicho, przez zaciśnięte zęby.

Jeszcze tego nam tylko brakowało, żeby Julia zakochała się w Troyu Summerze. Trzeba to było czym prędzej ukrócić.

- Ojczy, znam przykazanie, żeby czcić rodziców. Ale czy nie jest wolą Bożą, żebyśmy pomagali potrzebującym pomocy? - spytałam. - Czy nie ślubowałeś, że będziesz pomagał ludziom? I czy złamanie tych ślubów nie byłoby okropnym grzechem?

- Tak, to będzie grzech - przyznał, zaplatając dłonie na grubym brzuchu. - Ale jak mogę pomóc?

- Może jest dla niej jakieś trzecie wyjście, poza ślubem i śmiercią? Może mogłaby opuścić Weronę? Bo jeśli...

- Opuścić Weronę? - przerwał mi Troy. - Myślałem, że musimy dobrać do końca *tej* historii, Mimi. Chyba nie chcesz stąd wyjeżdżać? - cofał się przed urzeczonym spojrzeniem Julii i wypowiedziawszy te słowa, wpadł na ścianę. - Chyba nie chcesz oświadczyć, że...

- Troy, czy możemy rozmówić się w drugim pokoju? - spytałam. Troy zwawo prześliznął się obok Julii i wszedł

za mną do pokoju, w którym mnich przygotowywał lekarstwa. Staliśmy wśród zwisających u powały pęków suszonych ziół i mierzyliśmy się gniewnymi spojrzeniami.

- Jasne, że chcę się stąd wydostać. To dla mnie sprawa życia i śmierci, bo wyznaczono tu nagrodę za moją głowę. Ale obiecałam Julii, że będę jej pomagać. I zamierzam wywiązać się z tej obietnicy. To bardzo dobra dziewczyna. I nie ma jeszcze czternastu lat.

Troy oparł się o stół. Spodziewałam się, że chce mi na-wymyślać od idiotek i wysłać na leczenie do psychiatryka albo coś w tym rodzaju.

- Ty masz teraz wolne, Mimi, ale ja nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę nakręcić ten wideoklip. W ubiegłym miesiącu sprzedaż moich płyt spadała i jeśli nie zrobię czegoś nowego, stanę się jednym z tych żałosnych byłych idoli nastolatek. Więc nie mam wyboru, muszę wracać.

- Ach, tak - mruknełam, zaskoczona tym wyznaniem. -Nie zapominaj, że grozi mi gangrena. - Odgarnął

dłonią włosy z czoła. - Nie rozumiem zbyt wiele z tej całej historii, ale jedno jest dla mnie jasne. Tylko my jesteśmy tu prawdziwymi ludźmi. Oni są postaciami. Pamiętaj o tym.

Westchnęłam. Moja matka też była prawdziwym człowiekiem i pewnie umierała z niepokoju. Troy był prawdziwym człowiekiem i musiał czym prędzej iść do lekarza. A ja musiałam rozwiązać swoje problemy. Być może miał rację. Ale mógł jej też nie mieć.

- Jeśli ci ludzie nie istnieją naprawdę, jak to możliwe, że jednemu z nich udało się zranić cię w nogę? - spytałam. - Odnoszę wrażenie, że są tak samo prawdziwi jak my.

- Jesteś strasznie uparta, Mimi - jego piękne oczy pociemniały jak niebo przed burzą. - Znasz tę sztukę równie

dobrze, jak ja. Romeo i Julia popełniają samobójstwo. Tak musi być.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie może być inaczej?

- Dlatego że tak, a nie inaczej, napisał tę sztukę Szekspir - powiedział Troy, zaplatając ramiona. - Los Julii jest przesądzony.

- Ale ona nie mogła wybrać swojego losu.

- Co takiego?

- Dlaczego inni wybierają dla nas los, którego nie pragniemy? Chciałabym to wiedzieć.

Zagotowały się we mnie emocje, o których sądziłam, że potrafię je kontrolować. Tym razem stało się to tak szybko, że wydobyły się na powierzchnię niczym wrzątek z gorącego źródła. Zacisnęłam pięści. - Dlaczego innym się wydaje, że mogą nam dyktować, co mamy robić? Skąd mają wiedzieć, co jest dla nas najlepsze? - Wzięłam głęboki oddech i wycelowałam palcem w Troya. - Szekspir wymyślił tę historię, ale to nie znaczy, że on zdecyduje o losie Julii!

- Już zdecydował - odparł Troy z ironią.

- A ja się na to nie zgadzam - czułam, jak ogarnia mnie wściekłość. - Ona ma swoje własne pragnienia i marzenia. Ktoś powinien pomóc jej uciec od tego straszliwego życia.

I od tej okropnej matki. I od tego przekłętego nazwiska. Słyszysz? Ona musi pozbyć się tego nazwiska!

Przeżyliście kiedyś taką chwilę nagłej jasności, jakbyście wyciągnęli rękę i natrafili na włącznik światła? Zdarza się to czasem w momentach wściekłości. To siła, która zmiata szlam naszych wyobrażeń i odsłania prawdziwe uczucia. Jechałyśmy na tym samym wózku, Julia i ja. Albo inaczej, płynęłyśmy po tej samej wzburzonej rzece, a u ste-

rów stały nasze matki. Do nas należy decyzja, czy zostać na pokładzie, czy wyrócić łódkę do góry dnem!

Julia mogła jeszcze odmienić swój los. Zamierzałam dotrzymać obietnicy, bo czułam w głębi serca, że moją misją było przyjść jej z pomocą. Że jestem tu po to, żeby ją uratować. Nasze losy były splecione ze sobą w jakimś niepojętym, kosmicznym wymiarze.

- Zamierzam pomóc Julii znaleźć rozwiązanie. Zamierzam znaleźć naszą drogę powrotną do domu. Chcę zrobić i jedno, i drugie.

Nie odpowiedział, nie dałam mu szansy.

Wróciłam do izby, w której zostawiliśmy mnicha z Julią.

- Julio - powiedziałam. - Śmierć jest dla ciebie jedynym wybawieniem.

Wyprostowała się. Chciała wyglądać na dzielną dziewczynę.

- Jestem na nią gotowa.

- Ale nie będzie musiała umrzeć, prawda, ojczy? Jest przecież sposób, żeby zainscenizować śmierć?

Czekałam na jego odpowiedź. Na pewno wiedział, o czym mówię, bo od bardzo długiej chwili wpatrywał się w blat stołu. W sztuce Szekspira mnich chce pomóc Julii uniknąć śmierci, ale nie wiadomo, co postanowi w tej zmienionej wersji.

Julia siedziała na podłodze u jego stóp, uczepona rąbka brązowego habitu.

- Ojczy, proszę, powiedz, czy znasz jakieś wyjście? Dotknął swojego srebrnego krzyża i kiwnął głową.

Każda zwłoka niebezpieczna
(Henryk VI, część I, akt III, scena 2)

Ojciec Laurenty, Julia i ja staliśmy w pokoju, w którym suszyły się zioła, a Troy leżał na pryczy, obrażony. Świeży powiew wiatru wpadał przez uchylone okno, przynosząc szaleńczo słodki zapach jaśminu. Nie mieliśmy wiele czasu, żeby zrealizować plan, bo ślub miał się odbyć jutro wieczorem.

Mnich przygotowywał z ziół napój nasenny.

- Jesteśmy w podobnej sytuacji - powiedział do Julii.

- Ja też chciałbym opuścić Weronę.

- Naprawdę?

- Tak. Chciałbym podróżować po wsiach i miasteczkach i leczyć biednych. Moi obecni pacjenci są ludźmi zamożnymi. Mogą płacić aptekarzom i chirurgom. Moje umiejętności powinny służyć tym, którzy nie mają pieniędzy.

Przelał brązowy wywar do szklanej fiolki.

- Ale jestem przykuty do tego miejsca. Nie mogę się ruszyć, dopóki władze kościelne nie udzielą mi pozwolenia

- zakorkował fiolkę i obwiązał ją sznurkiem. - Ten napar potrafi stworzyć wrażenie śmierci. Skóra staje się po nim zimna, a oddech prawie zanika. Po wypiciu wywaru będziesz przytomna już tylko przez dziesięć minut.

Julia powiesiła fiolkę na szyi i ukryła ją pod bielizną.

- Przybędę do pałacu trzy godziny przed uroczystością. Dowiesz się o tym od służby. Wypij wtedy te zioła. Kiedy wejdziemy do twojego pokoju, ogłoszę, że nie żyjesz.

- Czy to na pewno bezpieczne? - spytałam.

- Tak - powiedział i potarł podbródek. - Nikomu jeszcze nie podałem tego leku. Ale stosowali go inni przede mną.

- A co potem? - chciała wiedzieć Julia.

- Piastunka przebierze cię do trumny. A ja odprowadzę cię do rodzinnego grobowca - odparł mnich.

- Jak długo będzie spała? - spytałam.

- Pół dnia, nie dłużej. Przygotuję inny napar, który ją obudzi, gdy będzie trzeba.

Julia skrzywiła się, jakby coś ją nagle zabolalo.

- To się nie uda - powiedziała. - W rodzinie Kapu-letich trzyma się zwłoki na marach przez wiele dni. Nie będę mogła udawać martwej tak długo. Nic z tego.

Ramiona jej opadły i odrzuciła głowę do tyłu.

- Po co ma leżeć na marach całymi dniami, zamknięta w trumnie? - zdziwiłam się.

- Trumna będzie otwarta. Tak każe tradycja. To przeszkoda w naszych planach - wyjaśnił mnich i zaczął spacerować po pokoju.

- Gdyby ciało zniknęło, rodzina zacznie podejrzewać, że to sprawka Montekich. I dojdzie do nasilenia przemocy.

- Mogą nawet odgadnąć prawdę: że udawałam martwą - powiedziała Julia, nerwowo zakręcając na palcach kosmyk włosów. - Zaczną mnie szukać. I zgadną, że miałeś z tym coś wspólnego, ojcze.

- Niezmierzone jest miłosierdzie boskie.

- Musieliby być pewni, że nikt nie przyjdzie oglądać zwłok. Co możemy zrobić, żeby nikt nie przyszedł? - spytałam, bębniąc palcami po stole. Mnich myślał nad tym z taką intensywnością, że wyglądał, jakby go bolał brzuch. Julia też zaczęła spacerować od ściany do ściany. Jej włosy, przedtem przypłaszczone pod kapturem, odzyskały już swoją zwykłą sprężystość i podskakiwały przy każdym kroku.

Przez drzwi zajrzał Troy. Kiedy układaliśmy plan, zachowywał się tak cicho, że zupełnie o nim zapomniałam.

- Wasz plan jest do niczego - powiedział. - Idę po Romea.

Przestałam bębnić i zdjęłam rękę ze stołu. -Ale, Troy...

-To jedyna rzecz, która ma jakiś sens. - Oparł się o ścianę, żeby odciążyc zranioną nogę, i zaczął zapinać koszulę. - Ojczy, gdzie mogę go znaleźć?

- W pałacu Montekich. Na końcu tej właśnie ulicy. -Ale, Troy...

- Nie próbuj mnie zatrzymać, Mimi - powiedział. -Idę po Romea, bo chcę, żeby spotkał się z Julią i żeby się w sobie zakochali, bo tak powinno być. Zrobię to, zanim wpędzisz nas oboje w kłopoty. Nie zamierzam zrywać kontraktu. Nie zamierzam też leżeć na tej pryczy i czekać, aż umrę na zakażenie.

Zaczął schodzić po schodach. Przepadło...

Nagle zerwałam się ze stołka.

- Ojczy, a gdyby tak ogłosić, że Julia umarła na zarazę? Co rodzina zrobi z jej ciałem?

Mnich otworzył usta. Spojrzał na mnie, zaskoczony.

- Na zarazę? Wpadliby w panikę. Nikt nie odważyłby się podejść do zwłok. Zamknęliby je w trumnie i czym prędzej spalili.

- A kto wkładałby trumnę do ognia?

- Kto? Ja sam, oczywiście. A dlaczego o to pytasz? Oczy mu rozblęły i klasnął w dłoń.

- Święty Franciszku, rozwiązaliśmy problem!

Julia zatrzymała się w pół kroku. We włosach miała igielki rozmarynu.

-A wtedy zabierzesz mnie do Mankatanu? Chciałabym zostać aktorką, Mimi, tak jak ty. Zabierzesz mnie tam i zostanę aktorką?

- Chciałabym, ale obawiam się, że to niemożliwe. Nie wiem nawet, czy mnie samej uda się tam wrócić.

Wydeła usta.

- Tak bardzo chciałabym zostać aktorką - powtórzyła. Bo nie wiedziała, jak to wygląda w praktyce. Ale nie

zamierzałam pozbawiać jej marzeń. Jeśli chce zostać aktorką, niech próbuje - pomyślałam. - Życzę jej dużo sił.

- Julia nie może podróżować sama - zauważył mnich. -Świat jest zbyt niebezpieczny dla samotnej dziewczyny. Za każdym zakrętem czają się bandyci i rzezimieszki. A ja nie mogę od razu opuścić Werony. Muszę czekać na dyspensę. I nie mam dość pieniędzy na podróż. Może ty i Troy moglibyście zabrać ją ze sobą.

-Nie, nie możemy tego obiecać. Nie wiadomo, jak długo tu jeszcze pozostaniemy. A pieniędzy my też nie mamy.

Julia położyła głowę na stole. Jej oczy napełniły się łzami.

-Ja też nie mam pieniędzy. Za ledwie kilka miedziaków. Bez pieniędzy będę mogła tylko pójść do klasztoru!

-zaszlochała. -I nie zostanę aktorką.

Życie klasztorne oznaczało ciszę, spokój i odcięcie od świata. Klasztor ochroniłby ją przed gniewem Kapuletich, ale w ten sposób zamieniłaby jedno więzienie na inne. Jak na zakonnicę, miała w sobie o wiele za dużo życia.

- Wymyślimy jakieś rozwiązanie - przekonywałam ją.

- Trzeba będzie tylko znaleźć dla ciebie opiekunów i zdobyć jakieś pieniądze.

- Najlepiej byłoby znaleźć opiekunów z pieniędzmi -zauważył trzeźwo mnich.

Oczywiście! Któż by miał być jej opiekunem, jeśli nie ten, po którym należało się w pierwszym rzędzie spodziewać, że będzie osobiście zainteresowany? I tak nie miał nic lepszego do roboty. Siedział tylko beczynnie i głupio wzdychał do tej swojej Rozaliny. Nawet nie było konieczne, żeby zakochał się w Julii. Wystarczy, jeśli pomoże jej uciec z Werony i urządzić sobie gdzie indziej nowe życie. Przecież sam mówił, że ma kufry pełne złota.

Popędziłam z powrotem do izby, w której stała prycza, i otworzyłam okno w nadziei, że jeszcze zatrzymam Troya.

-Troy! -zawołałam. Był wczesny wieczór, księżyc jeszcze nie wzeszedł. W półmroku widziałam jego niewyraźną sylwetkę. Przystanął i spojrzał w górę, na okno, w którym stałam.

-Troy! -zawołałam znowu. -Poczekaj na nas! Zabiorę Julię i pójdziemy razem do ROMEA. On nam pomoże wyplątać ją z tego małżeństwa, jestem pewna.

Troy wpadł do izby, wściekły.

- Tam jest Tybalt - powiedział. - Zauważył mnie. Zaryglowałem drzwi od kościoła, ale nie wytrzymają długo, bo się dobija!

Tybalt? Rzuciłam się do okna. O mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam!

-Julio! - wrzeszczał z ulicy Tybalt. - Wiem, że tam jesteś, razem z tym łotrem od Montekich! Wychodź albo wywalę drzwi!

-Musiał mnie śledzić - wykrztusiła Julia. - Och, Mimi, ściągnęłam na was niebezpieczeństwo!

- Ojciec - odezwał się Troy. - Czy jest tu jakieś tylne wyjście?

- Niezmierzone jest miłosierdzie boskie - mnich sięgnął po latarnkę, która stała na stole, i zapalił w niej świeczkę. - Mamy tu stary korytarz, biegnący pod zakrystią. Ale nie był używany od lat. Ojciec Hugo w swoim czasie w największej tajemnicy wybudował go dla swojej kochanki.

- Julio! - zaryczał Tybalt.

- Powinnam zejść do niego - powiedziała Julia. - Jeśli to zrobię, być może zostawi was w spokoju.

Nie liczyłabym na to. Troy i ja za bardzo mu podpadliśmy.

- Co zrobią twoi rodzice, kiedy się dowiedzą, że uciekłaś? I że spotkałaś się z jednym z Montekich?

-Nie zrobią mi krzywdy. Nie w przeddzień ślubu. Nic mi nie grozi. Bądź o mnie spokojna, Mimi.

Wskazałam miejsce, gdzie pod suknią ukryła fioletkę.

- Pamiętaj, masz to wypić dopiero po przybyciu ojca Laurentego, przed samą uroczystością. A my tymczasem pomyślimy o szczegółach - starałam się, żeby mój głos za-

brzmiał pewnie, bo chciałam ukryć narastający lęk. - Zobaczymy się, kiedy mikstura przestanie działać.

Uściskałyśmy się znowu. Czułam, że Julia jest tak samo napięta jak ja. Cała ta sytuacja wydawała się beznadziejna. W co ja się wdałam i czym się to skończy? Och, niechże się to skończy szczęśliwie! Gdyby czas nie naglił, padłabym na kolana i modliła się do Świętego Franciszka.

Ale Tybalt już dobijał się do drzwi kościoła.

-Chodźcie - powiedział mnich. Znowu włożyłam pantofle z drewnianą podeszwą, w których palce omdlewały mi z bólu przy każdym kroku. W ślad za mnichem zeszliśmy do świątyni. W ciemności ołtarz jaśniał światłem świec. Tybalt wrzeszczał za drzwiami, waląc w nie ze wszystkich sił. Ojciec Laurenty podbiegł do figury Świętego Franciszka, ucałował jego stopy, po czym lekko popchnął posąg. Figura odjechała do tyłu na ukrytych szynach, odsłaniając otwór w podłodze.

- Musisz zamknąć za nami wejście do podziemi - powiedział mnich do Julii i nakreślił znak krzyża nad jej głową. - Niech Święty Franciszek czuwa nad tobą i prowadzi cię bezpiecznie do domu.

Zeszłam do wilgotnych podziemi ostatnia. I zatrzymałam się, kiedy figura wróciła na swoje miejsce. Czekałam, nasłuchując. Ledwie zniknęły mi z oczu pryszcze Julii, zaczęłam mieć wątpliwości. Nie chciałam ruszyć się z miejsca, póki nie usłyszę, co się dalej stanie. Julia wyciągnęła rygiel z drzwi.

- Zdrajczyni! - wykrzyknął Tybalt. - Zawlokę cię do pałacu na oczach wszystkich! Zostaniesz wydziedziczona! Gdzie on się podział, ten z raną w nodze? Zabiję go za to, że cię sprowadził na manowce!

- Nie zrobisz tego - ton Julii zaskoczył mnie. - Mój ślub przyniesie ci korzyści nie mniejsze niż innym. Zaprowadzisz mnie do domu i odstawisz bezpiecznie do mojego pokoju tak, żeby ślub mógł się odbyć jutro zgodnie z planem. Twój los zależy od tego tak samo jak mój.

Dobrze powiedziane. Na szóstkę z plusem.

- I co będzie dalej? Przyjdzie Romeo, żeby cię uwolnić? Taki masz plan?

Zapadło długie milczenie. Mnich, Troy i ja wstrzymaliśmy oddechy.

- Jesteś szalona i fantazjujesz jak małe dziecko - rzucił w końcu Tybalt. - Nic cię nie uratuje przed tym ślubem. Gdyby ktoś chciał w nim przeszkodzić, musiałby mnie przedtem zabić!

Usłyszeliśmy szmer. Pomyślałam, że pochwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Wrócisz bezpiecznie do swojego pokoju. Ale potem wyślę swoich ludzi do tego kościoła. Przeszukamy całe miasto. Znajdziemy tego drania z raną w nodze i tę Mimi z Mankatanu. I Romea. Sam, osobiście ich pozabijam.

Znowu... Dość już miałam słuchania tych gróźb.

- Wygląda na to, że ona sobie z nim poradzi - powiedział Troy.

- To jak? Pójdiesz ze mną po Romea?

- Tak. - Ale nie wspomniałam o swoim najnowszym pomysle.

Spacery po szesnastowiecznych podziemnych korytarzach nie są rozrywką dla tchórzy. Raz po raz coś spadało na mnie z sufitu. Nie pytajcie, co to było, nie miałam dość odwagi, żeby się temu przyjrzeć. Czułam chłód i zapach stęchlizny. Jeśli istnieją miejsca, które zabójcza czarna

pleśń bierze w swoje wyłączne posiadanie, ten korytarz na pewno do nich należał. Wyobraziłam sobie, jak osiadają w moich płucach jej mikroskopijne zarodniki. Innym minusem tego korytarza były odgłosy: ciągle coś w nim piszczało i chrobotowało. Bez wątplenia coś żywego. Od czasu do czasu ocierało się to coś o nasze łydki podczas marszu. Kilka razy zdarzyło mi się krzyknąć, z czego nie byłam dumna. W obecności szczura z miejsca stawałam się przerażoną dziewczynką. Ale i Troy wydawał z siebie na przemian przekleństwa i jęki. Dla kurażu zaczął w końcu podśpiewywać swoją piosenkę: „Dziewczyno, oooo, oooo, oooo, dziewczyno!”. Ja też próbowałam ją nucić. Nawet mnich szybko podchwycił tę wpadającą w ucho melodię. Podczas naszych wokalnych popisów dwa razy wpadłam na Troya. Za pierwszym razem zamilczał. Za drugim zawołał gniewnie:

- Mimi, uważaj na moją nogę!

Ostatnią, ale wcale nie najmniej ważną z przykrych okoliczności, była głęboka na trzy cale warstwa wody na kamiennej podłodze. Woda chlupotała mi w butach. Wolałam nie zastanawiać się, jaką ma barwę. Skronie rozsadzał mi ból, wywołany przez brak tlenu w powietrzu, a być może także przez toksyny pleśni. Przypomniłam mi się masaż głowy, który zrobił mi Benwolio, kiedy rozpuszczał moją wymyślną fryzurę. Zateśkniłam za takim masażem. Czyżbym naprawdę chciała, żeby znów zanurzył dłonie w moich włosach? Nie myłam ich już od dawna i od dawna nie myłam też zębów. Po tłustym makijażu, który Alfonso zrobił mi przed balem, na pewno miałam na twarzy przynajmniej tuzin pryszczycy. I byłam świadoma, że nieświeży zapach, który rozchodził się w tunelu, nie pocho-

dził tylko od Troya. Owszem, ulegałam odruchom próżności, mimo groźby śmierci, która wisiała nad moją głową.

- Jesteśmy prawie u celu - powiedział mnich. Lampa kołysała się w rytm jego drobnych kroczków.

Tunel wznosił się coraz wyżej i po jakichś trzydziestu krokach mogliśmy się przekonać, że kończy się ślepo. Mnich podał latarnię Troyowi.

- Wyjście znajduje się nad nami.

Jęcząc i sapiąc, pchał płytę stropu, aż ustąpiła. Z zewnątrz wpadło trochę mdłego światła, w którym ujrzeliśmy wiązki słomy.

-Ta stodoła sąsiaduje z terenem kościoła - wyjaśnił mnich. - Właściciel jest nam przyjazny, ale mimo to musimy zachować ostrożność.

Troy pomógł mnichowi przepchnąć obszerny tyłek przez otwór, a potem sam podciągnął się i wyskoczył. We dwóch złapali mnie za ręce i wyciągnęli na powierzchnię.

Okrągły księżyc właśnie wschodził. Stojąca nieopodal krowa obrzuciła nas ciekawskim spojrzeniem. W stadku kur wybuchło poruszenie, ale już po chwili wszystkie znów schowały dzioby w piórach i spały dalej. Ojciec Lau-renty podniósł latarnię, zgasił ją i pozostawił w stodole.

- Tą boczną uliczką dojdziemy do pałacu Montekich - powiedział szeptem.

-Powinniśmy odszukać Romea, zanim dopadnie go Tybalt - przypomniałam.

- Przecież Tybalt musi dopaść Romea. I Romeo go zabije - upierał się Troy. - Z pożytkiem dla nas, bo dzięki temu Tybalt nie zdoła nas załatwić.

Miał słuszość o tyle, że w sztuce Szekspira Romeo zabija Tybalta. Ale wbrew temu, w co chciał wierzyć Troy,

świat, w którym się znaleźliśmy, nie był sztuką Szekspira. *Ten* Romeo wyglądał na łagodnego chłopaka o sercu pełnym miłości, o duszy pełnej melancholii, a *ten* Tybalt był tępym osiłkiem o sercu pełnym nienawiści i duszy dyszącej żądzą zemsty. Dla *takiego* Tybalta *taki* Romeo nie był żadnym przeciwnikiem. Przyśpieszyłam kroku.

- Święty Franciszku - mruczałam pod nosem. - Miejmy nadzieję, że się nie spóźnimy.

Romeo!

Czemuż ty jesteś Romeo!

(Romeo I Julia, akt II, scena 2)

Zbliżaliśmy się do okazałej kamiennej fortecy. Wejścia pilnowali mężczyźni w czarno-pomarańczowych strojach. Była to masywna, rzeźbiona dwuskrzydłowa brama oświetlona pochodniami. Mnich uklonił się i zaczął rozmawiać z wartownikami, ci zaś kazali nam czekać. Troy i ja obserwowaliśmy ulicę. Na szczęście nikt nie deptał nam po piętach. Choć sądziłam, że to pora wieczery, cała okolica wydawała się pogrążona we śnie. Widocznie ciężko pracujący ludzie wcześniej kładli się spać. I było to całkiem rozsądne, skoro nie mieli w domach elektryczności ani telewizji.

Z pałacu Montekich wyszedł jakiś mężczyzna. Był wysoki i smukły, nosił rajtuzy w szachownicę, czerwone pludry i błękitną bluzę z bufiastymi rękawami. Z pewnością nie były to barwy Montekich. Na ramiona opadały mu płomiennie rude włosy. Zdjął kapelusz z piórami i uklonił się zamaszyście.

- Ojciec Laurenty, jakże miło znowu cię widzieć.

- Dobry wieczór, Merkurcjo - odpowiedział mnich. Zupełnie zapomniałam o tej postaci! Merkurqo nie był Kapuletim ani Montekim, był za to przyjacielem Romea.

Aktorzy uwielbiali tę rolę, bo zawierała długie monologi i wspaniałą, wzruszającą scenę śmierci z rąk Tybalta. - Chciałbym ci przedstawić Mimi i Troya z Mankatanu. Mają ważną sprawę do Romea.

Merkurcjo skłonił się znowu i umieścił kapelusz z powrotem na głowie. Pióra musnęły jego upudrowany policzek.

- Mój młody przyjaciel zamknął się w swoim pokoju i z nikim nie chce rozmawiać. Sam próbowałem go stamtąd wyciągnąć, na próżno. Chodźcie, może będziecie mieli więcej szczęścia.

Ojciec Laurenty odciągnął mnie na stronę.

- Muszę wracać do siebie - powiedział. - Jeśli nie będzie mnie w kościele, kiedy przyjdą ludzie Tybalta, mogą narobić mi zniszczeń.

- Ale co im ojciec powie, jeśli spytają o nas?

- Powiem im, że mój kościół jest miejscem, w którym każdy, czy to Kapuleti, czy też Monteki, może liczyć na pomoc i opiekę - powiedział i uśmiechnął się. - Resztę zostawiam wam. Romeo bardzo dobrze zna miasto, więc bez trudu wymknie się z Julią z Werony. Jutro, gdy zegar wybije północ, będziecie wiedzieli, że Julia wypła już miksturę. Wkrótce potem spotkamy się przy grobowcu Kapuletich.

Musiałam wyglądać na bardzo przestraszoną, bo dla dodania otuchy uścisnął moje przedramię.

- Niezbadane są drogi miłosierdzia Bożego, moje dziecko. Wierzę, że twój naszyjnik był Jego narzędziem. Twoje przybycie do Werony miało ważny cel. Musimy ufać Bogu, lecz odwaga też jest potrzebna.

Jeszcze raz uścisnął mi przedramię i ruszył w drogę.

W pałacu Montekich, tak samo jak u Kapuletich, na ścianach korytarza wisiały, jeden przy drugim, portrety rodzinne i pejzaże. Merkurcjo, prowadząc nas do pokoju Romea, gadał bez przerwy o wystroju tych wnętrz. Był zwyczajnym nudziarzem. Kiedy szedł, najpierw stawiał palce, potem pięty. Raz po raz wycierał dłonie w chusteczkę jak nadpobudliwy dyrygent orkiestry.

- Jest tu gdzieś Benwolio? - spytałam. Troy parsknął śmiechem jak na zawołanie.

- Prowadzi patrol, ale wróci niebawem. Oto jesteśmy u celu - oznajmił Merkurcjo z wdzięcznym ukłonem.

Pod drzwiami czekał służący z koszem czystej bielizny.

- Panicz nie życzy sobie, żeby go niepokoić - powiedział. - Miałem mu pomóc w kąpieli i zmianie bielizny, ale nie chciał o tym nawet słyszeć.

- Uparty jak osioł - skwitował Merkurcjo i zastukał pięścią w drzwi. - Romeo! Szalony człowieku! Mój zakochany przyjacielu! Odezwij się! Albo chociaż zaśpiewaj piosenkę. Może to być też sonet. Powiedz cokolwiek do rymu, a zadowolisz mnie!

- Odejdź precz.

- Odejdź precz... To się, mój drogi, wcale nie rymuje

- Merkurcjo skrzyżował ramiona na piersi. - Proponuję coś takiego: „Włóż futro i przyjdź jutro”. Albo coś takiego: „Najedz się siana i czekaj do rana”.

- Precz, powiedziałem do tego bałwana.

- Jesteś urodzonym poetą, tylko jeszcze o tym nie wiesz

- Merkurcjo przekrzywił kapelusz na bakier. - Otwórz i oczaruj nas swoimi rymami.

- Kiedy Rozalina mnie pokocha, nie wcześniej.

- Mój chłopcze, jeśli kobieta nie chce pokochać, to nie pokocha. Każda z nich ma taką władzę nad swoim własnym sercem, jakiej my nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Zgodzisz się ze mną, Mimi?

Lecz kobieta, do której się zwrócił, nie miała zgoła żadnej władzy nad własnym sercem. W jednej chwili biło dla Troya, a już w następnej dla Benwolia. Poczulałam na sobie spojrzenie Troya i wzruszyłam ramionami.

- Skierowałeś to pytanie do niewłaściwej osoby. -Przenigdy nie otworzę! - wrzasnął zza drzwi Romeo.

Ja też tak krzyczałam, dokładnie przed pierwszą próbą do *Romea i Julii*, kiedy zamknęłam się w swoim pokoju. Matka była wściekła.

-Podpisałaś kontrakt z Teatrem Wallingford! Nie zmuszaj mnie, żebym wezwała z dołu portiera! Jeśli to będzie konieczne, rozkręci zamek. Wyciągnę cię stamtąd!

Nawet czarno-biały kot z przeciwka rozumiał, że moja sytuacja jest beznadziejna. Nie chciał oglądać tej sceny. Miauknął i zeskoczył z parapetu.

- Nigdy nie otworzę! Nie chcę grać Julii! W ogóle nie chcę już nigdy więcej grać!

- Nie masz wyboru. Jedyłą rzeczą, jaka mogłaby cię zwolnić z kontraktu, jest ciężka choroba - odpowiedziała matka, nerwowo chodząc pod drzwiami tam i z powrotem. - Mimi Wallingford, słyszysz mnie? Wychodź natychmiast!

Ciężka choroba! Mój Boże, czyżby Troy miał rację? Więc miałam własne powody, żeby rozwinąć w sobie chorobliwą treść? I byłam przypadkiem tak żalnym, że uczyniłam to w zupełnej nieświadomości?

- Romeo - odezwała się - to my, Mimi i Troy.

- Mimi z Mankatanu? A Troy to ten śpiewak ranny w nogę?

-Tak.

- Śpiewak? Jesteś śpiewakiem? - zainteresował się Merkurcjo i odrzucił do tyłu swoje płomiennorude włosy. - Ja też umiem śpiewać. W repertuarze mam głównie swoje własne pieśni. Na pewno słyszałeś moją piosenkę „Dziewuszko, schrupię cię jak jabłuszko”.

-Niestety nie - odparł Troy, przewracając oczami. -Romeo, bądź kumplem, wpuść nas! Musimy z tobą o czymś porozmawiać.

- Wpuść nas, Romeo! - jęknęłam.

- Czyżby to piękna Mimi się do mnie odezwała? - głos Romea dobiegał teraz ze szpary pod drzwiami. Uklękałam i przysunęłam usta do tej szpary tak blisko, jak tylko było to możliwe. - Przyszłaś, żeby powiedzieć mi coś o miłości? Odgadłaś, dlaczego Rozalina mnie nie chce?

I rozmawiaj tu z takim, dla którego istnieje tylko jeden temat.

- Tak - skłamałam. - Wpuść mnie, bo chcę ci coś ważnego powiedzieć.

- Romeo, Romeo! - zawołał Merkurcjo, klękając obok mnie. - Rozalina cię nie pokocha, bo jest głupia jak bela lnu. Chodź z nami do ogrodu, będziemy śpiewać piosenki i weselić się. Troy obiecał, że zaśpiewa ze mną moją piosenkę „Dziewuszko, schrupię cię jak jabłuszko”.

- Nie, chyba nie dam rady - powiedział Troy.

-To może wolisz „Dzieweczko, przyjdź do mnie ze świeczką”?

W zamku zgrzytnął klucz. Merkurcjo i ja zerwaliśmy się na równe nogi. W szparze zobaczyliśmy oko Romea.

- Tylko panna Mimi - powiedział. - Tylko z nią chcę rozmawiać.

Merkurcjo klepnął Troya w plecy.

- Pałac Montekich słynie z kolekcji instrumentów muzycznych, do wyboru, co kto lubi. Chodźmy na dziedziniec, tam zaśpiewamy nasze pieśni. Mam w głowie wiersz, do którego jeszcze nie ułożyłem melodii.

- Idź z nim - powiedziałam do Troya. - Ja tu załatwię wszystko jak najlepiej.

Troy nie wyglądał na przekonanego. Zbliżył usta do mojego ucha.

- Nie zapominaj, że to fikcja, Mimi. Historyjka, którą musimy doprowadzić do zakończenia.

Jego oddech ogrzewał mi ucho. Przymknęłam na chwilę oczy. Pamiętałam, jak Benwollio łaskotał mnie, rozczesując moje włosy palcami. Oddech Troya też mnie łaskotał, aż dreszcz przeleciał mi po plecach. Otworzyłam oczy i przekonałam się, że na mnie patrzy. Nie, nie mogłam się oszukiwać, że go nie lubię. Uratował mi życie. Zaufał mi tak dalece, że pozwolił mi oczyścić ranę. Dzielił ze mną kłopoty i znał moje tajemnice.

Gdy tylko Merkurcjo odszedł z Troyem, Romeo uchylił drzwi szerzej i wpuścił mnie do środka.

- A bielizna, paniczu? - zawołał sługa. Romeo wziął kosz i podziękował. -Ale...

- Sam się ubiorę. Możesz odejść.

Pokój Romea musiał chyba urządzać jakiś dekorator z piekła rodem. Cały był w barwach Montekich, czarno-pomarańczowych. Jakby za chwilę miało się w nim odbyć przedstawienie z okazji Halloween. Od tego połączenia kolorów mąciło mi się w głowie. Doszłam do wniosku, że

ten okropny pokój może być główną przyczyną depresji Romea.

- Witam w moich progach, panno Mimi. Ale kiedy już tu jesteś, pamiętaj, nie możesz się przyznać przed nikim, że pochodzisz z rodu Kapuletich. Moi rodzice nienawidzą Kapuletich i ślubowali, że albo wypędzą ich z Werony, albo też zabiją. - Jego twarz przybrała zatroskany wyraz, jaki widywałam tylko u psów rasy basset. - Przez to miasto toczy swoje wody wzburzona rzeka nienawiści. Czujesz to? Nienawiść, nienawiść, wszędzie nienawiść. Moi krewni nie umieją mówić o niczym innym. Nienawiść zabiera ludziom wszystkie siły.

Wydawało mi się, że czuję to samo co on. Choć może to wystrój jego pokoju doprowadzał mnie do rozpacz.

- Tylko miłość może uwolnić mnie z więzienia, jakim jest nienawiść. Tylko miłość.

- Tylko miłość? - powtórzyłam i nagle zaniemówiłam ze zdumienia. - Co to jest? Wanna?

W kącie pokoju Romea, tuż przy parawanie wygodki, stało ogromne fajansowe naczynie, wypełnione wodą. Czystą wodą, na której unosiły się płatki róż. Zanurzyłam w niej rękę. Była ciepła.

- Romeo, będziesz się kąpał w tej wodzie?

- Jestem zbyt zmęczony na kąpiel - odparł, siadając na łóżku.

- Mogę wykapać się zamiast ciebie?

Przestawiłam parawan i zrzuciłam pantofle. Dopasowana w talii suknia nie dawała się zdjąć, więc szarpnęłam i zerwałam sznurówki, na które była zawiązana. Nie zawracając sobie głowy odpinaniem rękawów, ściągnęłam ją w całości przez głowę i powiesiłam na parawa-

nie. A potem koszulę, halkę, stanik i majtki. Weszłam do wanny i omal nie rozplakałam się ze szczęścia. Nigdy jeszcze ciepła woda nie wydawała mi się tak cudowna. Zanurzyłam w niej głowę i sięgnęłam po mydło o cytrynowym zapachu.

- Romeo! - zawołałam. - Kiedy spotkałam cię w sadzie morelowym, mówiłeś mi, że masz kufer pełen złota. Czy to prawda?

- Mam tyle złota, że nie przeliczyłabyś go.

Z radości poruszyłam energicznie palcami u nóg.

-I powiedziałeś mi przed chwilą, że tylko miłość może cię uwolnić z więzienia nienawiści. Mówiłeś to na serio?

- Tak, tylko miłość. Miłość Rozaliny.

- A gdyby w grę wchodziła inna miłość?

- Kocham tylko Rozalinę. Namydliłam sobie ramiona.

- Rozumiem, ale to nie jest prawdziwa miłość. Wiem, myślisz, że najprawdziwsza, ale, uwierz mi, to tylko zauroczenie. Kiedyś też to przeżyłam. Nie mogłam zapomnieć o pewnym chłopaku, rozmyślałam o nim każdego wieczoru. - Prawdę mówiąc, to mi wcale nie przeszło, ale Romeo nie musi zaraz wiedzieć wszystkiego. Wolno trochę pomanipulować prawdą, kiedy idzie o życie. Nawet o dwa życia. A może i więcej.

- Rozumiem, bo ja też wciąż myślę o Rozalinie.

- No, właśnie. - Znowu zanurzyłam głowę, zastanawiając się, czy Benwolio lubi zapach cytryny. - Ale szybko o tym zapomnisz, kiedy poznasz kogoś innego.

Obok wanny czekał stos złożonych w kostkę ręczników. Zaczęłam drzeć, więc okręciłam włosy ręcznikiem,

a w inny ręcznik zawinęłam się cała. Woda w wannie przybrała taki kolor, że się zawstydziłam. Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było włożenie tej sukni, którą dopiero co zdjęłam. Była ciężka, brudna i w dodatku naznaczała mnie jako złodziejkę. Miałam wrażenie, że rozmiar Romea mógłby na mnie pasować.

- Romeo, czy mogę pożyczyć od ciebie ubranie? -Bierz wszystko, co chcesz - mruknął. Spojrzałam

znad parawanu. Był odwrócony do ściany i uderzał w nią nożykiem, odłupując zwietrzały tynk. Wskoczyłam na chwilę i złapałam kosz z ubraniami. Jego czarne rajtuzy pasowały na mnie idealnie. Pomarańczowe pludry były trochę zbyt luźne, ale ściągnęłam je ręcznie tkanym paskiem. Co za ulga, nie musieć dźwigać dwustu funtów aksamitu. Przy ścianie stała para butów uszytych z delikatnej, dobrze wyprawionej skóry. Włożyłam je i westchnęłam. Byłam jak nowo narodzona.

Romeo rzucił się na łóżko i wystawił głowę ponad oparciem.

- Powiedz mi, dlaczego Rozalina nie chce mnie pokochać...

- Bo Rozalina nie jest ci przeznaczona. Ma cię pokochać ktoś inny.

Zsunął się z łóżka i usiadł na podłodze, mocno obejmując kolana ramionami. -Kto?

Jego spojrzenie było tak ciężkie od bólu, że powieki same opadały. Usiadłam obok niego, zdziwiona, że nagle przeppełniły mnie uczucia macierzyńskie. Chciałam pogłaskać go po rozczochranych włosach, ale nie zrobiłam tego. Byłam od niego starsza zaledwie o dwa lata, a jeśli

chodzi o miłość, nie miałam więcej doświadczenia niż on i tak samo brakowało mi dojrzałości. Ale wiedziałam, jak to jest, kiedy czujemy się samotni i zagubieni.

- Romeo, nie przyszedłeś na bal Kapuletich. Ona tam była, miałeś szansę ją poznać. Gdybyście się spotkali, jestem pewna, że polubilibyście się.

Nie powiedziałam mu, że na pewno pokochaliby się od pierwszego wejrzenia. Sama miałam jakiś kłopot z pojęciem przeznaczenia. Matka powtarzała mi, że mój los był rozstrzygnięty, zanim się urodziłam i przypieczętowany złotą pieczęcią Wallingfordów. Można by w ten sposób spojrzeć i na los Romea, którego William Szekspir stworzył w jednym tylko celu. Ale kto powiedział, że on i Julia nie mogą zostać po prostu przyjaciółmi?

- Ta dziewczyna ma na imię Julia i mieszka na drugim końcu miasta. Należy do rodu Kapuletich. Rodzina zmusza ją do małżeństwa. Ona nie chce wychodzić za tego człowieka, bo go nie lubi i nie ufa mu. A ojciec Laurenty dał mi do zrozumienia, że to zbrodnicze. Julia zamierza uciec z Werony. Ale nie może tego zrobić bez opiekuna i pieniędzy.

- Dlaczego mi o niej mówisz?

- Bo mam nadzieję, że zechcesz zostać jej opiekunem.

- Mam opiekować się dziewczyną z rodu Kapuletich? Powinienem ich nienawidzić, tego wszyscy ode mnie oczekują.

- I nienawidzisz ich? Westchnął.

- Nie. Nikogo. Nigdy.

Wierzyłam mu. Był rzadkim przypadkiem człowieka niezdolnego do nienawiści. Pomyślałam, że pod pozorami

płaczliwości kryje się w nim klejnot prawdziwego człowieczeństwa.

- Julia potrzebuje twojej pomocy, Romeo. Pomożesz jej? Długo czekałam na jego odpowiedź. Miałam nadzieję,

że się zgodzi. Powinien się zgodzić. Nie miałam bladego pojęcia, jak wygląda świat poza Weroną. Gdybym towarzyszyła Julii w jej ucieczce, schwytano by nas tak łatwo jak ślepe szczenięta. Ale moje nadzieje rozwiały się, kiedy potrząsnął głową, krótko i zdecydowanie.

- Nie, nie mogę stąd wyjechać. Co będzie, jeśli Rozalina zmieni zdanie?

Zerwałam się na nogi. Potrzebowałam słów, które nim wstrząsną i obudzą go z tego snu.

- O czym ty w ogóle mówisz? Zamierzasz dalej leżeć w tym pokoju, wzdychając do dziewczyny, która nigdy na ciebie nie spojrzy? Ona postanowiła poświęcić się Bogu! Nie rozumiesz tego? Marnujesz życie, licząc na związek, który jest od początku wykluczony! - Nie wiedziałam już, jak do niego dotrzeć. W tych czarno-pomarańczowych ścianach zaczynałam się dusić. A czas uciekał. - Czy nie mówiłeś, że czujesz się tu uwięziony? To okropne być więźniem. Znam to uczucie aż za dobrze. Być może wszyscy troje jesteśmy więźniami.

- Wszyscy troje więźniami?

- Tak. Każde z nas tkwi w pułapce - powiedziałam. - Nie wiemy nawet, czy kiedykolwiek uda nam się z Troyem wrócić do domu. Być może przyjdzie nam zacząć nowe życie w okolicach Werony. Ale wiem na pewno, że Julia *nie może* tu zostać. Wyjazd jest jej jedyną szansą na prawdziwą wolność. Każdy, kto jej w tym pomoże, narazi się na niebezpieczeństwo. Nie mam prawa namawiać cię, żebyś

ściągnął je na siebie. Ale pomyślałam sobie, że dobrze by ci to zrobiło, gdybyś na jakiś czas wyniósł się z tego miasta. Gdybyś uciekł od nieszczęśliwej miłości. I od nienawiści. - Objęłam ramionami kolana. - Jest taka młoda. Sprzedają ją temu człowiekowi, a ona jeszcze nie skończyła czternastu lat.

- Rozalina też ma czternaście lat - powiedział Romeo. Wstał i wyprostował się. Nigdy wcześniej nie wydawał mi się taki wysoki i barczysty. - Zabiłbym tego, kto chce ją sprzedać.

Podszedł do kufra i wyciągnął z niego zamszową torbę, po czym napełnił ją złotymi monetami. Torbę przytroczył do pasa.

- Pomogę jej. Kiedy wyruszamy?

- Naprawdę? - szybko wstałam. - Naprawdę chcesz pomóc?

Kiwnął głową. Uściskałam go. Romeo przemienił się na moich oczach z drugorzędnej postaci o niezbyt sympatycznych cechach w najprawdziwszego głównego bohatera.

- Wyruszamy natychmiast. Trzeba poszukać Troya. Dzięki głosowi Merkureja, który słyszałam z daleka,

wiedziałam, gdzie znajdę ich obu. Jego falset dochodził z głównego dziedzińca. Zorientowałam się, że zdążył już przerobić piosenkę Troya na własną modłę.

Dzieweczko, męcę się za dwóch, Dzieweczko, dla cię puszczam w ruch, Dzwony miłości, dzwony miłości. Dzieweczko, dla cię wciąż układam, Dzieweczko, dla cię wypowiadam Rotę miłości, rotę miłości.

*Dzieweczko, oooo, oooo, oooo, oooo, dziewczeczko,
O tobie to śpiewam, waćpanna.*

Merkurcjo spowolnił hip-hopowe tempo i całkowicie zmienił rytm. Kiedy przestał śpiewać, zagrał na flecie melodię, podczas gdy Troy brzdąkał w struny mandoliny. W czystych ciuchach i wygodnym obuwiu czułam się o niebo lepiej niż przedtem. Kiedy szłam w ich stronę u boku Romea, czułam, że mam szansę ze wszystkim sobie poradzić. Nuciłam pod nosem piosenkę Troya. Ale nagle stało się coś takiego, że omal nie zemdlałam. Ujrzałam Benwolia na ławce w kącie dziedzińca. Na jego kolanie siedziała kobieta.

I Benwolio ją całował.

Miłość prawdziwa
nie biegnie bitym gościńcem
(*Sen nocy letniej*, akt I, scena 1)

W świetle pochodni widziałam klasyczny profil Benwolia, gdy szeptał coś do ucha, które nie było moje. Kobieta chichotała.

Stałam bez ruchu i jeszcze wciąż miałam nadzieję, że patrzę na kogoś, kto jest do Benwolia podobny. Może nawet podobny jak bliźniak, jak sobowtór. Ale przecież nie może to być *mój* Benwolio.

Z początku nie zwrócił na mnie uwagi, bo byłam przebrana po męsku. Ale inni mnie zauważyli.

- Romeo! Więc jednak wynurzyłeś się ze swojej jamy - zawołał Merkurcjo, kręcąc fletem, jakby to była pałeczka magika. - A to kto? Ach, tak. Owieczka w wilczej skórze.

- Mimi, to ty? - spytał Troy. Benwolio szorstko odepchnął kobietę.

- Idź - powiedział. Przestała chichotać i uciekła. Wtedy wstał pospiesznie i podszedł do mnie długimi krokami. Chwyciwszy moje dłonie, pocałował obie. Pozwoliłam mu na to, bo na plecach czułam palące spojrzenie Troya. Postanowiłam zagrać tę scenę bez emocji.

-Mimi - odezwał się Benwolio. - Twoja uroda zawstydzia świat jarzących blaski.

Co takiego? Już raz mi to mówił - pomyślałam. Widocznie to jego stały greps.

Szekspir napisał w *Otellu*, że zazdrość to zielonooki potwór, który pożerając ofiarę, jeszcze z niej szydzi. Inaczej mówiąc, zazdrość jest zdolna z rozsądnego człowieka zrobić idiotę. Więc opanowałam swój gniew i nie podniosłam głosu na Benwolia. Nie spoliczkowałam go. Bo czy miałam prawo do zazdrości? Przecież chyba nie mieliśmy jeszcze wobec siebie żadnych zobowiązań? Jasne, że nie. Rozmowa o ewentualnym małżeństwie to nie to samo co oświadczyzny. Zresztą wcale nie kwapiłam się wychodzić za męża. Chciałam tylko mieć chłopaka. Niechby nawet i takiego z szesnastego wieku. Miłego, kochającego, lojalnego chłopaka. Czyżbym oczekiwała zbyt wiele?

- Nie zauważyłem cię, kiedy nadeszłaś - powiedział tonem usprawiedliwienia.

To było oczywiste.

- Dlaczego włożyłaś ten strój? - Obszedł mnie dookoła krokiem dzikiego kota. Chyba nigdy nie widział kobiety ubranej po męsku.

- Mimi - szepnął do mnie Romeo - muszę jeszcze załatwić coś przed wyjazdem. Niebawem wracam.

I zniknął.

Benwolio otoczył ramieniem moją talię i poprowadził mnie do ławki, na której przed chwilą oddawał się amorom. Za naszymi plecami rosło podparte tyczką drzewko cytrynowe.

-Mimi - zaczął, sadowiąc się tak blisko, że czułam ciepło jego ciała. Jego słowa nabierały zapachu rozgrzanej cytrynowej skórki. - Kupidyn przeszył moje serce strzałą, gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem w sadzie morelo-

wym. - Pochlebiłoby mi to, gdyby nie scena, której przed chwilą byłam świadkiem. Teraz jego słowa wydawały mi się jedynie sprytną sztuczką. - Zastanowiłaś się nad moją propozycją?

-Możemy o tym porozmawiać? - spytałam, mając nadzieję, że pójdziemy gdzieś, gdzie Troy nie będzie nas słyszał. Bo chociaż Troy wydawał się zaabsorbowany muzyką, raz po raz spoglądał w moją stronę.

Uśmiech Benwolia wydał mi się nieszczerzy.

- Oczywiście.

Poprowadził mnie wzdłuż ogrodowego muru przez sklepione przejście do pomieszczenia, w którym półki ugiwały się pod lnianymi ręcznikami i prześcieradłami.

- Nie mamy dużo czasu. Pełnię dziś nocną służbę.

- Więc jeśli chodzi o twoją propozycję...

- Mimi... - powiedział tylko. I zamknął mi usta pocałunkiem.

Cóż, byłam zła na niego, ale przecież szalałam za nim, odkąd spotkaliśmy się w tym morelowym sadzie. Nie mogłam się powstrzymać, oddałam mu pocałunek. I on mi oddał pocałunek, a potem ja znów jemu, i on mnie, i tak całowaliśmy się bez końca, aż usta mi spuchły i zaczęły piec. Aż zrobiło mi się ciemno w oczach, ale nie od miłosnych uniesień, tylko ze znudzenia.

Otóż to. Ze zwyczajnego znudzenia.

Jesteście zaskoczeni? Ja też byłam zaskoczona. Co u licha jest ze mną nie tak? Jak mogłam się znudzić, całując kogoś takiego jak Benwolio, mężczyznę o czarnych lokach i czekoladowych oczach, który miał twarz i ciało jak młody bóg? Ale w jego pocałunkach była pustka. Nie umiem tego inaczej określić. Dodałam tę sprawę do coraz

dłuższej listy spraw, które powinnam omówić z doktorem Harmony. Trzeba się będzie zastanowić, czy przypadkiem nie jestem stuprocentową lesbijką. Taka wiadomość byłaby dla mojej matki katastrofą.

- Więc załatwione? Zostaniesz moją żoną? - spytał, łapiąc oddech.

Oj... Nie przewidziałam, że całowanie się w szesnasto-wiecznym składziku z lnianymi prześcieradłami oznacza oficjalne zaręczyny. Położyłam dłonie na jego piersi, narzucając w ten sposób pewien dystans między nami.

- Nie jestem jeszcze gotowa na małżeństwo, Benwolio. Miałam wrażenie, że go tym rozbawiłam.

- Ależ jesteś gotowa jak każda kobieta.

Położył mi rękę na plecach, opuścił ją niżej i znów zaczął mnie całować. Drugą rękę wsunął mi za koszulę. Usiłowałam mu się wyrwać, ale naparł na mnie całym ciężarem i popchnął na półki pełne lnianych prześcieradeł. Nie mogłam nawet krzyczeć, bo jego usta przylgnęły do moich. To już nie było nic przyjemnego. Musiałam uciekać. Podniosłam kolano, żeby go kopnąć w krocze, ale się uchylił. Na chwilę przestał mnie całować. To była moja szansa.

- Przestań! - krzyknęłam.

Zatkał mi usta dłonią i przewrócił na podłogę. Kopnięciem zatrzaskał drzwi.

- Nie walcz ze mną, Mimi! - szepnął. - To namiętność. Nie możesz zaprzeczyć, że płonie między nami. Nie musimy czekać aż do nocy poślubnej.

I nagle rzucił się na mnie, a ja zrozumiałam, że za chwilę zostanę zgwałcona. Jak to możliwe? Moje myśli go-

niły jedna drugą, moje ręce szukały czegoś, czym mogłabym się obronić, ale chwyciły tylko powietrze. Patrzyłam na niego błagalnie: proszę, nie!

- Jeśli całowałaś się ze mną w taki sposób, musiałaś liczyć się z tym, że cię zapragnę.

Mój Boże, naprawdę na mnie leżał! Całym ciężarem. Nie mogłam złapać oddechu. Zaczął szarpać się z moimi rajtuzami. Nie mogłam go z siebie zrzucić! Nie mogłam wysliznąć się spod niego!

I nagle uniósł się w powietrze. Troy rzucił go na półki, założywszy mu jakiś chwyt na kark. Słyszałam dudnienie własnego serca, gdy Benwolio usiłował wyswobodzić się z tego chwytu, ale Troy nie puszczał.

- Ty draniu! - warknął gniewnie Troy, opryskując go śliną. Może byłby go w końcu nawet udusił, gdyby do składziku nie wszedł Merkurcjo.

- Panowie - odezwał się, gdy nabrał rozeznania w sytuacji. - Nie jest dobrze, kiedy dwaj mężczyźni, obaj z rodu Montekich, walczą między sobą.

Schowałam się w kącie, marząc o tym, żeby się zapaść pod ziemię.

- Jeśli dotkniesz jej jeszcze raz, zabiję cię - oświadczył Troy. Benwolio dyszał ciężko.

Merkurcjo ze spokojem położył dłoń na napiętym bicepsie Troya.

- Musisz rozluźnić ten chwyt, mój panie.

- Dopiero kiedy przysięgnie, że zostawi ją w spokoju.

- Najpierw trzeba rozluźnić chwyt - powtórzył Merkurcjo.

Troy puścił Benwolcia i cofnął się o krok.

Benwolio rozcierał kark.

- Na pewno jej więcej nie dotknę - powiedział, mrużąc oczy ze złości. - Weź ją sobie, jest twoja.

Twoja? Nie, na pewno nie jestem czyjaś! Ale drżałam tak mocno, że w ogóle nie mogłabym wydać z siebie głosu, nie mówiąc już o obronie własnej niezależności.

-Dobrze, sprawa załatwiona - Merkurcjo poklepał ich obu po plecach, ale żaden z nich nie zmienił spiętej postawy. - Chyba za dużo się wypilo dziś wieczorem.

-Tak - rzucił Benwolio przez zaciśnięte zęby - za dużo się wypilo.

Poprawił na sobie ubranie i opuścił składzik, nie spojrzawszy na mnie ani razu.

Merkurcjo ściągnął brwi.

- To szalenieć. Cieszę się, że oboje jesteście cali. Nie każdemu dane jest przeżyć starcie z Benwoliem.

Powiedziawszy to, wyszedł na dziedziniec, ale ja pozostałam w swoim kącie, wciąż jeszcze oszołomiona. Troy przykleknął na zdrowe kolano i zapiął na mnie pożyczoną od Romea koszulę. Wstydziłam się na niego spojrzeć.

- Tylko mi nie mów, że mnie ostrzegałeś - poprosiłam ze łzami w oczach.

- Mimi, ja nigdy nie mówię takich rzeczy. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć mojego ramienia, ale cofnął ją nagle.

- Przepraszam - powiedział.

Spróbowałam się pozbierać. Otrzepałam kurz z rajtuzów, a razem z nim pragnęłam zrzucić z siebie wspomnienie obmacujących mnie rąk Benwolia. Troy znowu mnie uratował. Spojrzałam w jego zielone oczy.

-Może... może...

Ale nic więcej nie potrafiłam wyjąkać. Co właściwie miałam do powiedzenia? Nie chciałam chyba obwiniać się za to, że całowałam Benwolia? Przychodziły mi do głowy jeszcze głupsze myśli. Że nie powinnam wkładać rajtuzów w tych czasach, kiedy kobiety chowały się pod grubymi i ciężkimi sukniami. Troy objął mnie ramieniem, patrząc, jak ocieram łzy.

- Chyba powinnam wsadzić mu palce w oczy. Tak jak uczą w telewizji.

- Ja też żałuję, że nie wsadziłem mu palców w oczy - powiedział Troy, usiłując rozładować atmosferę.

I siedzieliśmy obok siebie jeszcze przez chwilę. Ramię Troya obejmowało mnie tak lekko, jakby było tylko czystym, miękkim ręcznikiem prosto z suszarki. Nie pachniałam już cytryną. Żałowałam, że nie mogę znów zanurzyć się w wannie, żeby zmyć z siebie ślinę Benwolia.

- Jak twoja noga? - spytałam.

- Lepiej. Zrobiłaś kawał dobrej roboty. Gdybym mógł, wziąłbym jeszcze tabletkę przeciwbólową, ale było gorzej.

Do składziku zajrzał Romeo.

- Co się stało? - spytał. Zauważył łzy na moich policzkach, zanim zdążyłam otrzeć je rękawem. - Poszedłem do kuchni po prowiant na podróż. Czy coś mi umknęło?

- Wszystko w porządku - odpowiedziałam. Wstaliśmy. Romeo otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć.

Wskazał głową bramę.

- Słyszycie to? Brzmi jak zbrojny atak.

- Ludzie Kapuletich! - krzyknął jakiś głos.

Wyskoczyliśmy ze składziku. Obok przebiegali służący w nocnych koszulach i zbijali się w gromadki. Grupa gwardzistów omal mnie nie przewróciła.

- Wszyscy mężczyźni do głównej bramy!

Romeo zostawił chleb i pobiegł przez dziedziniec ku frontowej bramie. Troy i ja ruszyliśmy za nim. Zatrzymaliśmy się w głównym holu, pod większym od innych portretem któregoś z nieżyjących od dawna Montekich, i patrzyliśmy, jak Romeo wyskakuje na zewnątrz.

- Nie możemy tędy wyjść - powiedział Troy. - Oni przecież właśnie nas szukają.

- Ale Romeo nie wie, że Tybalt także na niego poluje. Nie powiedziałam mu o tym! - Nieżyjący Monteki przypatrywał mi się z ponurą miną, jakby oskarżał mnie i osądzał za kłopoty, których stałam się przyczyną. - Tybalt nie polowałby na Romea, gdybym nie wykrzykiwała jego imienia przez okno! Co będzie, jeśli Romeo natknie się na Tybalta?

- Tybalt i Romeo mają stoczyć pojedynek - głos Troya był całkiem spokojny. - Romeo musi zabić Tybalta, zgodnie z tym, co napisane, i będzie to dla wszystkich ulga. Bo wreszcie przestaniemy się bać, że Tybalt nas pozabija.

Oczywiście wszystko stanie się łatwiejsze, kiedy nie będzie Tybalta, który nas ścigał i groził nam śmiercią. Ale czy Romeo miał jakiegokolwiek szanse? Nie wylałabym ani jednej łzy, gdyby zginął Tybalt, ale polubiłam Romea. Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo, kto z tak bezgraniczną uczciwością traktowałby własne uczucia.

- A jeśli Tybalt zabije Romea?

-Nie, to się nie wydarzy. Pozwólmy, żeby fabuła wskoczyła znowu w swoje koleiny. - Troy oparł się o ścianę i rzucił mi zmęczone spojrzenie. - Proszę cię, Mimi. Przestań wreszcie ratować tych ludzi. To tylko fabuła. Pozwól jej się dotoczyć do zakończenia.

Minął nas jakiś sługa i wbiegł na marmurowe schody akurat w momencie, kiedy mężczyzna w długim, czarno-pomarańczowym stroju ukazał się na podeście pierwszego piętra.

- Co to za hałasy? - spytał.

Sługa podskoczył, jakby paliło mu się pod nogami.

- Wielmożny Panie, atakują ludzie Kapuletich! -Niech ich piekło pochłonie! - ryknął pan Monteki

i wychylił się przez barierkę. Wziąwszy go pod łokieć, służący pomógł mu zejść ze schodów. Pan Monteki, zgrabny i szczupły jak jego syn, odliczał stopnie, schodząc powoli i niepewnie.

- Szybciej, człowieku! - zawołał, gdy znalazł się w holu. Kiedy sługa prowadził go w stronę głównego wejścia, wzrok starego człowieka prześliznął się po mnie i po Troyu, jakby natrafił w tym miejscu na pustą przestrzeń.

-Jest ślepy - szepnął Troy. - A przecież w sztuce Szekspira nie był ślepy!

- Właśnie! - powiedziała. - Teraz rozumiesz? To nie jest sztuka Szekspira. Przyjmij to wreszcie do wiadomości, Troy. Wszystko tu jest nieprzewidywalne. I tak było od początku, odkąd wylądowaliśmy w tym miejscu. Nie ma sposobu, żeby przewidzieć, czy Tybalt zabije Romea, czy Romeo Tybalta.

Z zewnątrz dobiegły krzyki.

- Idę zobaczyć, co się dzieje. Chodź ze mną. Wszedł za mną na schody. Drzwi pokoju Romea były

na oścież otwarte. Kiedy tylko znaleźliśmy się w środku, Troy zamknął je na klucz.

Wychyliliśmy się przez okno. Po bezchmurnym nocnym niebie płynął okrągły księżyc, rzucając blade światło

na scenę, która rozgrywała się w dole. Po raz pierwszy od naszego przybycia do Werony otoczenie wydało mi się sztuczne, jakbym patrzyła na teatralne dekoracje i aktorów na scenie. Ale nawet wspaniały zespół teatru Wallingford nigdy nie trzymał publiczności w tak wielkim napięciu, jakie przeżywaliśmy w tamtej chwili.

Pan Monteki stał na stopniach w otoczeniu swoich gwardzistów. Przy wejściu tłoczyła się zdenerwowana służba.

- Gdzie się podziali? - spytał.

- Nie wiemy, Wielmożny Panie - odparł gwardzista. - Merkurcjo i Benwolio rzucili się w pościg za Tybaltem, a z nimi nasi ludzie.

- Gdzie mój syn?

- Przyłączył się do pościgu.

- Wziął szpadę? - pytał dalej pan Monteki. - Powiedz mi, człowieku, czy ma przy sobie szpadę.

Sługa wbił wzrok w ziemię.

- Nie, panie. Mówił, że spróbuje ich przekonać do poniechania walki.

- Wyślijcie więcej ludzi! - Pan Monteki, chodził tam i z powrotem, wyłamując sobie palce i raz po raz rzucając przekleństwa. - Nie chcę, żeby ten szalony chłopak zginął z rąk Kapuletich.

- Stój! - zawołał wartownik. - Kto idzie?

Z ciemności wynurzył się Benwolio z czyimś ciałem na rękach. Stapał ciężko, a przy każdym kroku falowały ogni-storude włosy. Benwolio złożył zwłoki Merkurcja u stóp głowy rodu.

-Merkurcjo zginął - powiedział, ciskając wzrokiem gromy. - Zabił go Tybalt Kapuleti.

- A gdzie mój syn? - spytał rozpaczliwie pan Monteki. - Gdzie jest Romeo?

- Romeo żyje.

Troy i ja odetchnęliśmy z ulgą. Zwracając się do tłumu gwardzistów i służących, Benwolio mówił dalej:

-Romeo chciał powstrzymać walczących. Prosił Ty-balta o pokój, ale Tybalt rzucił się na Merkurcja i zgładził go. I Romeo zrobił to, co honor nakazuje. Chwycił szpadę Merkurcja i przeszył nią serce Tybalta.

- Romeo? Mój syn podjął walkę? - Pan Monteki uśmiechnął się z dumą i wypiął pierś. Ale naraz utracił równowagę i usiłował ją odzyskać, machając rękami.

- Benwolio, podejdź do mnie. Muszę się z tobą rozmówić na osobności.

Oboje z Troyem schowaliśmy się za zasłoną, bo Benwolio stanął z panem Montekim pod samym oknem.

- Są świadkowie? - spytał ślepiec.

- Tak. Ludzie Tybalta. Zabrali zwłoki tego drania do pałacu Kapuletich.

Pan Monteki chwycił Benwolcia za ramię.

- Romeo złamał dekret książęcy.

-To Tybalt jest mordercą - powiedział Benwolio. -Romeo spełnił tylko swój obowiązek. Pomścił śmierć Merkurcja.

- Książę nie będzie pytał o szczegóły. Nakaże aresztować Romea. Grozi mu teraz śmierć. Gdzie on jest?

- Schował się. Wstydzi się tego, co zrobił.

- Idź do niego. Powiedz mu, że musi natychmiast opuścić Weronę. Powiedz mu... Będę musiał publicznie ogłosić, że wyklinam go na zawsze. To pozwoli nam zyskać na czasie w negocjacjach z Księciem - głos mu się załamał. - Po-

wiedz mu, że nigdy jeszcze nie byłem z niego tak dumny. I że go kocham. Powiedz mu to wszystko.

- Powiem, mój panie.

- Serce mi dzisiaj pęka, Benwolio.

- Mnie także.

- Chodźmy - szepnęłam do Troya. - Musimy znaleźć Romea.

Jest człowiek czasem
panem swego losu
(Juliusz Cezar, akt I, scena 2)

Wiedziałam, gdzie szukać Romea, ale Benwolio był szybszy. Kiedy dotarliśmy do kościoła Świętego Franciszka, zdążył już przekazać złe wiadomości.

-Więc jestem banitą - powiedział Romeo, ściskając w dłoni rękojeść zakrwawionej szpady, która należała kiedyś do Merkurcja. - Na zawsze wygnany z Werony.

- Na zawsze. Tak zdecydował twój ojciec.

-A Merkurcjo nie żyje. Drogi, kochany Merkurcjo. Nie ma już naszego przyjaciela, Benwolio. Zginął.

Troy i ja stanęliśmy przy wejściu, zachowując stosowną odległość. Zaczęłam już ufać Montekim, czułam się przy nich bezpiecznie, ale na moje zaufanie padł cień. Benwolio obrócił się przeciwko mnie. A Romeo znalazł się razem ze mną na liście ściganych. Dzieliliśmy teraz niepewny los bezdomnych wygnańców, prześladowani przez siłę, na którą nie mieliśmy wpływu. Przez szaloną, nieobliczalną siłę, wypuszczoną z małej fiołki z popiołem.

Ojciec Laurenty załamywał ręce, patrząc ze współczuciem na Romea.

- Święty Franciszku, jakaż to tragedia!

- Merkurcjo przed śmiercią przeklął oba domy - powiedział Romeo. - „Niech zaraza pochłonie Kapuletich i Montekich”. To były jego ostatnie słowa.

-Zginął z rąk Tybalta, tego krwawego potwora -warknął Benwolio.

- Merkurcjo nie żyje, a ja zostałem wypędzony - powiedział Romeo, przyciskając rękojeść szpady do piersi. -I nigdy nie zobaczę już mojej Rozaliny.

-Wygnanie jest znacznie lepszą rzeczą niż wyrok śmierci - zauważył Benwolio. Wyrzwał przez jedno z okien i podszedł do drugiego. - W tym mieście nikt nie zna litości.

-Tak, mój synu, wygnanie jest lepsze od śmierci -zgodził się mnich.

Benwolio wyrzwał przez drugie okno.

- Na razie nie widać pościgu. Ale Księżę i pan Kapule-ti skoro świt zaczną cię poszukiwać.

- Jestem mordercą - powiedział Romeo. Szpada upadła na posadzkę. Metaliczny brzęk odbił się echem pod sklepieniem. Serce zamarło we mnie na chwilę.

Benwolio uderzył dłonią w parapet.

- Zapomnij o Rozalinie - rzucił gniewnie. - Musisz wyjechać natychmiast. - Wyciągnął sakiewkę zza pasa i wręczył ją przyjacielowi. - Weź ją!

Romeo nie poruszył się. Patrzył gdzieś w przestrzeń. W nieznaną przyszłość.

- Weź ją! Bierz i znikaj!

-Wezmę ją dla niego - odezwałam się, wychodząc z cienia. Choć przyszło mi to z trudem, nie odwróciłam wzroku, kiedy Benwolio podawał mi sakiewkę. Podniosłam wysoko głowę i spojrzałam z pasją i determinacją w jego czekoladowe oczy. Troy też zrobił krok w jego stro-

nę, napięty jak lew zbierający się do skoku. Ten chłopak naprawdę był gotów mnie bronić.

Benwolio ani drgnął i nie odwrócił wzroku.

- Ród Kapuletich nie odwołał decyzji o twoim wygnaniu, Mimi. Ty także jesteś w niebezpieczeństwie. Doradzam natychmiastowy wyjazd do Mankatanu. I zabierzcie ze sobą Romea - Benwolio mówił to wszystko podniesionym głosem, jakby chciał mieć pewność, że usłyszy go nawet mysz kościelna.

- Romeo zachował się zgodnie z nakazami honoru, kiedy zaatakował Tybalta, mordercę Merkurcja. Ja także chciałbym zachować się honorowo. Przepraszam cię, Mimi, za to, że potraktowałem cię nie dość uprzejmie.

- Nie dość uprzejmie? - warknął wściekle Troy.

Nie powiedziałam, że przebaczam, bo wspomnienie zdrady Benwolia było jeszcze zbyt świeże w mojej pamięci. Ale doceniłam ten gest.

Benwolio podszedł do Romea i uścisnął go.

- Idź, kuzynie, i niech ta przeklęta waśń nigdy już ci nie stanie na drodze.

Z obnażoną szpadą wybiegł z kościoła, a ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim głośno, kończąc tę scenę mocnym efektem dźwiękowym. Wiedziała, że więcej go nie spotka.

- Nareszcie się wyniósł! - syknął Troy. - Benwolio mówił prawdę. Musicie wyjechać przed świtem - odezwał się mnich.

Wydawało się, że to nieuniknione. Troy nie mógł już dłużej się upierać, że fabuła w końcu wróci w swoje koleiny. Pozostawanie w tym mieście oznaczało dla mnie i dla Romea pewną śmierć. A Troy nie mógł liczyć na serdeczne

przyjęcie w pałacu Montekich, gdzie rej wodził Benwolio. Przepęłniały mnie uczucia lęku i niepewności. Teraz wyjazd z Werony stał się czymś więcej niż tylko jedną z możliwości. Ale co nam przyniesie? Czy przybliży nas do końca tej szalonej przygody, czy też odetnie nas od naszego świata na zawsze, do końca życia? Moja matka i ciotka Mary rozchorują się ze zgrzyoty. Ile dni minęło od naszego zniknięcia? Straciłam już rachubę.

- Dokąd mamy się udać? - spytałam mnicha. Ukrył dłonie w rękawach brązowego habitu. - Lepiej nie kierujcie się na wschód, bo w Wenecji mieszka zbyt wielu Kapuletich. Omijajcie też dobra papieskie, bo ród Kapuletich służy papieżowi wiernie. Jedźcie do Anglii. Ale to długa podróż.

- Anglia się Julii nie spodoba. Bo tam kobietom nie było wolno... Chciałam powiedzieć, że nie wolno im grać na scenie.

Mnich podrapał się po tonsurze.

- Jeśli rana Troja nie utrudni wam podróży, możecie też ruszyć na zachód, do Mediolanu, a tam wynająć powóz albo zapłacić za miejsca na wozie jakiegoś kupca. Ale możecie też wybrać się na południe, do Genui, żeby wsiąść na statek płynący do Hiszpanii. Sam nie wiem, która z tych możliwości niesie mniej niebezpieczeństw.

- Wszystkie są do niczego - oświadczył Troy. - Jak mamy się dostać do domu? Uciekanie przed mordercami po całej Europie w tym nam nie pomoże.

- Nie wiem, jak się dostać do Mankatanu - powiedział ojciec Laurenty. - A Bóg nie dał wam drugiego amuletu.

Zagadka naszego przybycia do Werony była niepojęta i dlatego nie znaleźliśmy drogi powrotnej. Zajrzeliśmy do

warsztatu szewca, ale nie znaleźliśmy tam żadnego magicznego przejścia. Jedyne w Weronie sprzedawca wiecznych piór nigdy nie słyszał nazwiska Williama Szekspira. Wypadki zaszły tak daleko, że nawet gdybym chciała, nie było już możliwości przywrócenia im pierwotnego kierunku. Żadne z nas nie powiedziało tego głośno, ale na pewno mieliśmy podobne myśli. Że droga do domu nie istnieje. Żadna. Zarazy, ogromne szczury, niewygodne buty na drewnianych podszewkach i spanie po wiejskich stodołach zajmą w naszym życiu miejsce sukcesów scenicznych, głównych ról, oklasków. Moje dawne, dalekie życie, które przysparzało mi tyle udręki, wydało się naraz nie takie złe. Nie mówiąc już o tym, że na Manhattanie nie groziła mi śmierć!

Z mojej pamięci wypłynęła groźna twarz pani Kapule-ti, jej niepokojące, wypukłe czoło.

- Chodźmy już - powiedziałam. - Na pewno przyjdą nas tu szukać.

Ale Romeo dalej wpatrywał się w ścianę. Znowu był całkowicie pochłonięty swoimi uczuciami. Schowałam sakiewkę w cholewie buta.

- Romeo, musimy iść - powtórzyłam. - Nie zapominajmy o Julii. Ona nie może liczyć na nikogo oprócz nas.

Troy otworzył usta, ale nie chciałam po raz kolejny wysłuchiwać jego obiekcji.

- Ta sztuka nazywała się Romeo i Julia. Pamiętasz? Po raz tysięczny, odkąd się tutaj znaleźliśmy, Troy mnie zaskoczył.

-Zgadza się z tobą. Nie możemy zostawić jej na łasce losu - wzruszył ramionami. - Zresztą to taka miła dziewczyna...

- Nie możemy czekać na ślubną uroczystość - powiedziałam. - Julia musi wypić miksturę od razu. Romeo, jesteś tu?

Mnich ujął delikatną rękę Romea i ukrył ją między swoimi dwiema.

-Mój synu - powiedział łagodnie, patrząc w jego nieobecne oczy. - Tej nocy zabiłeś człowieka, a to wielki grzech, nawet jeśli odbiera się życie mordercy. - Łza stoczyła się po policzku Romea. - Lecz Bóg w swej mądrości dał ci szansę odkupienia winy poprzez ratowanie innego życia. Julia potrzebuje twojej pomocy, mój synu. Idź, i niech Bóg ma cię w swej opiece.

- Szansa odkupienia win? - Romeo ujął srebrny krzyż mnicha i ucałował go. Odwróciwszy się, spojrział mi w oczy. - Jeśli mam zostać banitą, przyjmę do kompanii każdego, kto musi uchodzić z tego miasta okrutnych waśni. Chodźmy więc uwolnić Julię.

Powiedziawszy to, sięgnął po szpadę Merkureja.

Mnich pobiegł do swojej izby i napełnił torbę rzeczami, które jego zdaniem były nam potrzebne.

-Twój list do Julii! Zniknął. Nie mogę go znaleźć. Obawiam się, że zabrali go ludzie Tybalta.

-Jeśli w pałacu Kapuletich przeczytano ten list, już wiedzą, że kłamałam. Nie należę do ich rodu.

Ojciec Laurenty uchylił frontowych drzwi.

- To tylko jeszcze jeden, dodatkowy powód do nienawiści.

Przemykaliśmy się bocznymi uliczkami jak ścigani przestępcy, którymi zresztą byliśmy. Romeo niósł torbę, którą nam wręczył mnich. Mimo jego drobnych kroczków i utykania Troya, rozwinęliśmy całkiem niezłe tempo. Ale

przy takim stężeniu adrenaliny, krążącej w moich żyłach, mogłabym nawet pobiec w maratonie. Na szczęście nie spotkaliśmy żywej duszy, jeśli nie liczyć wyrosniętych, pięknych, doskonale utrzymanych szesnastowiecznych szczurów. W drodze wprowadziłam Romea w szczegóły naszego planu i opowiedziałam mu o miksturze, którą ma wypić Julia. Nie odezwał się ani słowem. Miałam wrażenie, że jest pogrążony we własnych myślach. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że słyszał i rozumiał, co do niego mówiłam.

Tak samo jak w pałacu Montekich, u Kapuletich wrzało jak w ulu. Ludzie Kapuletich strzegli wejścia. Wymachiwali bronią i rzucali przekleństwa. Nie bili się pięściami po klatkach jak goryle w zoo, ale prawie tak to wyglądało.

- Śmierć Montekim! - wykrzykiwał któryś z nich, podając drugiemu krążący wśród nich dzban.

- Romeo zamordował Tybalta! Musi umrzeć! Wrzawa była coraz głośniejsza. Dreszcz przebiegł mi po grzbiecie, kiedy do mnie dotarło, że szykują się na poczciwy, staromodny lincz.

- Ta dziewczyna, która została w mieście, choć miała się wynieść, też musi umrzeć!

- Tak, Mimi z Mankatanu musi umrzeć!

Wyobraźcie sobie tę scenę, kiedy słyszycie, jak podpici ludzie, uzbrojeni po zęby, wykrzykują wasze imię, wołając, że macie umrzeć. Łądując w Weronie, zgubiłam nazwisko i przyczepioną do niego, gwarantującą wyjątkowe przywileje, etykietkę „prawnuczka Adelajdy Wallingford”. A kiedy hasło „musi umrzeć” pojawiło się obok mojego imienia, poczułam się okropnie.

Przemknęliśmy niepostrzeżenie do bocznej fasady pałacu. Kamienny mur tłumił odgłosy zamieszania. Skrzyn-

ka, na której przedtem wysiadywał chłopiec od kóz, leżała porzucona. A balkon Julii tonał w świetle księżyca. Na balkonie, w białej nocnej koszuli, stała Julia we własnej osobie. Niesforne włosy opadały jej na ramiona. Już miałam ją zawołać, kiedy Romeo złapał mnie za ramię.

- Kto to jest?

- To Julia - szepnęłam. Romeo położył torbę na ziemi i ostrożnie podszedł bliżej. W tamtej chwili wiedziałam z absolutną pewnością, tak jak wiedziałam, że moje serce bije, że płuca oddychają... Wiedziałam, że za chwilę stanie się coś niezwykłego.

I stało się.

Łagodny, melancholijny Romeo, surowo traktowany przez własnych rodziców i niechętnie przez Rozalinę, oplakujący zabitego przyjaciela i morderstwo, którego dopuścił się w akcie zemsty, wziął głęboki oddech i nagle ożył. Jakby powietrze pod tym balkonem zawierało jakiś wyjątkowo wysoki procent tlenu. Nappełnił nim płuca i rozpromienił się. Wydawało mi się, że nagle zaświecił odbitym księżycowym światłem. Nieobecne, przygasłe spojrzenie zapłonęło jak w wyniku sprytnej sztuczki, zastosowanej przez doświadczonego oświetleniowca z teatru Wallingford. Księżycowe błyski zagrały na brązowych lokach. Troy i ojciec Laurenty oddychali przecież tym samym powietrzem, świecił na nich ten sam księżyc, ale żaden z nich nie promieniał. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z tlenem. Romeo się zakochał.

- Witaj! - powiedział.

Pod wrażeniem blasku, który roztaczał, Julia wychyliła się przez barierkę.

- Kim jesteś? Aniołem? - spytała, mrużąc oczy. Można by pomyśleć, że raziło ją światło księżyca, odbite w ostrzu szpady. Ale wierzcie mi, to nie było to. Ten chłopak naprawdę roztaczał blask.

- Nazywam się Romeo - odpowiedział.

Nawet jeśli nie czytaliście *Romea i Julii*, prawdopodobnie orientujecie się, jak wygląda scena balkonowa, najświetniejszy fragment tej sztuki. W mojej pamięci od razu pojawił się tekst, który mówiłam na scenie: *Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo! Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę! Lub jeśli tego nie możesz uczynić, przysiąż wiernym być mojej miłości, A ja przestanę być z krwi Kapuletów.*

- Na co czekasz - szepnął do niego Troy. - Powiedz jej to, co masz powiedzieć!

Troy, tak jak ja, odgrywał tę scenę w wyobraźni. I tak jak ja, chciał usłyszeć wersy Szekspira: *Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna! Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem! Wznijdź, cudne słońce, zglądź zazdrosną lunę, która aż zbladła z gniewu, że ty jesteś od niej piękniejsza.*

Ale Romeo nie deklamował wersów Szekspira. Prawdę mówiąc, nie odzywał się wcale przez bardzo długą chwilę. Panowało pełne niepewności milczenie. Bo Julia też się nie odzywała. Oparta o balustradę, patrzyła w dół, z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

Szekspir kazał młodym kochankom wygłaszać wymyślne i efektowne przemowy, ale w *tej* wersji, w *mojej* wersji, byli oni tylko parą nastolatków. Romeo, jeszcze w szoku po okropnościach tej nocy, i Julia, przerażona tym, co jej przyniesie jutrzejszy dzień, sami byli zaskoczeni siłą tego przyciągania, jakie może pojawić się między

dwojgiem ludzi. Stali jak zahipnotyzowani. I zaczęli czuć, że znaczą więcej dla siebie nawzajem, niż dla nich znaczy jakakolwiek istota na tym świecie. W końcu ciszę przerwał głos Julii:

- Dlaczego tu przyszedłeś?

Romeo zbliżył się jeszcze bardziej. Troy, ojciec Lau-renty i ja skryliśmy się w cieniu jak bezwstydni podsłuchi-wacze.

- Żeby wywieźć cię z Werony.

- Dokąd mnie zabierzesz?

- Wszędzie, gdzie tylko zechcesz - powiedział i oparł dłonie na biodrach. - Ale chyba nie zechcesz, żebym cię zawiózł do klasztoru?

- Za nic w świecie - uśmiechnęła się i wychyliła jeszcze bardziej. Lekki wiatr bawił się jej nocną koszulą. -Chciałabym zostać aktorką. Potrafiłabym chyba nawet napisać sztukę teatralną.

Uśmiechnął się szeroko. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam.

- To wspaniałe marzenie! - Nie odrywał od niej wzroku ani na chwilę, nie widziałam nawet, żeby mrugał.

Ale Julia się nagle zawstydziła. Wyprostowała się i zaczęła przyglądać niesforne kosmyki.

- Jeśli słyszałeś jakieś plotki o moich czyrakach albo że mój oddech pachnie cebulą... Wszystko to nieprawda.

- Nigdy nie wierzę w takie plotki.

-I nie przeszkadza ci, że nazywam się Kapuleti?

- Nie. A czy tobie przeszkadza, że jestem Montekim? -Nie.

Wychyliła się znowu z balkonu.

- Moja matka kochała kiedyś mężczyznę z tego rodu. A ty? Czy kogoś kochałeś?

- Nie, nigdy, aż do tej chwili.

Patrzył na nią i patrzył, i patrzył. Jak Kopernik, który patrząc na słońce, myślał, że odkrył centralny punkt wszechświata.

Troy wziął mnie za rękę i wypowiedział za Romea słowa jego roli:

Kochałem dotąd? O! zaprzecz, mój wzroku! Boś jeszcze nie znał równego uroku.

Nie wyrwałam ręki, ale byłam bardzo zmieszana. Chciałam wtulić się w jego ramiona, ale czy dlatego, że uratował mnie dwa razy? Może dlatego, że się bałam? Czy to możliwe, że nigdy nie przestałam go kochać? Albo że byłam pod wrażeniem tej sceny, opromienionej nagłym wybuchem miłości między dwojgiem ludzi?

Mogliby tak patrzeć na siebie do rana, ale czas uciekał. Wymknęłam się z uścisku Troya i wyszłam z cienia.

- Cześć, Julio.

Troy i ojciec Laurenty stanęli obok mnie.

- Mimi? To ty? Dlaczego jesteś przebrana za chłopca? -To długa historia. Muszę powiedzieć ci o zmianie planów.

I wtedy ktoś otworzył drzwi balkonu.

Zasnąć! Może śnić?
(*Hamlet* akt III, scena 1)

Ojciec Laurenty, Troy i ja szybko ukryliśmy się w bluszczu pod samym balkonem Julii. Nieprzyjemny głos pani Kapuleti nagle rozproszył romantyczny nastrój i sprawił, że mój żołądek zacisnął się w twardy supeł. Do dziś nieraz przypomina mi się ten głos, który utkwiał pod moją czaszką jak odłamek szrapnela.

- Tybalt nie żyje! - powiedziała. - Zabił go Romeo, syn Montekich. Co za koszmar. I to w wigilię twojego ślubu.

Drewniane podeszwy zastukały nad naszymi głowami.

- Gwardziści są gotowi do odwetu, zaatakują o świcie. Znajdą tego szczeniaka i zabiją go na miejscu.

- Na miejscu? - powtórzyła Julia.

- Mam nadzieję, że pozabijają wszystkich Montekich, jakich dopadną. Nawet tę małą kłamczuchę, która udawała jedną z nas. Wystawiła mnie na pośmiewisko.

Wyciągnęła z rękawa mój list i odczytała stosowny fragment, ale Julia się nie odezwała. Stukot kroków ucichł.

- Córko, wiem, że uwielbiałaś swojego kuzyna Tybalta, ale nie pozwól, żeby okoliczności cię dziś zasmuciły. Ślub musi się odbyć zgodnie z planem. Wtedy ludzie

Parysa przyłączą się do nas i wezmą udział w zemście na mordercy Tybalta. Muszę iść, trzeba pocieszyć twojego ojca. Tybalt był jego ukochanym bratankiem.

- Tak, mamó.

- Wracaj do pokoju i kładź się do łóżka. Jutro musisz być wyspana, musisz ślicznie wyglądać.

Drzwi balkonowe się zamknęły. Czekaliśmy, ale Julia już nie wyszła.

- Myślicie, że teren jest czysty? - spytał Romeo. - Pójdę do niej.

- Nie - odpowiedziałam. - Lepiej pójdę sama.

To było z mojej strony zupełne szaleństwo, pchać się znowu do gniazda żmij. Ale ktoś musiał to zrobić. A Romeo, zamiast się pośpieszyć, gapiłby się na Julię godzinami.

- Byłam już w jej pokoju i trochę znam ten dom. Wiem, gdzie się schować w razie niebezpieczeństwa.

- Mimi... - odezwał się Troy.

- Wszystko będzie dobrze.

Zaczęłam wdrapywać się po obrośniętej bluszczem ścianie. Nie robiłam tego jeszcze nigdy w życiu. Nie należałam do osób, które wyjeżdżają na biwaki, biorą udział w zajęciach szkół przetrwania, są obyte ze sznurową drabinką. Ku mojemu zaskoczeniu nie było w tym nic trudnego, bo pędy bluszczu wspinały się po drewnianej kracie. Przerzuciłam nogi przez barierkę i cicho wskoczyłam na balkon. Wiedziałam, że jeśli natknie się na mnie pani Kapuleti, to już po mnie, moje zwłoki zostaną rzucone do rynsztoka i tam pożrą je szesnastowieczne szczury w największym możliwym rozmiarze. Przez chwilę nasłuchiwałam, a potem ostrożnie uchyliłam drzwi.

Przy stole stała piastunka Marta i składała pranie.

- Kładź się do łóżka. To polecenie Wielmożnej Pani. Julia rzuciła szybkie spojrzenie w moją stronę. Wskoczyła do łóżka i przykryła się kołdrą po uszy.

-Już leżę, Marto. Więc idź, bo nie zasnę, póki się tu kręcisz.

- Bestyja... - westchnęła Marta. Wyciągnęła z kosza suknię. To był mój kostium z teatru. - Nie wiem, po co kazałaś mi to uprać. Dopiero się pani rozgniewa, jeśli zobaczy.

- Daj mi ją - zażądała Julia. Piastunka spełniła życzenie i Julia włożyła suknię pod poduszkę.

-Nie masz ty humoru - powiedziała Marta. - Ale nie mogę cię za to winić. Ja też kiedyś wyszłam za mąż. I wiesz co? Przed ślubem byłam przez całą noc roztrzęsiona jak świnia w szlachtuzie. - Westchnęła, a jej rumiana twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. - Czy pani matka mówiła ci coś o obowiązkach małżeńskich?

Skrzywiłam się. Tego jeszcze tylko było nam potrzeba - lekcji wychowania seksualnego.

- Marto, proszę cię, idź już.

Ale piastunka dalej składała pranie.

-Masz prawo się denerwować. Ten człowiek to wariat, i jeszcze jaki. Ślub... serce mi się kraje. - Zaczęła pociągać nosem.
- Zawsze była z ciebie bestyja. Ale moja bestyja, bestyjka kochana. I znieść nie mogę tej myśli, że on cię zamknie w swoim pałacu. A właśnie to on robi. Taki człowiek traktuje kobiety, jakby nie były nic lepsze od jego psów, co mają być tylko posłuszne. - Otarła podpuchnięte oczy skrajem przybrudzonego fartucha. - Wolałabym, żeby tego ślubu nie było.

Julia wyskoczyła z łóżka.

- Naprawdę, Marto?

- Jeszcze jak - chlipnęła piastunka i wydmuchała nos w fartuch.

Julia klasnęła w dłonie.

- A gdybym mogła uciec, nie wydałabyś mnie?

- Uciec? - Piastunka zrzuciła fartuch. - Julio, dzieciно, ja codziennie prosiłam Pana Boga, żebyś ty uciekła.

-Przysięgnij, Marto. Przysięgnij, że mnie nie zdradzisz.

-Przysięgam. Przysięgam na moje stare serce i na grób mojej matki, o.

Julia dała mi znak i weszłam do pokoju.

- Wielkie nieba! - wrzasnęła piastunka. - Monteki!

- Nie - powiedziała Julia - to Mimi. Przyszła, żeby mnie ratować.

Marta gapiała się na mnie.

- Więc ona jest chłopakiem?

-Nie, jest przebrana za chłopaka. - Julia otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz, po czym zamknęła drzwi na klucz. - Teren jest czysty. Zmienił się plan? Przyszłaś wcześniej...

Postarałam się wszystko wyjaśnić jej zwięźle i zrozumiale.

- Romeo został wygnany z Werony, a ja, jak wiesz, też nie mam prawa tu przebywać. Troy nie jest już pożądanym gościem w pałacu Montekich. Cała nasza trójka musi wyruszyć w drogę jutro o świcie. Więc jeśli chcesz iść z nami, wypij swoją miksturę od razu.

- Miksturę? - wtrąciła piastunka. - Cóż to znowu za historia?

- To jedyny sposób, żeby moja ucieczka nie okryła hańbą całej rodziny - powiedziała Julia. - Powiedz mi prawdę, Mimi. Czy Romeo zabił Tybalta?

- Tak, dlatego że Tybalt zabił Merkurcja. Merkurcjo był przyjacielem Romea.

Julia kiwnęła głową. Nie musiałam jej przekonywać, że jej kuzyn był naładowany agresją.

- Pójdiesz z nami mimo to? - spytałam. - Tak.

Wyszłam na balkon i wychyliłam się.

- Ojczy Laurenty - szepnęłam. - Julia jest gotowa.

Mnich nie był stworzony do wspinania się po ścianach. Przez swoją tuszę i zeszywniałe kości raz po raz tracił równowagę. Troy i Romeo pchali go do góry, aż wreszcie, po niekończącym się sapaniu i stękaniu, wylądował z hałasem na balkoniku. Habit mu się podwinął i widać było fioletowobiałe łydki.

- Wielkie nieba - jęknęła piastunka. - Moje stare serce nie wytrzyma tylu niespodzianek.

- Dobra kobieto - odezwał się mnich - moje stare serce też ich nie lubi.

- Piastunka przysięgła, że nas nie zdradzi - wyjaśniła Julia.

-Gdzie mikstura? - spytał mnich. Julia wyciągnęła fiolkę z rękawa i pokazała.

- Mam ją teraz wypić?

- Nie musisz - przypomniałam jej. - Możesz po prostu uciec, nie udając umarłej.

- Nie chcę okryć hańbą mojej rodziny.

- Więc wypij miksturę, moje dziecko - powiedział łagodnie mnich.

W sztuce była to doniosła chwila. Julia mówi tam: *Do ciebie, mój luby, spełniam ten toast zbawienia lub zguby.* Ale ta Julia nie zrobiła nic w podobnym guście.

- Za wolność! - zawołała, pokazując w uśmiechu białe zęby. - Za piękną, cudowną wolność!

Mnich, piastunka i ja wstrzymaliśmy oddech. Teraz nie było już odwrotu. Kości rzucone. Co mogło pójść nie po naszej myśli? Czy było coś, czego nie wzięliśmy pod uwagę? Co zrobimy, jeśli ona się nie obudzi? Przyłożyła fiolkę do ust i jednym haustem wypła zawartość.

- Okropne - powiedziała, krzywiąc się i otrząsając. Po chwili zaczęła się słaniać na nogach. - Och, słabnę.

Podtrzymałam ją razem z mnichem, póki nie osunęła się bez czucia.

- Zdawało mi się, że po wypiciu mikstury mieliśmy czekać na efekt dziesięć minut - powiedziałam.

- Ale może u tak młodych osób efekt następuje szybciej - odparł ojciec Laurenty. Ułożyliśmy ją na łóżku. Jej rzęsy drżały.

- Moje biedne jagniątko - odezwała się piastunka. - Jest taka blada, taka blada.

- To działanie mikstury - wyjaśnił mnich. - Sprowadza obraz śmierci, ale nie zabija.

- Kręci mi się w głowie - wymamrotała Julia. - Ten pokój wiruje coraz szybciej.

- Będę przy tobie, kiedy się obudzisz - zapewniłam, ujmując jej stygnącą rękę. Usta Julii przybrały siną barwę, a ciało stało się bezwładne.

- Żal mi rodziców, bo będą się martwili - usłyszeliśmy jej gasnący głos. - Nigdy nie chciałam ich zasmucić...

Już miałam przypomnieć jej, że to rodzice ją uwięzili, że to przecież oni postanowili oddać ją za żonę podejrzaney kreaturze lub raczej sprzedać, tylko dlatego, że ten człowiek miał władzę i pieniądze. Lecz nic nie powiedziałam. Julia nie przestała ich kochać, choć dobrze wiedziała, jak się przedstawiają sprawy. I martwiła się, że będą cierpieli z jej powodu. Bo wszyscy rodzice, nawet ci najgorsi, cierpią, kiedy tracą dziecko.

Rzęsy Julii przestały trzepotać. Piastunka zaczęła lamentować.

- Moje biedne jagniątko, umarła, nie żyje!

Ojciec Laurenty pochylił się nad Julią i delikatnie podniósł jej powiekę.

- Ona śpi, choć wygląda jak umarła - zwrócił się do Marty. - Rozumiesz?

Piastunka kiwnęła głową, ale zawodziła jeszcze głośniej. Mnich złapał ją za ramiona i zaczął przemawiać do niej spokojnym, łagodnym tonem:

- Wszystko będzie dobrze. Teraz idź do państwa Kapuletich i powiedz im, że znalazłaś Julię martwą. Jeśli wspomnisz o miksturze, Julia nie odzyska wolności, a my wszyscy zginiemy. Zrozumiałaś?

Marta znowu kiwnęła głową.

- Idź już.

Spojrzała na Julię jeszcze raz i opuściła pokój. Ojciec Laurenty i ja wybiegliśmy na balkon. Troy czekał już na drewnianej kracie, po której wspinał się bluszcz, żeby pomóc mnichowi zejść na dół. Ale zejście było nieco łatwiejsze dzięki sile ciężenia. Stanąwszy na ziemi, mnich otrzepał z habitu listki bluszczu.

- Teraz muszę podejść do głównej bramy. Powiem, że przyszedłem odprawić egzekwie nad zwłokami Tybalta -powiedział. - I najprawdopodobniej od razu zaprowadzą mnie do pokoju Julii. Kiedy tylko rodzice dotkną jej ciała i przekonają się, że umarła, będę mógł im wmówić, że widzę objawy dżumy, czyli dymienice, powiększone węzły chłonne pod pachami. I zapewniam was, że wszyscy z miejsca opuszczą ten pokój, a ode mnie zażądają, żebym czym prędzej zabrał zwłoki.

- Co mamy zrobić? - spytał Troy.

-Czekajcie przy grobie rodziny Kapuletich. Romeo pokaże wam drogę. Przywiozę tam Julię najszybciej, jak to będzie możliwe. - Ojciec Laurenty pogłaskał swój srebrny krzyż. - Niech nas Święty Franciszek ma w opiece.

Złapał torbę i podreptał przed siebie.

Czekała mnie kolejna bezsenna noc. Miałam nadzieję, że kiedy to wszystko już się skończy, Romeo zdobędzie miłość, a Julia wolność. Ale co zyskamy my, Troy i ja? Czy zostaniemy wtrąceni do lochu, czy może wrócimy do domu?

Jak już wspominałam na początku, od tych wypadków minął właśnie rok. Więc nie jest dla was tajemnicą, że Troy i ja zdołaliśmy jakoś wrócić do naszego dwudziestego pierwszego wieku. Gdyby stało się inaczej, nie byłoby książki, którą macie w rękach. Ale nie było to wcale łatwe. Jeszcze dziś drzę na samą myśl o tym, jak niewiele brakowało...

Odwróćcie teraz kartkę, aby poznać wielki finał.

Calujac...

(*Romeo i Julie*, akt V, scena 3)

Wydawało nam się, że czekamy już od niepamiętnych czasów, i zaczynałam się zastanawiać, co mogło pójść nie tak. Przecież *Romeo i Julia* to tragedia, a ja igrałam ryzykownie z elementami fabuły - rozpaczą, samobójstwem i fatum. Może to w ogóle niemożliwe, żeby z tragedii wycisnąć happy end, tak samo jak nie da się ugasić pragnienia ogniem ani zapalić świeczki przy pomocy wody. Są rzeczy niemożliwe.

Romeo zaprowadził nas na cmentarz, nieco upiorny, pełen pomników i grobowców wszelkich kształtów i rozmiarów. Te skromniejsze były dla zwykłych ludzi, a dla możnych te monstrualnej wielkości. Choć księżyc świecił jasno i trudno się było schować, znaleźliśmy cień pomiędzy dwoma niepozornymi grobami. Na szczęście letnia noc była tak ciepła, że nie marzliśmy w naszych lekkich strojach. W mojej krwi krążyło coraz więcej adrenaliny, jak to bywa, kiedy ciało szykuje się do walki albo do ucieczki. Każdy dźwięk rozbrzmiewał donośnie w moich uszach, ale były to jedynie odgłosy życia owadów i wiatr szumiący w gałęziach drzew.

Lęk narastał, jak zawsze, gdy coś bardzo ważnego ma się wydarzyć już za chwilę, zwłaszcza jeśli może to być rzecz straszna. Z każdą minutą mniej czasu zostawało nam na ucieczkę przed polującymi na nas gwardzistami Kapuletich. Zaczęłam obgryzać paznokcie. „A co będzie, jeżeli...” - tak się zaczynały wszystkie zdania, jakie Romeo i ja wypowiadaliśmy w tamtej chwili. Przerzucaliśmy się nimi jak piłką.

- Co będzie, jeśli ojciec Laurenty nie przekona ich, że to dżuma?

- A co będzie, jeśli mikstura przestanie działać za wcześnie?

- Albo jeśli piastunka zdradzi i wygada im, jaki mieliśmy plan? O mój Boże, jak mogliśmy jej zaufać! - Paznokieć mojego kciuka był już obgryziony do żywego ciała.

- Uspokójcie się - powiedział Troy. - Teraz wszystko w rękach mnicha. Zamartwianie się nic nam nie pomoże.

- On ma rację - przyznał Romeo. - Trzeba wierzyć, że się uda.

Tarł piaskiem ostrze szpady Merkureja, chcąc usunąć plamy zaschniętej krwi.

- Co to było, co śpiewałaś, kiedy chciałaś uspokoić nerwy? - spytał Troy.

- Om ya.

- A, właśnie. Ommm yaaa... Ommm yaaa... Ommm yaaa...

Śpiewaliśmy razem. Nawet Romeo się przyłączył.

To prawda, zamartwianie się nie mogło nam pomóc. Zwłaszcza że gromada bandziorów szykowałą się do poderżnięcia nam gardeł.

- Romeo... - odezwał się Troy. Siedziałam między nimi dwoma. - Chciałem ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu Merkurcja. To był porządny facet i naprawdę niezły muzyk. Dokonał wielkiej rzeczy, przerabiając moją piosenkę.

-Był jednym z najlepszych naszych muzyków -stwierdził ze smutkiem Romeo. - Nauczył mnie grać na mandolinie.

Chociaż wokół nie było żywej duszy, mówili szeptem.

- To fajny instrument - powiedział Troy. - Grałem na mandolinie jako dziecko. Miałem do czynienia wyłącznie z muzyką klasyczną, co nie przysparzało mi w szkole popularności. Ale potem mój ojciec przedstawił mnie agentowi, i pstryk... narodził się Troy Summer.

- Więc to nie jest twoje prawdziwe nazwisko? - zdziwiłam się.

- Chyba żartujesz! Naprawdę nazywam się William Jones. Nudziarstwo, co?

Wcale nie wyglądał mi na Williama, nie wyglądał nawet na Billa. Ale Troy, którego ostatnio poznałam trochę lepiej, już wcale nie przypominał aroganckiej gwiazdy estrady. Troy zgodził się pomóc Julii, choć nie był przekonany, czy to nie unicestwi naszych szans na powrót do domu. Był odważny i rycerski. Ale czy ten nowy Troy także umawiałby się na randkę z każdą dziewczyną, na jaką się napatoczy?

Zapadła cisza. Poczułam, że drętwieje mi tylna część ciała, więc zmieniłam pozycję i oparłam się o Troya.

- Julia jest taka piękna - powiedział Romeo. - Nigdy jeszcze nie spotkałem dziewczyny, która by chciała zostać aktorką. - Westchnął. - Jaki jest jej ulubiony kolor?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam.

- Jaka muzyka jej się podoba? Czy lubi spacerować o zachodzie słońca? - wypytał akurat o rzeczy, o których pisze się w ogłoszeniach towarzyskich. - Jakie kwiaty lubi najbardziej? Może róże? Zauważyliście, że ma usta jak płatki róż?

- Muszę ci powiedzieć, Romeo, że za różami Julia nie przepada. I w ogóle nie byłaby zachwycona tym porównaniem, wierz mi.

To, co wiązało się z Parysem, było ostatnią rzeczą, o jakiej powinien jej przypominać.

- Chciałbym wiedzieć o niej wszystko.

- To nic trudnego - powiedział Troy. - Będziesz miał dość czasu, żeby wszystkiego się dowiedzieć. To część całej tej zabawy.

- Naprawdę? - Romeo pochylił się nad moimi kolanami, słuchając pilnie, by nie uronić ani jednego słowa tego mistrza podrywu, czempiona randek. Oto znów ukazał mi się dawny Troy. Ze zniecierpliwieniem przewróciłam oczami, szykując się na porcję mądrości doświadczonego kobieciarza.

- Spędzając z nią razem dużo czasu, dowiesz się rzeczy, których nikt by ci nie mógł powiedzieć. Na przykład, że pochrapuje podczas snu albo że marzną jej stopy. -Skrzyżował ramiona na piersi. Kątem oka zauważyłam, że się uśmiechnął. Czyżby uśmiechał się do mnie? Czy miał na myśli naszą drzemkę na pryczy? - Może się dowiesz, że umie opatrywać rany albo że troszczy się o ludzi, których ledwie zna.

Zrobił dramatyczną pauzę i oparł plecy o mur.

- Może się dowiesz, że nie jest rozkapryszoną księżniczką, za jaką ją brałeś.

- Możesz się też dowiedzieć, że woli, żeby zwracać się do niej bezpośrednio, niż mówić o niej jak o nieobecnej -dodałam, krzyżując ramiona i opierając się o mur tak jak Troy.

-Bardzo chętnie zwracałbym się bezpośrednio do niej, gdybym się nie bał, że ucieknie.

- No to jazda. Ona nie ma dokąd uciekać, więc się nie krępuj. Romeo przyglądał się nam, zdumiony.

- Jesteście na siebie źli? Troy odchrząknął.

-Romeo, nie wyszedłbyś naprzeciw ojcu Laurentemu?

- Z ochotą - powiedział Romeo. Zerwał się i opuścił naszą ciasną kryjówkę.

Troy bawił się końcem bandaża.

- Cóż, mam wrażenie, że Romeo i Julia są stworzeni dla siebie.

- Czy to właśnie miałeś mi do powiedzenia? A może myślałeś, że to ja chciałam z tobą o nich porozmawiać? -Ale dlaczego byłam wobec niego zawsze taka zaczepna?

-Miałem zamiar powiedzieć ci, że przeznaczeniem niektórych ludzi jest spotkanie - przysunął się bliżej. -Miał smugi brudu na twarzy i nie pachniał wodą kolońską Summer Scent, która wzięła nazwę od jego artystycznego pseudonimu. Wyglądał i pachniał jak ktoś, kto nie ma pojęcia, czym jest rynek i kariera. - Być może właśnie my jesteśmy takimi ludźmi.

Wydęłam usta na znak, że znam te numery. Czyżby chciał wykorzystać moją trudną sytuację? Byłam przecież

wyrzucona z torów mojego normalnego życia, być może na zawsze bezdomna, niemalże zgwałcona i z wyrokiem śmierci wiszącym nad głową. Ale w spojrzeniu Troya nie było drapieżności. Naprawdę chciałam mu zaufać.

Zostawił bandaż w spokoju i popatrzył na mnie. Jego wzrok wędrował po mojej twarzy tam i z powrotem, jakby Troy chciał sporządzić portret.

- Gdybym mógł, odkręciłbym wszystko, co się działo między nami od pierwszego dnia, kiedy wypowiedzieliśmy nasze wersy podczas próby. Nigdy nie chciałem cię zranić. Wszystko wyszło nie tak.

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamałam. Wiedziałam przecież. Mówił o pocałunku. Dlaczego zabrakło mi odwagi, żeby powiedzieć mu wprost, co czuję? Jeśli nauczyłam się czegokolwiek podczas tej przygody, to właśnie tego, że mogę zrobić wszystko, do czego naprawdę jestem przekonana. Potrafię oczyścić ropiejącą ranę i wdrapać się po bluszczu do fortecy przeciwnika, potrafię odważnie czekać nocą na cmentarzu, zamiast uciekać. Nie umiałam tylko wyjawić moich uczuć chłopakowi, który siedział tuż obok.

-Kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy na scenie, pomyślałaś, że z ciebie żartuję, prawda?

O kurczę, czemu on tak się do tego przyczepił? To wspomnienie było już wystarczająco bolesne, nawet kiedy nie musiałam go z nim omawiać. Czyżby zamierzał znowu zaproponować mi korepetycje z całowania? Ale Troy położył dłoń na mojej dłoni i splótł palce z moimi.

- To był wspaniały pocałunek. Wspaniały. Byłem zawstydzony tym, jak wiele dla mnie znaczył.

Czyżby zaczął uwodzić mnie w stylu Benwolia?

-Ten pocałunek mnie zaskoczył i dlatego zacząłem wygadywać głupstwa. Chciałem po prostu ukryć to, co czułem. Zachowałem się jak skończony dupek.

- Tak, jak skończony dupek - zgodziłam się i wyplątałam palce z jego ciepłej dłoni.

-Ale teraz chcę być z tobą zupełnie szczery, Mimi. Od początku za tobą szalałem. Tylko nie dałaś mi drugiej szansy.

- Zraniłeś mnie! - zawołałam. - Mogłeś powiedzieć, że żałujesz!

- Próbowałem, naprawdę. Ale omijałaś mnie z daleka. Za każdym razem, kiedy się do ciebie odzywałem, uciekałaś. - Miał słuszość. Unikałam go ze wszystkich sił. - Byłem przekonany, że budzę w tobie wstręt.

-I tak właśnie było! Bo umawiałaś się coraz to z inną dziewczyną! - zabrzmiało to tak płaczliwie i zazdrośnie, że aż się zawstydziałam. Ale nie było w tej rozmowie nic fałszywego, żadnego udawania ani powtarzania przeciwicznych odzywek. Oboje byliśmy odsłonięci, oboje zupełnie wyczerpani i oboje mogliśmy wkrótce zginąć.

-Z Dominique poszliśmy tylko na kolację - powiedział, wyrzucając do góry ramiona.

- A z Lauren?

- Spotkania, nic więcej. - Był coraz bardziej zły, ale ja także.

- Co z Clarissą?

- A co mogło być z Clarissą? Chciałem wzbudzić w tobie zazdrość! - już prawie krzyczał, szczeka wysunęła mu się do przodu.

- No i udało ci się! - Ups... To mi się wymknęło niechcący.
Twarz mu złagodniała, głos także.

- Do licha, Mimi. To za tobą szaleję. Mimo twojej nadętej miny, mimo twojej neurotycznej tremy. Mimo że wpakowałaś mnie w tę całą awanturę, wciąż za tobą szaleję. Nie mogę o tobie zapomnieć.

I na co jeszcze czekałam? Przyszła pora powiedzieć mu to! Przyznać, że ze mną jest tak samo! Że choćbym nie wiem jak chciała, nie mogłam o nim zapomnieć! Powiedzieć, powiedzieć, **POWIEDZIEĆ!**

- Ojciec Laurenty! - zawołał Romeo.

Rzuciliśmy się do grobowca Kapuletich i w tej samej chwili obok zatrzymał się wóz zaprzężony w konia. Romeo chwycił lejce, a Troy pomógł mnichowi zleźć z kozła.

- Szczęśliwie nikt nie miał życzenia ze mną pojechać - powiedział mnich. Przyświecając sobie niewielką latarenką, podszedł do tylnej części wozu. - Pamięć zeszłorocznej zarazy jest jeszcze żywa. W tym mieście dzuma zebrała straszne żniwo. W wielu ludziach zachwiała wiarę, nie wyłączając mnie samego.

Julia leżała na wozie, zawinięta w lniane prześcieradło.

- Były problemy? - spytałam.

- Nie. Ale omal serce mi nie pękło, kiedy patrzyłem na rozpacz domowników.

Odwinął płótno. Twarz Julii była tak biała jak jej nocna koszula.

- Do samej śmierci będę codziennie odprawiał pokutę za to, co dziś zrobiłem. Chodźcie tu, trzeba zdjąć ją

z wozu. - Spojrzał w niebo. - Musimy się pośpieszyć. Zaraz zacznie świtać.

Romeo podniósł Julię jak piórko. Jego depresja zniknęła bez śladu.

Ojciec Laurenty zdjął z wozu swoją torbę i przewiesił ją przez ramię. Od płomyka w latarence zapalił dwie świece, które umieścił przy wejściu do grobowca. Z torby wyjął pęk kluczy i jednym z nich otworzył ciężkie żelazne wrota.

- Grasują tu złodzieje - wyjaśnił, odkładając klucze do torby.

Przeszliśmy przez wrota śmierci. Owionęło nas chłodne powietrze przesycone zapachem stęchlizny.

- Są tu osobne pomieszczenia przeznaczone dla kolejnych pokoleń - powiedział mnich i wprowadził nas do najmniejszego z nich, tuż przy wejściu. Wskazał ozdobną, rzeźbioną trumnę. - To trumna dla Julii. Czeka tu na nią od dnia jej narodzin.

- To okropne - otrząsnął się Troy.

- A ta w rogu jest przeznaczona dla Tybalta. Później będę musiał zająć się i nim. Tyle roboty, tyle roboty!

Od tego światła świec, od trumien i pajęczyn dostałam dreszczy. Kamienne maskarony śledziły spod stropu każdy nasz ruch. Wyobraziłam sobie, że kiedy są same, ożywają. Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby któryś z nich się poruszył.

Wstążki u nocnej koszuli Julii spływały kaskadą na ramię Romea, kiedy wnosił ją do wnętrza. Ojciec Laurenty podał latarenkę Troyowi i znowu sięgnął do torby. Wyjął z niej inną fiolkę.

-Połóżcie Julię na wieku trumny. To jedyne dobre miejsce.

Romeo wypełnił polecenie, po czym wziął ją za rękę.

- Jest zimna jak lód - powiedział z troską.

- Nie bój się o nią, mój synu - odparł mnich. - Mam tu specyfik, który ją obudzi.

Kiedy otwierał fiolkę, drżały mu dłonie.

Uniosłam głowę Julii, a mnich wlał jej na język zawartość fiołki i zamknął jej usta. Ale nic się nie wydarzyło. Znów uniosłam jej głowę i ojciec Laurenty wytrząsnął z fiołki jeszcze kilka kropel swojego specyfiku.

- To dziwne - powiedział, wachając naczynie. - Specyfik powinien zadziałać natychmiast.

O mój Boże! Zabiliśmy Julię! Tragiczne tendencje fabuły jednak przeważały!

- Obudź się - błagałam. - Julio! Julio! Obudź się! Troy także pochylił się nad śpiącą.

- Obudź się! - ponaglał.

-Nie mam pojęcia, co tu szwankuje - powiedział mnich, podnosząc fiolkę. - Święty Franciszku, nie mamy już ani kropelki!

- Julio! - krzyczeliśmy wszyscy naraz.

Romeo chwycił ją delikatnie za ramiona i potrząsnął nią.

- Nie umieraj - prosił. - Proszę, nie umieraj, albo niech umrę razem z tobą.

- Nie mów tak - odezwałam się. - Nikt tu nie umrze.

-Spróbujmy oddychania usta-usta - zaproponował

Troy, stawiając latarenkę na trumnie Tybalta. Ujął w dłonie głowę Julii i już miał przyłożyć usta do jej ust, kiedy odsunął go Romeo.

- Co robisz? - spytał. - To ja ją kocham. Sam ją pocałuję.

Nie dał nam czasu, żebyśmy wyjaśnili mu zasadę oddychania usta-usta. Pochylił się nad Julią i powiedział:

- Pierwszy pocałunek naszej miłości. I czule przycisnął usta do jej ust.

Teraz, gdy przypominam sobie tę scenę, wszystko wydaje mi się oczywiste. Bo jak się budzi śpiące królowny? Oczywiście pocałunkiem!

Rzęsy Julii zadrżały, a jej płuca wciągnęły haust powietrza. Romeo uśmiechnął się, kiedy otworzyła oczy. Nawet nie spytała, gdzie jest. Zrzuciła mu ręce na szyję i też go pocałowała.

- Bogu niech będą dzięki - powiedział mnich. Romeo i Julia nie przestawali się całować. Mogłabym

przysiąc, że ich ledwie powstrzymywana namiętność ogrzała chłodne wnętrze grobowca o parę stopni. Wszyscy byliśmy trochę zażenowani, więc odwróciliśmy się do nich plecami.

- Niech któreś z was przywoła ich do rzeczywistości

- szepnął mnich. - Musimy już opuścić to miejsce. Świta.

- Hej, wy tam! - zawołał Troy, odciągając Romea od Julii. - Później będzie czas na pocałunki. Teraz nie mamy chwili do stracenia. Trzeba stąd wiać.

Mnich znowu sięgnął do torby. Co z niej wyciągnie tym razem? Latający dywan?

Ojciec Laurenty podał Julii suknię.

- Nie możesz podróżować w nocnej koszuli. Tę suknię znalazłem w twoim pokoju. A tu masz pantofle.

- To moja suknia - powiedziałam, biorąc do ręki lawendowo-złoty strój i pantofle, które nosiłam za kulisami.

- Będzie na nią za duża. Sama się w nią przebiorę, a ty, Julio, włóż te rajtuzy i pludry. Trzeba je związać w pasie.

-Pomóżcie mi zanieść trumnę do pieca - powiedział mnich. Romeo i Troy podnieśli ją i ruszyli w ślad za nim, Julia tymczasem zaczęła się przebierać. Znowu musiałam włożyć znieawidzony kostium. Julia schowała sakiewkę za cholewę buta. Buty okazały się trochę na nią za duże, ale była w stanie w nich chodzić. Bardzo ładnie jej było w tym stroju. Na policzkach pojawiły się rumieńce, a dłonie drżały jej z przejęcia. Właśnie zaczynała nowe życie. Zazdrościłam jej tego. Bo los mój i Troya nadal był niepewny.

Stanęliśmy przed pomieszczeniem, w którym znajdował się piec. Mnich włożył nocną koszulę do trumny i wrzucił tam ogarek świecy.

- Ten piec był w ciągłym użyciu podczas zeszłorocznej zarazy. Ród Kapuletich nie chciał palić zwłok swoich zmarłych na stosach w miejscach publicznych.

Nocna koszula od razu zajęła się ogniem. Mnich zamknął drzwiczki pieca.

- Czas na nas - powiedział.

Pobiegliśmy do wyjścia i tam wpadliśmy prosto na panią Kapuleti.

Smutek rozstania
tak bardzo jest miły
(*Romeo i Julia*, akt II, scena 2)

Jak cmentarne widmo, pani Kapuleti zagroziła nam drogę swoją chudą postacią. Spod warstwy pudru widać było powieki zaczerwienione od płaczu.

- Jak śmieliście tu wejść! - syknęła.

- Mama! - wykrztusiła Julia, chowając się za plecami Romea.

- Myślałam, że umarłaś! - powiedziała pani Kapuleti. - Czy wiesz, co przez ciebie przeżyłam? - położyła na sercu zaciśniętą pięść. - Kiedy ujrzałam moją jedynaczkę martwą, chciałam umrzeć! Przyszłam tu tylko po to, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć!

Słaniała się na nogach, jakby miała za chwilę zemdleć. Romeo chciał ją podtrzymać, ale go odpędziła.

- Monteki! Nie dotykaj mnie, nędzniku! To ty ją porwałeś. Odeszła bez słowa pożegnania! Wyrwać córkę z domu matki to dla ciebie drobiazg bez znaczenia!

Rozpłakała się, a słuchając jej szlochu, sama miałam łzy w oczach, bo pomyślałam o mojej matce, która rozpaczała po moim zniknięciu, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś mnie zobaczy. Ja także zniknęłam bez pożegnania. A przedtem krzyczałam, że jej nienawidzę. Czy moje gniewne słowa zostaną z nią już na resztę życia? Nagle zatęskniłam za nią z całego serca.

- Proszę, mamó, nie płacz. Naprawdę nie chciałam cię zasmucić, ale nie miałam innego wyjścia - powiedziała Julia i też wybuchnęła płaczem.

- Proszę, niech pani nie obwinia Julii - odezwałam się. - To był mój pomysł.

- Znowu ty! - wycedziła z nienawiścią. Spod kapelusza wyciągnęła zwitek pergaminu. To był mój zaginiony list. - Przynieśli mi go ludzie Tybalta. Na szczęście nikt inny go nie widział. Planowałeś to od samego początku. Przybyłaś tu po to, żeby nas zniszczyć!

Rzuciła list na ziemię, a jej furia obróciła się przeciwko mnichowi.

- I ty, ojciec Laurenty, także maczałeś w tym palce. Napiszę do papieża. Zostaniesz ekskomunikowany. Nie znajdziesz miejsca w żadnej parafii. Jak śmiałeś wziąć udział w tym podłym porwaniu!

Szybko podniosłam swój list.

Julia przepchnęła się przed Romea.

- Nikt mnie nie porwał - oświadczyła. Podeszła jeszcze bliżej i wzięła matkę za rękę. - Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Wiem, jaką przyszłość mi szykowałeś, mamo. Ale wiem też, że kiedyś złamano ci serce i że cierpiałaś z powodu miłości, która była niemożliwa. Wiem, że poślubiłaś ojca, żeby zapewnić sobie przyszłość, i że moją chciałaś zapewnić w ten sam sposób. Ale nie kocham Parysa.

Objęła panią Kapuleti i położyła głowę na jej ramieniu.

Pani Kapuleti stała sztywno wyprostowana, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia.

- Miłość rwie nam serca na kawałki - powiedziała.
- Czasem tak bywa. A czasem składa je z powrotem
- Julia objęła ją jeszcze mocniej, jakby chciała swoim uściskiem skruszyć lodowaty pancerz swojej matki. My, pozostali, patrzyliśmy na to w milczeniu i nikt nie wiedział, czy to już koniec, czy dopiero początek wolności Julii.

- Więc nie zmienisz zdania? Nie wyjdiesz za Parysa?

- spytała pani Kapuleti.

- Nie wyjdę za Parysa - odparła Julia. - Odejdę z twoim błogosławieństwem albo bez niego. Ale chciałam urządzić to w taki sposób, żeby nie ściągnąć hańby na rodzinę.

- Twoja determinacja przypomina mi moją własną - westchnęła pani Kapuleti. - Nie możemy już zerwać ślubnej umowy z Parysem, w każdym razie nie bez wstydu i kompromitacji. Dlatego wszystko musi pozostać tak, jak jest. Niech ludzie myślą, że umarłaś na dżumę i zwłoki zostały spalone dziś rano.

Pochyliła długą szyję i ucałowała córkę w czoło.

- Tak będzie. Dostaniesz tę swoją wolność.

W grobowcu rozległo się jedno wielkie westchnienie ulgi.

Wyszliśmy na zewnątrz, kiedy nad horyzontem świt rozsnuwał już zorzę o barwie pomarańczowego sorbetu. Światło dnia przypomniało nam, że musimy się spieszyć. Ojciec Laurenty przechadzał się nerwowo po wąskiej cmentarnej ścieżce i rozglądał się wokół.

- Obiecuj mi, że będziesz do mnie pisała od czasu do czasu. Możesz podpisywać się imieniem Mimi, żeby nikt nie odkrył prawdy.

- Obiecuję.

-A kiedy już będę wiedziała, gdzie mieszkasz, być może przyjadę do ciebie z wizytą.

- Bardzo się ucieszę - powiedziała Julia.

Dla Romea pani Kapuleti znalazła tylko wyniosły grymas.

- Nie licz na to, że kiedykolwiek cię zaakceptuję, młody człowieku, ale obiecaj mi, że będziesz się o nią troszczył.

- Obiecuję - powiedział Romeo, kłaniając się. - Jesteś bardzo podobny do ojca - dodała takim tonem, jakby mówiła mu, że wygląda jak parszywy osioł.

- Słyszę strażę - ostrzegł mnich.

- To ludzie mojego męża, wysłani na poszukiwanie Romea - wyjaśniła pani Kapuleti. - Chodźmy stąd.

- Szybko, do wozu! - zawołał Romeo, gdy stukot podkutych butów niósł się już echem po cmentarzu. Grupa musiała być liczna, choć na razie grobowiec Kapuletich zasłaniał nas przed ich wzrokiem.

- Zostawcie wóz - powiedziała pani Kapuleti. - Weźcie konia. Na koniu szybciej ujdziecie z miasta.

- Mimi też jest w niebezpieczeństwie - oświadczyła Julia. - Nie mogę zostawić jej na pastwę losu.

- Nie, nie jest - zaprzeczyła pośpiesznie jej matka. - Odwołam wygnanie i osobiście dopilnuję, żeby wróciła do Mankatanu. Nikt jej nie skrzywdzi. Uciekajcie! Szybko!

- Jedźcie z nami - poprosił Romeo. - To dzięki wam poznałem Julię.

Nie moglibyśmy we czwórkę zmieścić się na jednym koniu. Wierzcie mi, w tamtej chwili żałowałam, że nie mogę z nimi pojechać.

- Nic nam się nie stanie! - zawołałam, robiąc dobrą minę do złej gry. Oczywiście ani przez chwilę nie ufa-

łam pani Kapuleti. - Uciekajcie! To jest teraz najważniejsze.

-Nigdy cię nie zapomnę - Romeo pocałował mnie w policzek.

Uścisnęłam Julię. Do dziś czuję ciepło jej drobnego ciała.

Wręczyłam jej mój list.

- Przeczytasz go, kiedy zechcesz. Znam twoją historię i chciałabym, żebyś poznała moją.

- Trzymajcie się - powiedział Troy, wyprzegając konia. Romeo wskoczył na jego grzbiet. Wyciągnął rękę do Julii i posadził ją przed sobą w siodle.

- Życzę wam szczęścia - powiedziała pani Kapuleti.

-Szczęścia, które nie było mi dane.

Klepnęła zwierzę w zad i koń pogalopował.

Byłam jednocześnie uszczęśliwiona i niespokojna. Szkoda, że już się nie dowiem, jak wygląda nowe życie Julii.

Odwróciła się jeszcze i uśmiechnęła się do nas na pożegnanie. Jej uśmiech był zarazem szczęśliwy i niepewny. Taka jest zazwyczaj nowo zdobyta wolność. Udało się! Ta historia miała jednak szczęśliwe zakończenie.

Pani Kapuleti patrzyła w ślad za nimi, póki nie zniknęli nam z oczu. Wtedy otarła łzę.

- Wyniesiesz się z Werony - powiedziała do mnicha. - Znasz prawdę, więc nie pozwolę ci pozostać w tym mieście. A teraz zejdź mi z oczu, pókim dobra.

Spojrzała na mnie. Wzrok miała pusty i martwy.

- Ty i ten mężczyzna macie tu czekać. Powiem strażom, że jesteście wolni, i nakażę odwieźć was tam, gdzie zechcecie.

Lekko przechyliła głowę, odwróciła się i odeszła z godnością. Jej peleryna powiewała na wietrze, gdy zniknęła za narożnikiem grobowca. Po czym straciliśmy ją z oczu.

Mnich podniósł torbę.

- Tą szeroką ulicą dojdziecie do kościoła Św. Łukasza. Znajdziecie tam brata Łukasza, to mój przyjaciel. On wam pomoże. Oj, zapomniałbym dać wam to...

Sięgnął do torby i wyciągnął gęsie pióro.

- Weźcie je na pamiątkę. To jest pióro, którym napisałaś list do Julii. Nic więcej nie mogę wam dać.

Sięgnęłam po pióro.

- Dziękuję.

Podrapał się w ogromne ucho.

- Swoją drogą, to bardzo ciekawe. Wspominałaś mi o kimś, kto napisał historię Romea i Julii. Ale to dzięki tobie Julia znalazła wolność, a Romeo miłość. I mnie też pomogłaś, bo odtąd nie mam już żadnych zobowiązań wobec Werony. - Na jego twarzy pojawił się domyślny uśmiech. - Wygląda na to, że Bóg w swojej mądrości uczynił cię autorką wszystkich naszych historii.

Ucałował moją rękę i on także zniknął za narożnikiem grobowca.

- Jestem autorką - szepnęłam, wpatrując się w pióro. - Troy?

- Sam na to wpadłem - powiedział Troy i podniósł jedną ze świec, stojących u wrót grobowca. - Dziwne, że wcześniej nie przyszło nam to do głowy.

Właśnie, dlaczego wcześniej na to nie wpadliśmy? Kiedy patrzyliśmy wstecz na te zdarzenia, wszystko wydawało się oczywiste. Ale zanim się dokonały, poruszaliśmy się wśród nich po omacku. Podobnie jak wśród własnych uczuć.

- Myślisz, że to zadziała?

- Lepiej, żeby zadziałało - odparł Troy. - Bo nawet jeśli pani Kapuleti dotrzyma słowa, nie uśmiecha mi się życie w szesnastym wieku.

Włożyłam pióro do ognia. Dym osmalił mi skórę. Chorągiewka gęsiego pióra natychmiast stanęła w ogniu aż po dudkę. Czysta biel zamieniła się w smolistą czerń. Pióro płonęło jak sucha drzazga na rozpałkę.

- Wasza Wielmożność! - zawołał męski głos. - Mieliliśmy rozkazy, żeby przeszukać całe miasto.

- Nie musicie szukać! - zawołała pani Kapuleti. - Ta szmata Montekich jest za grobowcem, razem ze swoim kochankiem. Zabijcie ich!

Jednak nas oszukała.

- Już idą - powiedział Troy. Ogień dosięgnął moich palców.

-Au! - krzyknęłam i upuściłam pióro. Kroki były coraz bliższe. Padłam na kolana, żeby pozbierać popiół. Znalazłam coś skreconego w nieważką, srebrzystą spiralę. Gwardzista wyszedł zza narożnika.

-Mimi, pospiesz się! - zawołał Troy, stając między mną a nim.

- Monteki! - zawołał gwardzista, obnażając szpadę. Błagam - myślałam, patrząc na popiół - zadziałaj i wyciągnij nas stąd!

Wzięłam głęboki oddech i dmuchnęłam w popiół tak mocno, jak tylko mogłam. Zawirował w porannej mgiełce, drapiąc w oczy i gardło tak samo jak wtedy, w teatrze.

- Troy!

Gdzie on się podział? Kaszląc i kichając, szukałam go w chmurze popiołu. Nagle ujrzałam w niej błysk szpady.

- Chcemy wrócić do domu! - zawołałam, łapiąc Troya za rękę.
I w tej samej chwili poczułam się mniej więcej tak, jakbym spadała z diabelskiego młyna. Dłoń Troya wysliznęła się z mojej.

Świat cały jest sceną
wszyscy mężczyźni
i wszystkie kobiety
są aktorami jedynie
(*I jak wam się podoba*, akt II, scena 7)

Ścierpła mi tylna część ciała. I nie bez powodu. Siedziałam bowiem w śniegu. Spojrzałam w niebo i pojedyncze płatki śniegu opadły mi na policzki. Zniknął gdzieś błękitny poranek w Weronie. Wąski pasek nieba nad ulicą był zaciągnięty szaroburymi chmurami. Wylądowałam na chodniku jak worek, który spadł z przejeżdżającej ciężarówki. Ostre, mroźne powietrze kłuło w płuca, kiedy brałam oddech. Wszystko jasne. Tę ulicę znam, pomyślałam. To przy niej stoi Teatr Wallingford.

A więc udało się.

Stałam na nogach i spróbowałam otworzyć boczne wejście. Jak zwykle, było zamknięte na klucz. Czy Troy jest już po drugiej stronie? Zastukałam, a potem zaczęłam walić z całej siły.

- Hej, Troy! Wpuść mnie!

Ale nikt nie otwierał. Gdzie on się podziewa? Przypomniałam sobie błysk szpady i ten obraz mną wstrząsnął. Co będzie, jeśli Troy tam został? Jeśli ta szpada go dosięgła? Jeśli zginął?

Pobiegłam za róg i stanęłam przed głównym wejściem. Świetlne napisy z mrugających żółtych żarówek

prawie mnie oślepiły. „Troy Summer w *Romeo i Julii* Szekspira, ostatnie przedstawienie”. Dlaczego nie zmienili napisu? Przecież tamten wieczór dawno minął.

Pryszczaty portier otworzył mi frontowe drzwi.

- Nie powinnaś być już za kulisami?

-Dopiero wróciłam - powiedziałam, wpadając do holu. Rozbrzmiewał w nim odgłos oklasków z widowni. Trzy Wiedźmy spojrzały na mnie zza kontuaru szatni.

- Kto to? - spytała jedna z nich.

- Nie wiesz? To przecież Mimi Wallingford, wnuczka Adelajdy Wallingford - odpowiedziała jej druga.

- Wróciłam - oznajmiłam. - Nic mi się nie stało.

Spodziewałam się, że natychmiast weźmie mnie w obroty policja albo FBI. Albo przynajmniej - że wszyscy będą pytać, gdzie byłam i co się ze mną działo. Ale Wiedźmy były zajęte przymierzaniem czyjegoś futra, a pryszczaty chłopak wzruszył ramionami, mówiąc:

- No i dobrze.

A więc nikogo nie obeszło moje zniknięcie. W porządku, rozumiem. Ale co z Troyem? Ze sławnym, bogatym, bajecznie popularnym Troyem?

- Widziałeś Troya? - spytałam. - Wrócił? Nic mu nie jest?

Portier skrzywił się z lekka.

- Nie chwytam, o co ci chodzi - powiedział. -Aktorom często odbija palma w dniu ostatniego

przedstawienia - zauważyła jedna z Wiedźm.

W dniu ostatniego przedstawienia?

Z widowni dochodziły histeryczne krzyki. Mogły oznaczać tylko jedno: Troy był na scenie. Trwało ostatnie przedstawienie i Troy w nim grał. Od naszego zniknięcia

upłynęła zaledwie chwila, a więc nie zniknęliśmy naprawdę. Całe moje napięcie nagle zniknęło. Oczywiście, Troy był na scenie. Nawet nie sprawdził, co się ze mną dzieje. Nie chciało mu się poczekać przy bocznych drzwiach. Od razu wskoczył w postać Troya Summera, bożyszczą nastolatek. Zbyt wiele się po nim spodziewałam.

- Mimi! - zawołał ktoś. To Fernando wybiegł do holu, wymachując tubką z podkładem kryjącym. - Co tu robisz? Przez ciebie kiedyś w końcu oszaleję.

Wziął mnie za rękę.

- Potrzebujesz pudru i szminki. Chodź. Pociągnął mnie za sobą przez cały hol.

- Zrobiłaś awanturę o ten naszyjnik, wyskoczyłaś odetchnąć świeżym powietrzem. Teraz na pewno czujesz się lepiej. - Wciągnął mnie do garderoby. - Ale czy pomyślałaś o biednym Fernando? Nie, skąd. Masz śnieg na sukni i popiół we włosach. Fernando ma teraz parę sekund, żeby przygotować Julię na scenę. A nie mogę cię wysłać tak, jak stoisz, bo wyglądasz jak bezdomne dziecko.

I posadził mnie na fotelu przed lustrem. Znajome, nieprzyjemne uczucie zagościło w moim brzuchu.

- Fernando... Jak długo mnie nie było?

- Nie wiem. Z pięć minut. Brak mi do ciebie sił.

Więc nigdzie nie byłam? To wszystko mi się przywidziało? Tak jak Dorocie z *Czarnoksiężnika*, tak jak Alicji? Więc to tylko idiotyczne przywidzenie, skutek wdychania toksycznych popiołów? Nie uwolniłam Julii. Romeo się nie zmienił. Troy mnie nie kochał. Na myśl, że znowu mam wyjść na scenę, zaczęły mi drżeć ręce. Przewra-

cało mi się w żołądku i nudności ogarnęły całe moje jestestwo.

- No, pięknie - warknęła Clarissa. Stała w przejściu, ręce oparła na biodrach. - Myślałam, że uciekłaś do domu! - Tupnęła nogą. - Jestem już ubrana na scenę. I chcę dziś zagrać Julię.

Poczułam, jak zółć się we mnie burzy, i czknęłam. Fernando szybko złapał plastikową miskę. Podetknął mi ją pod brodę. Clarissa zaśmiała się drwiąco.

- Pierwszorządnie! Mdli cię ze strachu, nie dasz rady wyjść na scenę. - Pochyliła się nade mną, a ja poczułam kolejną falę mdłości. - Byłaś najgorszą Julią wszech czasów. Każdy ci to powie! Wystarczy, że wyjdiesz na scenę, a matka będzie musiała się za ciebie wstydzić!

Znowu usłyszałam te krzyki z widowni, coraz głośniejsze. „Chcemy Troya!” Nie były to już pojedyncze głosy. Krzyczała cała widownia, raz po raz, bez przerwy:

- Chcemy Troya! Chcemy Troya! Reżyser zajrzał do garderoby.

- Mój Boże, gdzie on się podział? - zawołał, wachlując się nerwowo plikiem papierów. - Przepuścił swoje pierwsze wejście. Ktoś go widział?

Clarissa umyślnie potrąciła mój fotel i ruszyła do drzwi.

- Poszukam go. Mimi źle się czuje, nie może dzisiaj grać Julii.

- Chcemy Troya! Chcemy Troya!

A więc Troya nie było na scenie? Przepuścił swoje wejście? Myślałam, że te krzyki były tylko wyrazem niecierpliwości.

Fernando sięgnął po lakier do włosów.

- Co się z wami dzisiaj dzieje? - mruknął. - Wszyscy dostali małego rozumu. Teraz siedź mi tu spokojnie, błagam.

Ale nie siedziałam spokojnie. Zeskoczyłam z fotela i wybiegłam z garderoby.

- Chcemy Troya! Chcemy Troya!

Przestało mnie obchodzić, co powie doktor Harmony - czy uzna mnie za nieuleczalną wariatkę i zaleci siedzieć w fotelu ustawionym od strony kulis przez resztę mojego życia. Wiedziałam jedno: to wszystko mi się nie przywidziało. Jeszcze czułam ciepłe powietrze Werony i pęcherze na palcach stóp. Pamiętałam smak moreli nadziejących marcepanem i zupy mnicha. Czułam ciepło uścisku Julii i w uszach miałam słowa Troya: „Szaleję za tobą”. Ale jeśli Troy nie wrócił? Jeśli ostrze szpady dosięgło go wcześniej niż chmura popiołu? Święty Franciszku, co wtedy?

Złapałam za klamkę bocznych drzwi i otworzyłam je szeroko. Troy wpadł do środka, prosto na mnie.

-Wszędzie cię szukam! - powiedział. Wyglądał okropnie, rozczochrany, brudny, z obandażowaną nogą.

- Ja też cię szukałam.

Wszedł do holu. Uśmiechnęliśmy się oboje, tak samo zaskoczeni, tak samo szczęśliwi. Troy wziął mnie w ramiona.

- To się zdarzyło naprawdę - wyszeptał. -Tak.

- Żałuj, żeś nie widziała, jaką miał minę ten gwardzista Kapuletich, kiedy zniknęliśmy.

-Troy! Troy! - nadbiegł reżyser. - Co ci się stało w nogę?

-Ja... ja...

- Wywalił się. Pośliznął się na ulicy. Na lodzie.

- Lód? - reżyser popatrzył na byle jaki opatrunek. -Dobra, nie mamy czasu na wyjaśnienia. Szybko! Wchodzisz na scenę!

Troy był zmieszany.

- Nie minęła ani jedna chwila - powiedziałam mu. -Wciąż gramy ostatnie przedstawienie.

- Troy! - wrzasnął reżyser, a zza jego pleców Clarissa rzuciła nam wściekłe spojrzenie.

Troy objął mnie mocniej i szepnął mi do ucha:

- Zrobimy to? Damy tej scenie miłosnej jeszcze jedną szansę?

Jego ciepły oddech ogrzewał mnie i czułam ciarki na skórze w każdym możliwym miejscu.

Jasne, byłam gotowa bez wahania dać tej scenie szansę.

- Zrobimy to - odpowiedziałam.

Kiedy biegliśmy z Troyem przez hol, Clarissa walnęła pięścią w ścianę z bezsilnej złości.

Troy wyszedł na scenę i widownia dosłownie oszalała na jego widok, natychmiast wybacząc mu spóźnienie.

Pani Kapuleti i Piastunka spojrzały na mnie lekceważąco. Inspicjentka również. Zasłużyłam na to spojrzenie, jeszcze jak! Przecież bez przerwy marudziłam. Narzekałam na pracę, z której one czerpały tyle radości. Ale dziś będzie inaczej. Owszem, pociągała mnie scena z pocałunkiem, lecz to nie było jeszcze wszystko.

Miałam w pamięci uśmiech Julii. Wiedziałam o niej rzeczy, których Szekspir by nie wymyślił. I wiedziałam też coś o sobie. Jęczałam i użalałam się od pierwszej próby. Rozkręcałam w sobie treść, bo w ten sposób najłatwiej mi

było sabotować własną karierę aktorską. Dzieliłyśmy z Julią poczucie, że tkwimy w potrzasku. Że ktoś inny kieruje naszym życiem. Ale Julia, nawet podejmując ostateczne decyzje, brała pod uwagę także dobro swojej rodziny. Nie chciała ściągnąć na nią wstydu.

Podeszłam na palcach bliżej sceny i wyjrzałam na widownię. Moja matka powiedziała, że będzie siedzieć w szóstym rzędzie, razem z ludźmi z komisji, którzy spodziewali się zobaczyć wspaniałą rolę prawnuczki Adelajdy Wallingford. Trudno mi było zobaczyć szósty rząd, bo pięć pierwszych rzędów stało i machało rękami.

- Jestem tu.

Drgnęłam, zaskoczona. Matka odnalazła się za moimi plecami.

- Chciałam zobaczyć, jak się czujesz. Byłaś taka nieszczęśliwa. Możemy zamienić parę słów?

Przecisnąwszy się obok Piastunki i Pani Kapuleti, weszłyśmy do rekwizytorni. Wyciągnęła z torebki bilet lotniczy.

- Nie anulowałam go. To byłoby straszne. Nie jestem aż tak okrutna.

-Mamo... - przez chwilę nie mogłam dobyć głosu. Tak wiele miałam jej do powiedzenia. - To nieprawda, że cię nienawidzę.

- Wiem. Ale miałaś dość powodów, żeby się na mnie wściec. - Usiadła na ławce, starannie obciążając wełnianą spódnicę na szczupłych udach. - Myślisz pewnie, że cię nie słuchałam, ale słuchałam. Tylko nie mogłam oderwać myśli od tamtej sprawy.

Usiadłam obok niej.

- Masz na myśli spłatę długów?

Położyła dłoń na mojej dłoni.

- Ten teatr był największą miłością twojego ojca. Twój ojciec wierzył, że i ty pokochasz teatr. Przed śmiercią błagał mnie, żebym ocaliła go dla ciebie. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie mógłby sobie wyobrazić, że wnuczka Adelajdy Wallingford może chcieć zajmować się w życiu czymś innym. Miałaś wtedy osiem lat. Skąd mógł wiedzieć?

- Mamo, rozumiem. Chciałaś zrobić co w twojej mocy, żeby było dobrze. Ale nie możemy przez całe życie kierować się marzeniami ojca. Zrobimy taki kompromis... - przysunęłam się do niej jeszcze bliżej. - Wezmę udział w nagraniu *Kornea i Julii* na DVD. A potem przez jakiś czas będę się zajmować tylko studiami. Ale nie w Instytucie Teatralnym. Nie zrezygnowałam z medycyny.

- Dobrze. Ten plan jest do przyjęcia. - Uścisnęła moje przedramię. - Myślę, że ojciec też zrozumiałby twoją decyzję. Bo prawdziwą pasję cenił nade wszystko. I wierz mi, to dlatego za niego wyszłam.

Spojrzenie jej zwilgotniało, gdy myśli zwróciły się ku przeszłości.

-Twój ojciec chciał, żebyś ty także miała w życiu prawdziwą pasję. Chciał, żebyś była szczęśliwa. I ja pragnę tego teraz za nas oboje. Nie masz nic przeciwko temu, żebym sprzedała teatr?

- Słucham? - nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

-Reginald Dwill złożył mi fantastyczną ofertę. Wystarczyłoby na spłatę długów, również tego, który zaciągnęłam, podejmując pieniądze z twojego konta. Mogłabyś wyjechać do college'u w Los Angeles.

-A ty?

- Będę aktorką. To jest to, co umiem robić najlepiej. Twój kuzyn Greg namawia mnie na rolę doktor Tiffany w tej operze mydlanej, w której gra ostatnio. Doktor Tiffany jest chirurgiem plastycznym i przeszła przez śmierć kliniczną - powiedziała matka, przewracając oczami, jakby mówiła o czymś nudnym jak flaki z olejem.

Tymczasem światła przygasły, a obsługa sceny zaczęła ustawiać dekoracje do sceny w pałacu Kapuletich. Wróciliśmy obie do skrzydła kulis i patrzyłyśmy, jak pracują.

- Naprawdę chcesz znowu grać? - spytałam.

- To moje marzenie - powiedziała i uściśnięła mnie. - Jedyne, które nie dotyczy ciebie.

Światła rampy rozbłysły ponownie. Na scenę wyszła Pani Kapuleti z Piastunką Martą.

- Gdzie ona jest? Julio! - zawołała Piastunka. Wybiegłam na scenę, ale nie tak, jak do tej pory. Tym

razem miałam w pamięci pełną emocji dziewczynę z kilkoma pryszczami na twarzy, niespełna czternastoletnią. Dziewczynę z niesforną fryzurą, stawiającą opór prawom ciężenia, dziewczynę spragnioną wolności, która jest największą potrzebą ludzkiego ducha. Wyszłam na scenę, mając przed sobą jeden cel - zapanować nad sytuacją, tak jak przede mną panowała nad nią moja prababka i moja babka, jak panował nad nią mój ojciec i moja matka. Żeby nie przynieść im wstydu.

I chyba mi się udało. W każdym razie wszyscy mnie o tym zapewniali po przedstawieniu. Komisja z Instytutu Teatralnego nie posiadała się z zachwyty, a moja matka nie mogła być bardziej rozpromieniona.

A co z pocałunkiem? Oczywiście o pocałunku także zaraz opowiem. Kiedy Troy wspiał się na balkon po

sztucznym bluszczu i wypowiedział swoje piękne miłosne wyznanie, pozwoliłam, żeby moje tajone uczucia przepęłniły wersy Julii. Popłynęły nad sceną i nad widownią i wszyscy byli nimi przejęci do głębi. Aż do tamtej chwili nie miałam pojęcia, że kiedy dwoje ludzi przyciska usta do ust, może wyzwolić się w nich tak potężna siła. Cóż to był za pocałunek! Tamten pierwszy zbladł przy nim i przestał być ważny. Widownia jęknęła z wrażenia. Tak, dziewczyny z widowni, skręcajcie się z zazdrości!

Zaraz po przedstawieniu miałam randkę z Troyem. Złapaliśmy taksówkę przed teatrem i udaliśmy się do szpitala Św. Franciszka. Dostał tam potężny zastrzyk antybiotyku w sam tyłek. Po czym wróciliśmy do Teatru Wallingford, bo miałam tam jeszcze coś do załatwienia. Troy czekał w taksówce, kiedy stanęłam w holu przed portretem mojej prababki.

- Adelajdo - powiedziałam. - Opuszczam teatr.

- Opuszczasz teatr? - powtórzyła, krzywiąc uszmin-kowane usta. - Chcesz powiedzieć, że aktorstwo to nie twoja para kaloszy?

- Nie moja, naprawdę. Chociaż dziś wieczorem dałam z siebie wszystko.

- Tak, słyszałam te oklaski. Wspaniałe - mruknęła do mnie. - Bądź z siebie dumna. Takie oklaski dostaje tylko ten, kto mocno poruszył ludzkie serca.

*Nasze zwątpienie jest zdrajcą, który odbiera nam korzyść, budząc w nas trwogę przed działaniem** - napisał Szekspir. Inaczej mówiąc, życzenie jest dobrym punktem wyjścia, lecz jednak trzeba w końcu ruszyć tyłek i zacząć coś robić.

* *Miarka za miarkę*, tłum. M. Słomczyński

Musimy wziąć do ręki gęsie pióro i spisać nim naszą własną
nieszczęsną historię.

Uczyniwszy to, schodzę ze sceny.

Ommm yaaa...

Parę słów na zakończenie

A więc taka była moja historia. Historia o tym, że - jak mówią - rzeczywistość powstaje z marzeń i fantazji. Mogę wam z radością donieść, że mieszkam teraz w Los Angeles z ciotką Mary i studiuję na Uniwersytecie Kalifornijskim. Troy także mieszka w Los Angeles. Zmienił zainteresowania i teraz zajmuje się muzyką klasyczną. Fantastycznie gra na mandolinie, to jego pasja. A jeśli was to ciekawi - nadal się spotykamy. Z powodu swojej roli w operze mydlanej moja matka jest ciągle zajęta, ale przyjedzie tu na Boże Narodzenie. Ona i Reginald Dwill są teraz parą. Więc matka ma kojące poczucie, że Teatr Wallingford pozostał w rodzinie.

Ale jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnam wspomnieć. Pamiętacie tego kota w czarno-białe łaty, który mieszkał z pewną staruszką okno w okno ze mną? Teraz siedzi na dębie przed domem ciotki Mary, widzę go przez okno. Staruszka mi go oddała. Powiedziała, że u niej był zbyt smutny.

Tutaj jest wesół jak skowronek.

Nazwałam go Romeo.